



# Jaume Cabré

PODRÓŻ ZIMOWA



MARGINESY

Jaume  
Cabré

P O D R Ó Ź Z I M O W A

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

O Autorce

Dedykacja

I. Opus postumum

II. Testament

III. Szczęście na wyciągnięcie ręki

IV. Dwie minuty

V. Kurz

VI. Oczy jak diamenty

VII. Sen Gottfrieda Heinricha

VIII. Pamiętam

IX. Finis coronat opus

X. Ballada

XI. Pac!

XII. Ślad

XIII. Negocjacje

XIV. Winterreise

XV. Epilog

Dramatis personae

## Przypisy

Tytuł oryginału VIATGE D'HIVERN  
Przekład ANNA SAWICKA

Redaktor prowadzący, redakcja ADAM PLUSZKA  
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne ANNA POL  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Na okładce wykorzystano obraz Fiodora Karłowicza Burchardta (1854–1919) *Zimowy pejzaż z trojką na wiejskiej drodze*.

Opowiadanie *Opus postumum* pierwotnie ukazało się w przekładzie Barbary Łuczak w „Czasie Kultury” 2004, nr 5–6. W tym samym numerze opublikowane zostało opowiadanie *Dwie minuty* w przekładzie Dominika Tomaszewskiego.

*Viatge d'hivern*

The translation of this work was supported  
by a grant from the Institut Ramon Llull



© Jaume Cabré, 2000, 2014

Copyright © for the translation by Anna Sawicka

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-34-4

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

KSIĄŻKA UHONOROWANA

Nagrodą Fundacji Enciclopèdia Catalana, 1999

Nagrodą pisma „Serra d’Or”, 2001

AUTOR NAGRODZONY TYTUŁEM

Premi d’Honor de les Lletres Catalanes

dla najlepszego pisarza katalońskiego, 2010

Krzyżem Świętego Jerzego,

najwyższym katalońskim odznaczeniem, 2014

Nagrodą Księgarzy Katalońskich

za całokształt twórczości, 2017



ANNA SAWICKA – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Paryż–Barcelona–Sitges. Modernistyczny „genius loci” w Katalonii z perspektywy Santiago Rusiñola*, 2003, *Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramatów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluïsa Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009), średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sancheza Pinola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluisa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Angels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010). W 2013 roku ukazała się w jej przekładzie pierwsza tłumaczona na język polski powieść Jaume Cabrégo, *Wyznaję*, w 2014 *Głosy Pamano*, w 2015 *Jaśnie pan*, w 2016 *Cień eunucha*, a rok później *Agonia dźwięków*.

W 2015 roku została uhonorowana prestiżową nagrodą Instytutu Ramona Llulla. Kapituła uznała, że *Głosy Pamano* to najlepszy przekład literacki z języka katalońskiego.

*Dla Margaridy*

---



I

OPUS POSTUMUM<sup>[1]</sup>

*Röderleinówny cierpiały katusze, ale wytrzymały do dwunastej wariacji z szacunku dla wykonawcy, który był ich nauczycielem. Fircyk wystrojony w dwie kamizelki uciekł po piętnastej.*

E.T.A. HOFFMANN<sup>[2]</sup>

Uregulował wysokość taboretu, niedostosowanego do jego wzrostu. A przecież pół godziny temu sam wszystko sprawdził. Nie, teraz jest za wysoko. Mam wrażenie, że jest niestabilny, nieprawdaż? Cholera. Teraz dobrze. Nie. Tak. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni fraka i przetarł dłonie. Przy okazji przeciągnął chusteczką po nieskazitelnych klawiszach, jakby chciał zetrzeć z nich pot poprzednich konsternacji. Podciągnął mankiety koszuli. Jestem jedną wielką agonią. Zaszło mi w gardle, krew mi się burzy, a serce pęka od nadmiaru spraw. Żeby tylko nie drżały ręce. Po prawej, tam gdzie publiczność, martwa cisza. Wolał nie sprawdzać, czy coś mu się nie przywidziało, kiedy odruchowo wchodząc na scenę, rzucił okiem na pierwsze rzędy. Musiał się pomylić. W przeciwnym razie natychmiast trzeba by odwołać koncert. Zakaszła jakaś kobieta. Teraz dobiegł go męski kaszel, wyraźny, mimo dużej odległości, dający wyobrażenie o wielkości sali. Nie, po mojej prawej stronie nie ma nic, nic się nie dzieje. Tylko lód, wróg, śmierć. Taboret centymetr do tyłu.

Na samej górze, na trzecim piętrze, wieki całe od sceny, miódowo-bursztynowe spojrzenie ukryte w półmroku przeżywało katusze, towarzysząc Peremu Brosowi, który już od czterech minut ścierał lęk z dłoni przy rosnącym zaniepokojeniu publiczności śledzącej uważnie każdy jego ruch.

Pere Bros ponownie podciągnął mankiety koszuli. Znów poczuł absurdalny, samobójczy zew z prawej strony, ale mu nie uległ. W tym momencie dwie duże krople potu spłynęły mu po czole i zmałyły wzrok, a równocześnie na trzecim piętrze miódowo-bursztynowe oczy spocily się łąką nad biednym Perem, czyż oni wszyscy nie zdają sobie sprawy, jak on cierpi, jakie przeżywa męki? Bros musiał ponownie wyciągnąć chusteczkę. Znów otarł oczy. Z nadludzkim

wysiłkiem zakrył twarz rękami, odpędził od siebie absurdalną zjawę, która mu się objawiła, kiedy wyszedł na scenę, i pogrążył się w myślach o śmierci. Wziął kilka głębokich wdechów i zagrał pierwsze akordy tajemniczej sonaty dziewięćset sześćdziesiątej, a publiczność przeszła dreszcz paniki, co on robi, dlaczego zaczyna od końca, przecież według programu... ten facet ma nie po kolei w głowie, czemu nie trzyma się ustalonego porządku? a bursztynowe oczy wsłuchiwały się uważnie w ostatnią medytację o śmierci, jak to ujął Wesselényi w nieznanym jej słowach, najbardziej intymną medytację o śmierci, skomponowaną przez człowieka, który zwykł był płakać w tonacji B-dur.

Po czterdziestu dwóch minutach i trzynastu sekundach już nikt w audytorium nie zadawał sobie pytania, dlaczego zaczął od końca; wszyscy w napięciu czekali, czekali. Wybrzmiała ostatnia nuta, a Pere Bros nadal siedział z rękami uniesionymi nad klawiaturą, jak demiurg, który demonstruje potęgę swojego cudu, i udało mu się po raz pierwszy i ostatni w karierze wyegzekwować od publiczności dziesięć, piętnaście nieskończenie długich sekund ciszy. Dopiero wtedy odprężył się, opuścił dłonie, poczuł się nieludzko zmęczony i usłyszał brawa. Wstał, odwrócił głowę w prawo, skąd ziało chłodem, a wtedy tak, wtedy znów go zobaczył, siedział w pierwszym rzędzie, fotel numer siedem, w tych charakterystycznych modnych okularkach, szerokie czoło, kręcone włosy, niestosowne ubranie, sztywny jak na trupa przystało, świdrował go wzrokiem, zdystansowany na odległość nieskończoności od entuzjastycznych oklasków, bo on z całą pewnością oceniał jego wykonanie krytycznie. Zimny pot. Pere Bros opuścił scenę wśród głośniego entuzjazmu. Kiedy wrócił do ukłonów i dziękował publiczności za brawa, przyszło mu do głowy, że prawdziwy Schubert ma taką samą minę jak na portrecie zdobiącym wydanie *Voyage d'hiver*<sup>[3]</sup>, rzetelnej, acz kontrowersyjnej biografii, którą Gaston Laforgue opublikował na początku XX wieku. Wycofując się za kulisy, przypomniał sobie opinię Laforgue'a, utrzymywał on bowiem, że trzy sonaty z 1828 roku, nazywane pośmiertnymi, powstały w porywie pychy, w reakcji na wiadomość, że Beethoven właśnie zmarł i droga wolna. Ręce spocone, jakby ciągle siedział nad klawiaturą. Wyszedł jeszcze raz, przy gromkich brawach. Nic więcej nie zagram. Dopóki Schubert sobie nie pójdzie. Niech go wyrzucą z audytorium. Na litość boską, przecież przed nim nie zagram. Ukłonił się. Wtedy przypomniał sobie o tamtym dniu przy placu Graben w Wiedniu, kiedy jego

ukochany Zoltán Wesselényi powiedział mu, nad filiżanką bardzo gorącej czekolady, ależ skąd, Peter, żadnych porywów nie było. Schubert pozostawił szkice, rękopis pełen wątpliwości i poprawek świadczących o wahaniach przy komponowaniu tych trzech sonat; żadnych porywów. (Wesselényi poparzył sobie język gorącą czekoladą. Zawsze taki roztargniony, zawsze taki smutny, ten mój Zoltán). Peter, Schubert dobrze wiedział, co robi, wiedział, że przeżywa własną śmierć. Zwłaszcza w sonacie dziewięćset sześćdziesiątej według katalogu Deutscha.

– Stary, to było genialne. Ale z ciebie skurwysyn – podniecał się Pardo, wypychając go znowu na scenę.

Kiedy wrócił za kulisy, nadal słyszał oklaski, ale poprosił woźnego o zamknięcie drzwi; nie będzie już wychodził.

– Koniec z porankami.

– Był tylko koncert w Dniu Świętej Łucji. A sala jest pełna po brzegi. Co ci nie pasuje?

– Idę do garderoby – wykręcił się od odpowiedzi naburmuszony.

– Masz gości. Madame Grossmann.

– Nie chcę nikogo widzieć.

– Madame Grossmann.

– Powiedziałem, że nikogo.

– Cholera, a co cię podkusiło, żeby zmienić kolejność utworów?

– Po koncercie ma na mnie czekać taksówka.

– Nie ma mowy. Po koncercie masz spotkanie z madame Grossmann i wywiad.

– Nie: taksówka.

– Wiedziałem, że z ciebie kawał skurwysyna.

Andante sostenuto dziewięćset sześćdziesiątej to śmierć, która się wyłania z mgieł nad Dunajem, najpierw odległa, później przerażająco bliska, a Pere Bros stworzył idealne napięcie w ciągu trzech minut ekspozycji tematu, poprzez stopniowe crescendo, niemożliwe do osiągnięcia, jeśli się nie ma złotych rąk i diamentu w każdym palcu. A następnie w reprzyzie udało mu się osiągnąć tak intensywną ciszę, że było słyhać, jak oddycha boazeria na ścianach sali

koncertowej. Dlatego i tylko dlatego zdobył się na uśmiech do swego obrażonego agenta podążającego za nim krok w krok w kierunku garderoby. Zamknął mu drzwi przed nosem, mnie, facetowi zastępującemu mu głos, pamięć i terminarz!

Pere Bros nalał sobie kieliszek veuve ambal, jakby to był rutynowy, bezproblemowy recital. Ale wymknęła mu się jedna ła. Podszedł do pianina i z miłością przeciągnął dłonią po klawiszach. Wypił łyk, zasiadł przed instrumentem i pochylił głowę zniechęcony. Wtedy jego wzrok padł na paczkę, którą dostarczono w momencie, gdy wychodził na scenę. Ekspres, przesyłka lotnicza z Wiednia. Szybko rozerwał papier. Książka robiła wrażenie. Na okładce kościół Franciszkanów w Wiedniu, gdzie Fischer grał na organach przez trzydzieści trzy lata. I dedykacja Zoltána: „Dla Perego Brosa, który sprawił mi największą w życiu radość, mówiąc, że jeszcze po upływie dwudziestu pięciu lat pamięta moją wersję D 960 jako wzorową, od kogoś, kto nie zdobył się na odwagę kontynuowania nieludzkiej kariery solisty. Niech czuwają nad nami ukochany Schubert i gigantyczny Fischer. Twój przyjaciel Zoltán Wesselényi”.

Napił się szampana i zatopił w przeszłości, odległej przeszłości.

\*\*\*

Siedząc przy starym pianinie w archiwum, gdzie spędzał wszystkie godziny życia, od kiedy pogrążył się w smutku, grał si bemol, la, re bemol, si, do. Powtórzył temat Fischera i podszedł do okna. Na zewnątrz niebo Wiednia rozpląwało się w nagłej, nietypowej, iście śródziemnomorskiej ulewie.

– Co to takiego?

– To temat wiodący.

– A nie mówiłeś, że Fischer zmarł w 1828 roku?

Muzykolog w odpowiedzi wskazał mu papiery. Świetnie zachowane, tylko pod wpływem czasu trochę pożółkły. Czytelne partytury, każda nuta starannie wykaligrafowana. To była dziwna muzyka, skomponowana z wielką miłością. Bros zdziwił się, widząc, jak Fischer wychodzi od tego krótkiego, niezwyklego tematu i tworzy sarabandę w G-dur. A może raczej w...

– Nie ma znaków przykluczowych. W jakiej to jest tonacji?

– Nie wiem. To nie jest tonalne. Ani modalne.

– Niemożliwe.

– Nie. No właśnie.

– Ale bardzo ładne.

– Genialne. Cały czas się zastanawiam, jak ten człowiek mógł tak komponować w czasach Mozarta i Beethovena.

Struktura rozwinięcia tematu opierała się na dwóch sekcjach szesnastotaktowych, z których każda zawierała cztery dwutaktowe motywy sarabandy, wszystkie rozwijające ów niewiarygodny temat. Bezbłędny, mistrzowski.

Przyjaciele zamilkli na długą chwilę, wsłuchując się w nieregularny rytm deszczu. Krople, uderzając w jakiś metalowy przedmiot na ziemi, wystukiwały z uporem cis. Niezbyt przyjemny dla ucha dźwięk.

– Autentyczna bomba – powiedział Bros pół godziny później, po przeczytaniu siedmiu wariacji.

– Zamierzam natychmiast to wydać. Ten Fischer, nie rozpychając się łokciami, prześciga Brahmsa i Wagnera, przewyższa Mahlera i stawia wyzwanie Schönbergowi. Chce odnowić muzykę, zanim ta jeszcze wyczerpała swoje środki.

– Ale nie publikuje tego przed śmiercią.

– Pewnie bał się reakcji.

– A jednak tego nie zniszczył. – Pere Bros spojrzał przyjacielowi prosto w oczy. – A jeżeli to falsyfikat? Nie przyszło ci do głowy, że to może być żart?

– Od razu o tym pomyślałem i przeanalizowałem każdy element: papier, atrament, wszystko autentyczne, bez dwóch zdań.

– Mogę to zagrać?

\*\*\*

Już się ściemniało, kiedy żegnając przyjaciela, wyznał, że do tej pory wspomina ze wzruszeniem jego wykonanie sonaty Deutsch dziewięćset sześćdziesiątej w Konservatorium, i prawie szeptem, na ucho, zapytał kochany Zoltanie, czemu zrezygnowałeś z kariery solisty, skoro jesteś w tym najlepszy?

Co? Dlaczego właśnie ty, który jesteś dla mnie niedościgłym wzorem?

Uściskał go z całych sił, jakby w ten sposób chciał wyrazić coś więcej niż tylko pożegnanie. Wesselényi uwolnił się z objęć, uśmiechnął i powiedział, no wiesz, tak bywa. Chcąc zmienić temat, obiecał mu, że jak tylko się ukaze, natychmiast wyśle mu książkę o Fischerze ekspresową pocztą, choćby na koniec świata. Pod warunkiem, że potem się z nim podzieli wrażeniami z lektury.

\*\*\*

Pere Bros nalał sobie kolejną lampkę veuve ambal. Ktoś niecierpliwie dobijał się do drzwi garderoby. Nie zareagował. Zagrał na pianinie sekwencję si.b, la, re.b, si, do. Upłynęły trzy lata od tamtego spotkania w wiedeńskim archiwum, ale dobrze pamiętał i temat, i jego rozwinięcie. Nagle ktoś otworzył drzwi gwałtownym, zdecydowanym ruchem, nie czekając na zaproszenie. Pardo, z napiętą twarzą, dokonując nadludzkich wysiłków, żeby nie wybuchnąć, zamknął je za sobą.

– Co ty sobie wyobrażasz? Madame Grossmann mówi, że... chciałyby ci powiedzieć osobiście, że oddałyby wszystko, żeby grać tak jak ty. – Energicznie: – Jest bardzo przejęta i musimy to wykorzystać.

– Powiedz jej, że ja tylko oddałem życie, żeby móc grać tak, jak gram.

– Nie, nie, nie, no coś ty. Nie. – Tak bardzo próbował się opanować, że aż go rozboleła głowa. – Ja właśnie pracuję nad madame Grossmann, żeby nam podwoiła stawki na wszystkie koncerty we Francji. To nie żarty; postaraj się być dla niej miły.

– Niech spada na drzewo. A właśnie, nie zamierzam grać po przerwie.

Pardo rzucił okiem na butelkę, wyjął mu kieliszek z ręki i siłą się na spokój, powiedział:

– Słyszałem to już dziesiątki razy. Przestań ze mną pogrywać. Nie ty jeden miewasz tremę.

– Ale przychodzi taki moment, kiedy masz dość. I to się stało właśnie dziś.

– Cudownie grałeś.

– Cudownie umierałem. – Chciał powiedzieć, że jest smutny. Chciał to wykrzyczeć. Ale to nie Pardo miał być adresatem jego słów. Chciał jechać do



Wiednia i powiedzieć, to koniec, Zoltán, dość już podróżowania, dość gdybania; w końcu dokonałem wyboru między muzyką a tobą. Wygrałeś, mimo okazywanej mi obojętności, mimo że te wszystkie godziny poświęcone na próby i pracę teraz wyrzucam na śmietnik, mimo słodczy komplementów, braw i zaszczytów. Chciał mu to powiedzieć, w takich mniej więcej słowach. Żeby tylko usłyszeć odpowiedź, och, Peter, tak się cieszę.

– Dlaczego zacząłeś od ostatniej sonaty? – przyczepił się Pardo.

– Nie wiem. To był impuls. Jakby nadszedł koniec. Byłem bardzo... – Innym tonem: – Schubert siedział w pierwszym rzędzie. W fotelu numer siedem.

Po tych słowach Pardo oddał mu kieliszek.

– Lepiej już pij. Ale z umiarem. Przypominam ci, że madame Grossmann czeka na zewnątrz z jakąś przyjaciółką. Najważniejsze, byśmy podwoili stawkę. Z dziennikarzem możemy się umówić na jutro.

– Mówiłem, że to koniec...

– Perspektywa wiosny wypełnionej koncertami zależy od paru absurdalnych szczegółów: nie mieć przywidzeń, nie przerywać recitali w połowie, uśmiechać się do madame Grossmann i wysłuchiwać jej komplementów jak osoba dobrze wychowana.

– Możesz jej przekazać w moim imieniu, żeby poszła do diabła.

– Jeśli nie zagrasz drugiej części, słowo daję, zejść na zawał.

Mierzyli się wzrokiem dwadzieścia sekund, akurat tyle, ile trzeba, by przypomnieć sobie wszystkie chude lata, ciągłe podróże, niekończące się dyskusje, sukcesy, szczęśliwe dni i łzy, którymi związali swoje przeznaczenia. Pardo, wskazując drzwi, jeszcze próbował postawić na swoim, teraz ją zaproszę, zgoda?

Pere Bros odwrócił się lekceważąco i Pardo, pobladły ze złości, wyszedł z garderoby, zamknął drzwi za sobą i z uśmiechem od ucha do ucha, z pomysłowością godną Dantego opisał obu zniecierpliwionym paniom nagłe dolegliwości gastryczne, jakie właśnie dopadły Brosa, który w tym samym czasie po drugiej stronie drzwi dolewał sobie szampana. Zadrżała mu ręka. Ręka mu drżała od trzydziestu ośmiu lat, kiedy jako dziewięciolatek rozpoczął naukę pod okiem pani Trullols, i nadal mu drżała, kiedy teraz, jako czterdziestosiedmioletni mężczyzna wznosił kieliszek z veuve ambal. Wzniósł

toast za swoje zdrowie, za te wszystkie godziny ćwiczeń, żeby być doskonałym, nieludzkim, ciepłym, ludzkim, genialnym, pewnym siebie, przekonywającym, intensywnym, subtelnym, wrażliwym, nienagannym, zawsze, zawsze, zawsze, zawsze. Tyle godzin beznadziejnego walenia głową w mur, żeby nagle, w połowie recitalu, przed lustrem obramowanym tysiącem żarówek, w tym pokoiku, powiedzieć dość. Tyle godzin ćwiczeń, żeby teraz przestraszyć się Schuberta. Niech go stąd zabiorą, zwierzył się półgłosem, w zaufaniu, kieliszkowi. Niech go wyrzucą. Schubert nie ma prawa!

Ponieważ przerwa dobiegała końca, Pardo wszedł po cichu do garderoby, usiadł i czekał, spodziewając się najgorszego. Ale Bros nawet nie zwrócił na niego uwagi: milczał i pił. Wtedy zdecydował się przejść do ataku.

– To niedopuszczalne, żeby nagle trema stała się nie do przezwyciężenia.

– Co ty możesz o tym wiedzieć. – Podnosząc głos: – Widziałeś Schuberta?

– Nie ma żadnego Schuberta na widowni! Osobiście to sprawdziłem, słowo honoru.

– Pewnie poszedł wypalić cygaro. Nie wyjdę, jeśli on mnie będzie słuchał.

– W głowie się nie mieści, żebyś ty chciał się wyrzec muzyki!

– Nie muzyki. Tylko występów.

– Słuchaj, jutro pogadamy, czy rezygnujesz z kariery czy nie, i będzie tak, jak postanowisz... Ale dziś... Musisz dokończyć recital. A później madame Grossmann.

– Nie.

– Wszystko rzucisz w połowie koncertu?

– Tak. Nawet z ćwiczeń nie mam przyjemności, bo przeraża mnie myśl o koncercie. Nie wytrzymam dłużej tego napięcia. Nigdy się tego nie nauczyłem.

– Zawsze sobie z tym świetnie radziłeś. Zawsze! – Błagalnym tonem: – Czy to cię nie przekonuje?

– Uprawiam muzykę, żeby być szczęśliwym. Konfrontacja z publicznością już od dawna mnie nie uszczęśliwia. A dziś...

– Kto ci powiedział, że muzyka daje szczęście? – przerwał mu Pardo, wkurzony. – Mnie też nie uszczęśliwia i jakoś to znoszę.

Bros spojrział mu w oczy: nie wyczuł ironii. Patrzył, jak jego agent, który nienawidził szampana, nalewa sobie kieliszek. Dobrze wiedział, czemu to robi.

– Nie martw się, nie chcę się upić. Podejmuję decyzję z pełną świadomością.

Pardo zrozumiał, że ten kryzys był inny niż poprzednie, i zatrzymał dla siebie zarzuty i inwektywy, które miał na końcu języka. Tylko uniósł kieliszek do ust i zaraz go odstawił. Ponieważ tamten patrzył na niego w milczeniu, zaczął wyliczać na palcach: po pierwsze, nie umiesz robić nic poza koncertowaniem.

– Mogę odpocząć. Dawać lekcje.

– Po drugie, nie masz zielonego pojęcia o dawaniu lekcji; nigdy nie zarabiałeś na życie w ten sposób; nigdy nie starczało ci cierpliwości do udzielania lekcji.

Gdy Pardo przeszedł do trzeciego punktu, Bros pomyślał, że to nieprawda, przecież przez parę miesięcy uczył swoją sąsiadkę, taką ładniutką dziewczynę, taką bardzo... no nie wiem, bardzo.

– Na pewno paniom nie przeszkadza, że tu ćwiczę?

– Nie! To czysta przyjemność. Kiedy ty... kiedy pan... wtedy mama i ja przestajemy rozmawiać, żeby lepiej słyszeć. A takie z nas gaduły. – Dodała nieco ciszej: – Smutno nam, kiedy pan wyjeżdża.

– Ale wtedy macie spokój. Teraz nie będzie mnie przez parę tygodni.

– Proszę nie wyjeżdżać.

– Słucham?

– Nie, tylko...

Dziewczyna obrzuciła go spojrzeniem w cudownym kolorze żywego bursztynu, zastanawiając się, czemu ten mężczyzna tak... tak... w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

– Nie martw się, kiedy wrócę, nadrobimy zaległości.

– Nie, nie o to chodzi. Ja po prostu...

– Masz talent. Ale potrzebny ci systematyczny nauczyciel. Który by umiał uczyć. Ja jestem za bardzo...

– Zależy mi na... chcę się uczyć u pana. Tylko. Zawsze.

Jego jedyna uczennica. Pewnego dnia, kiedy był w gorszej formie i czuł się szczególnie samotny, zwierzył się jej, jak mocno się denerwuje przed każdym

koncertem, a ona patrzyła mu w oczy i rozumiała go bez słów, ale nie odważyła się wziąć go za rękę. Bardzo dziwne były te lekcje, które trwały trzy lata; nieregularne, ale nadzwyczaj intensywne. Skończyły się, kiedy się przeprowadził i zapomniał o dziewczynie i o lekcjach. Aż do dziś. Jak ona się właściwie nazywała, ta mała?

Wtedy zadzwonił dzwonek i Pardo wstał, spięty, wyliczając kolejny, piąty już punkt, o profesjonalizmie i poczuciu odpowiedzialności, i o przyjaźni, nie możesz mi tego zrobić, wszystko się zawali, gdybyś się ożenił, byłbyś bardziej zrównoważony. Uznał swoją misję za spełnioną i obojętnym tonem zauważył:

– Pierwszy dzwonek. Powinieneś...

Bros wykonał gest, który mógł znaczyć wszystko. Pardo uznał, że w ten sposób daje do zrozumienia, że dobrze, poddaję się, w porządku. Żeby go nie stresować, zostawił go samego w garderobie.

Od ciągłego otwierania i zamykania notesu z adresami Pere Bros znał już na pamięć numer do Musikwissenschaftzentrum, zastanawiał się parę minut, nie wiem, czy mam prawo się wtrącać, ale teraz, kiedy zmarła Anna, ja... w kółko wybierał numer i odkładał słuchawkę, aż wreszcie sekretarka zdążyła zapytać, czym mogę służyć, Herr Bros.

– Chciałbym rozmawiać z Herr Wesselényim. To pilne.

Nie zastał go, bardzo mi przykro. Jednak ponieważ sprawa była pilna, dała mu numer komórki i Pere odnalazł go gdzieś w Wiedniu, i usłyszał słowa wypowiedziane przez głos jakby trochę nieobecny, o, to ty, Peter, czego chcesz, a on na to, nie, nic takiego, tylko chciałem podziękować za książkę o Fischerze. Na razie ją dopiero przekartkowałem, ale od razu widać, że to coś nadzwyczajnego. I zamilkł, czekając, aż tamten zada mu jakieś osobiste pytanie. Ale Wesselényi zdobył się tylko na zdawkowe dziękuję i zamilkł.

– Nie mogę grać – wyznał w końcu Pere Bros. – I nie mogę nie grać. – Po chwili niezręcznej ciszy. – Dużo o tobie myślę. Zoltán, jestem smutny.

Z przykrością zauważył, że Wesselényi starał się zachować dystans i pomyślał, Zoltán, czemu jesteś zawsze taki zimny. Żeby zmusić go do reakcji:

– Od sześciu miesięcy nerwy nie pozwalają mi usnąć. Chciałbym odpocząć. A ty mi kiedyś powiedziałeś...

Odpowiedź Zoltána wytrąciła mu broń z ręki: zaproponował, żeby odłożyli tę

rozmowę na później i Pere wpadł w rozpacz, bo do przyjaciela nie dotarło, że teraz albo nigdy. Jeszcze nie dawał za wygraną.

– Jeżeli muzyka cię nie uszczęśliwia, to z niej zrezygnuj, tak mi powiedziałaś.

– Słuchaj, porozmawiamy o tym innym razem, dobrze?

Peter desperacko szukał pretekstu, by kontynuować rozmowę.

– Schubert mi się ukazał.

– Schubert?

Wahanie w głosie Zoltána było tak wymowne, że Peter poczuł się upokorzony i musiał się wycofać.

– Nieważne – uciał zdecydowanym tonem, jakby się poddawał.

– Zadzwoń do mnie kiedy indziej, dobrze?

– Zoltán, Kocham cię. Całym sercem. Pamiętaj.

Odłożył słuchawkę, żeby nie przeżyć rozczarowania lodowatą odpowiedzią, i pomyślał, jakie wredne jest życie, dlaczego człowiek, którego Kocham, musi mieszkać tysiąc kilometrów od moich hoteli i moich marzeń i w ogóle nie zdaje sobie sprawy, jak za nim tęsknię. Dopił kieliszek szampana i z rezygnacją czekał na drugi dzwonek.

Drugi dzwonek Pardo usłyszał, żegnając się z madame Grossmann. Kiedy się od niej uwolnił, wrócił do garderoby, gotów wezwać dźwig, gdyby nie było innego wyjścia. W środku nikogo nie zastał, tak jakby Bros zdecydował się salwować ucieczką. Przestraszony poczuł, że czeka go cała seria zawałów, jeszcze bardziej się przestraszył i wyszedł zdecydowany dorwać i zabić pianistę albo paść na kolana, przed kim będzie trzeba, i błagać o przebaczenie za niedotrzymanie czegokolwiek, o co będą chcieli go oskarżyć. Również z trzecim dzwonkiem usłyszał brawa w sali koncertowej. Zdziwił się. Podeszedł do drzwi i otworzył, mimo protestów woźnego, żeby obserwować przez szparę, co się tam dzieje. Część publiczności dopiero tłoczyła się przy wejściu, zdziwiona nagłym pośpiechem. Pere Bros ich zaskoczył, a teraz kłaniał się, przymykając oczy. Pardo odetchnął z ulgą, pewnie potrzebne mu są wakacje. Cały w skowronkach, że minął kolejny kryzys, wyciągnął komórkę i poszukał ustronnego miejsca, żeby uzgodnić termin koncertu tego historyka Brosa w Watykanie.

Och, ale co to takiego? – zastanawiały się bursztynowe oczy: b, a, des, h, c. To nie Schubert. Dwie sekundy później, kiedy zabrzmiała sarabanda, przez salę przebiegł szmer, i komentarze, a nie mówiłem, całkiem mu odbiło; ktoś inny obrażonym tonem dorzucił, nie przyszedłbym, gdybym wiedział, że będzie muzyka współczesna, oszukano nas, jeszcze inny pytał, ty kojarzysz, co to może być? bo według programu... Ej, ja tu przyszedłem wysłuchać trzech sonat z 1828 roku Franza Schuberta! Na trzecim piętrze bursztynowe oczy wpadły w panikę, bo ten oburzony mężczyzna twierdzący, że Brosowi odbiło, pewnie miał rację. Zwariował pod wpływem tego napięcia, o którym jedynie ona wiedziała, znała jego słodki sekret, gdyby tylko mogła mu pomóc. Na drugim balkonie ktoś zagwizdał, ale ten protest został szybko uciszony przez ostrożniejszych słuchaczy. Bros wykonywał właśnie drugą wariację, prosto z książki Wesselényiego, jak z nut. Dopiero wtedy Pardo, który uzgadniał przez telefon daty i godziny z jakimś pozbawionym twarzy monsiniorem Walzerem z Watykanu, uświadomił sobie, jaka muzyka dociera do niego już od dłuższej chwili, i serce podeszło mu do gardła, bo to, co grał ten gnojek Bros, nawet z daleka nie przypominało Schuberta. Jego watykański rozmówca zgorszył się, kiedy nagle usłyszał przekleństwo, choć on tylko prosił o potwierdzenie, że będzie miał zapewnionego pianistę na prywatny recital w Sali Świętej Klary. Tak, proszę księdza, może ksiądz na nas liczyć.

Pierwsza wariacja: nigdy w życiu nie słyszał czegoś podobnego, nigdy. To nie jest harmoniczne rozwinięcie tematu, nie ma melodii wiodącej, która by modulowała w stronę odległych tonacji, nie. To jest... Mein Gott, nigdy mi nie przyszło do głowy, że można tak komponować. Tendencje harmoniczne melodii tematu i tendencje melodyczne harmonii przenikają się. Dziwne. Nie ma toniki, nie ma relacji dur-moll, tylko muzyka zawieszona w powietrzu, mein Gott. I jaka w tym doskonałość, brzydka i zadziwiająca. Ale... a moje sonaty? Dlaczego nie gra pierwszej sonaty z 1828?

Druga wariacja: coraz liczniejsi melomani wymieniają zaniepokojone spojrzenia, a z trzynastego rzędu na parterze dochodzą wypowiedziane wyraźnym niskim głosem słowa, nie wiem, co ten facet gra, oprócz tego, że gra nam na nerwach.

Trzecia wariacja: wstają trzy osoby. W czwartym i ósmym rzędzie na parterze. Przez chwilę stoją nieruchomo, żeby zademonstrować oburzenie

brakiem szacunku dla Schuberta. Ich zdecydowana postawa zachęca do powstania kolejnych siedem czy osiem osób, rozproszonych po całej sali. Przez parę sekund sprawiają wrażenie posłów w jakimś majestatycznym parlamencie, którzy głosują bez elektronicznych urządzeń. Ale Pere Bros ich nie liczy, skupiony na bardzo trudnej czwartej wariacji, imitacji na cztery głosy, coś jakby passepied. A inni parlamentarzyści domagali się od sejmowych kolegów, żeby się nie wygłupiali i siedzieli spokojnie, bo to było bardzo ładne. Zgoda, to nie Schubert, ale naprawdę ładne.

Przy piątej wariacji zarząd audytorium spotkał się w holu 2A z przedstawicielem Brosa, żeby się zastanowić, co do cholery można zrobić, kiedy wydarzy się coś takiego, i tak doszli do siódmej wariacji, krótkiej, efektownej pianistycznie, zwięzłej jak streszczenie, absolutnie wirtuozerski popis, tak, naprawdę wpadała w ucho.

– Ktoś może wie, co to jest?

– Nie mam pojęcia. Ale to jest znakomite.

– Słyszałem kiedyś coś podobnego Beria.

– Nie, skąd. Ligeti. To Ligeti, ale nie wiem, co konkretnie.

– A pan, Pardo? Nic pan nie może zrobić?

– Jak pan to sobie wyobraża? Że wejdę na scenę i natrę mu uszu?

– Uważasz, że to Ligeti, tak?

– Tak, albo coś w tym rodzaju.

– Podam go do sądu. Za niedotrzymanie warunków umowy.

– Źle się pan czuje, panie Pardo? Popatrz no, teraz ten... Trzeba natychmiast wezwać lekarza.

– Mój Boże, co za dzień.

Ligeti czy ktoś w tym rodzaju, a może ktoś jeszcze inny po zakończeniu ostatniej wariacji natychmiast przechodził do reprzyzy, z subtelną autoironią, i cała historia skończyła się tak, jak się zaczęła. I jeszcze na zakończenie pięć nut tematu, nagich, bolesnych, a potem cisza.

Pere Bros wstał, pobladły od wysiłku i speszony własnym tupetem. Ale było tysiącokrotnie łatwiej zagrać cokolwiek w obecności Schuberta niż jakiś jego utwór. Teraz spokojnie mógł mu spojrzeć w twarz. Natychmiast zauważył, jak



Schubert wstaje z fotela numer siedem i gorąco go oklaskuje. Ale sala milczała. Franz Schubert uśmiechał się, nie przestając bić brawa, a Bros zauważył, że brak mu jednego zęba. Sala nadal milczała. Wreszcie z trzeciego piętra, z daleka, dobiegły oklaski w bursztynowym kolorze, energiczne, a zarazem słodkie, jakby tamta osoba, ktokolwiek by to był, chciała zmanifestować solidarność z niewidzialnym, milczącym Schubertem, albo z tupetem Fischera, a może z szalonym pianistą. Powoli rozlegały się brawa jak deszcz, który potrzebuje czasu, zanim przejdzie w ulewę, aż w końcu cała publiczność wstała z miejsc. Pere Bros pomachał książką, na której okładce widniało wypisane dużymi literami nazwisko Fischera, upewnił się, że Schubert nadal klaszcze, i nie odwracając się za siebie, na zawsze opuścił scenę.

II

TESTAMENT

Uderzenia młota o kamień zabrzmiały w jego uszach wyjątkowo okrutnie. Nie przygotowali żadnego nagrobka, ponieważ nikt nie przygotowuje się na śmierć. A już zwłaszcza taki okaz zdrowia jak ona. Przecież to on chorował i w ciągu ostatnich miesięcy chodził od lekarza do lekarza! To on, a nie Eulalia, liczył się z tym, że śmierć lada moment przetnie mu drogę! To on od tygodnia przechodził piekło kolejnych badań, od szpitala do szpitala, które nabiły mu głowę lękiem przed jakąś brzydką chorobą! Dlaczego los musiał się tak tragicznie pomylić, zabierając Eulalię, a nie jego?

Grabarze skończyli pracę i Agustí poczuł się rozpaczliwie samotny w towarzystwie swoich dzieci i przyjaciół, ale bez Eulalii, która wypełniała całe moje życie, moje godziny, moje myśli, zawsze z tym samym ciepłym uśmiechem, zawsze z chęcią zrozumienia, zawsze przy mnie, moja najdroższa, dając tak wiele za tak mało, moja ukochana. Na chwilę rozproszył jego myśli Amadeu, który odszedł na bok i nie zapominając o niczym, jak to on, dyskretnie i taktownie wsunął zwinięty banknot, pięć tysięcy peset, do ręki szefa grabarzy, a ten wymamrotał pod nosem słowa podziękowania.

Agustí chciał coś powiedzieć na pożegnanie. Chciał zapewnić wszystkich obecnych, że Eulalia była światłem jego życia; po prostu dać świadectwo rozpaczliwej miłości. Ale gdy tylko otworzył usta, poczuł, że jego dusza zalewa się łzami. Amadeu położył mu rękę na ramieniu, delikatnie, usiłując w ten sposób zapewnić go, że dzieli z nim ten ból. Wtedy do niego dotarło, że cała trójka obok niego była równie zaskoczona i z niedowierzaniem przyglądała się, jak surowy kamień zakrywa na zawsze matkę, która zmarła niespodziewanie w wieku pięćdziesięciu lat. Cała trójka. Siłą rzeczy Agustí skierował myśli na dwadzieścia osiem lat udanego małżeństwa, na pierwородnego, którego nie mogli się doczekać, aż wreszcie przyszedł, prawie bez uprzedzenia, i okazało się, że to Amadeu... Potem długo, długo nic i w końcu urodziła im się Carla. Chwilę później doszło między nimi do pierwszego poważnego nieporozumienia, kiedy on zbyt się zadurzył w młodej kobiecie, zupełnie innej niż Eulalia, ale wszystko wróciło do normy i w efekcie, kiedy Carla skończyła pięć lat, przyszedł na świat Sergi, jego oczko w głowie. Spojrzał na chłopca: piętnastolatкови było najtrudniej zmierzyć się ze śmiercią matki. Tułił

się do siostry, a ta opiekuńczo obejmowała go ramieniem. Carla była zawsze dla ojca zagadką: gdy tylko skończyła osiemnaście lat, wyprowadziła się z domu; przez dwa lata mieszkała we Florencji i w Monachium, i tyle o niej wiedzieli, ile zmieściło się na sześciu pocztówkach, które im przysłała, a teraz wróciła, parę miesięcy temu, jakby specjalnie po to, żeby się nie spóźnić na pogrzeb własnej matki. Twierdziła, że ma zamiar studiować sztukę na Uniwersytecie Autonomicznym, ale jego zdaniem tak naprawdę musiało chodzić o jakiegoś faceta. To nie był powrót, lecz ucieczka. W ciągu ostatnich dwóch lat jeszcze wypiękniała. Carla zawsze olśniewała urodą; kto by powiedział, że to jego córka. Agustí nie miał pojęcia, ilu mężczyzn pojawiło się w jej życiu, bo dla niego Carla była wielką niewiadomą. I Amadeu, teraz bardziej zainteresowany brzuchem swojej żony niż rytuałem ceremonii pogrzebowej, taki zaradny, że aż zazdrość brała, tak wszystko zaaranżował, że oszczędził ojcu przykrego obowiązku przyjmowania kondolencji; sam nie wiedząc kiedy, po zgrzycie kamyków pod stopami zauważył, że idzie w kierunku samochodu, z dziwnym poczuciem winy, że zostawił tam Eulalię samą, bezbronną, zapomnianą. Ale teraz miało się zacząć to najtrudniejsze: życie bez niej, konieczność przekonania Sergiego, że obaj świetnie sobie poradzą bez matki.

– Przyjdźcie do nas na obiad – zaprosiła synowa.

– Nie – wymówił się. – Musimy zacząć się przyzwyczajać. Prawda, Sergi?

– Żegnaj, ojczu. – Carla musnęła mu policzek pocałunkiem.

Kusiło go, żeby spróbować ją zatrzymać podstępem, powiedzieć, że jest chory, że jeszcze dziś po południu ma odebrać wyniki badań, że umiera ze strachu, że chciałby ją mieć przy sobie teraz, kiedy już nie mógł liczyć na wsparcie Eulalii, że...

– Gdybyś czegoś potrzebowała, córeczko...

– Ja? Nie... – Wykręciła się zręcznie, jak to ona. – Zadzwoń, dobrze? – I energicznym tonem, rozczesując ręką włosy brata, dodała: – Buziaki, Sergi.

Tyle przynajmniej, że się nie wygłupił. Ale po południu musiał iść do lekarza, z Carlą czy bez, nikt za niego tego nie zrobi.

\*\*\*

Wyszedł z domu dość wcześnie, niecierpliwy, jakby spieszo mu było

usłyszeć wyrok, i stawiał się przed szpitalem godzinę przed wyznaczoną wizytą. Poczul się jak idiota ogarnięty obsesją natychmiastowego poznania dokładnej daty upływu terminu własnej ważności. Z wyrokiem śmierci odroczonym o godzinę ruszył w kierunku kawiarni Viena, myśląc o Eulalii; jak by to było dobrze, gdyby teraz z nim była, zajęła jego uwagę rozmową o czymkolwiek, byle nie o zdrowiu... To niesprawiedliwe. To bardzo niesprawiedliwe myśleć o tym, że jej potrzebuje, podczas gdy to ona przebywała w krainie wiecznego chłodu. Wtedy zorientował się, że przechodzi obok fundacji, zwrócił uwagę na plakaty informujące o wystawie i zapomniał o kawie, a nawet na chwilę zapomniał o smutku.

\*\*\*

Całe pomieszczenie tonęło w tonacji ciemnej ochry i odruchowo, mimowolnie, skierował wzrok w stronę okna po prawej stronie, ale nie był to unik ani ucieczka, lecz miejsce, przez które docierało silne, bezlitosne słońce, oświetlające komnatę i głównego bohatera. Był nim filozof, jak głosił napis pod obrazem, siedzący przed okrągłym stołem przykrytym sięgającym do ziemi obrusem. Czytał ogromną księgę pełną mądrości, korzystając z bożego daru światła słonecznego, które płynęło przez okno nieprzerwanie, od kiedy Rembrandt je namalował cztery wieki temu. Broda filozofa sięgała piersi, a cała postać emanowała spokojem i pogodą ducha osoby w nastroju nie jestem chory i nie muszę stawić się przed lekarką, spodziewając się najgorszego, i również nikt mi ostatnio nie umarł. W tym samym pomieszczeniu naprzeciwko okna dostrzec można było schody, które prowadziły z wieży z kości słoniowej do świata pośpiechu, chorób i nieoczekiwanej śmierci mojej biednej, kochanej Eulalii. Na pierwszym planie bardziej się domyślał, niż dostrzegał wielką szafę pełną tomów równie opasłych jak ten na stole. Dlaczego ja nie mogę być tym filozofem?

Obejrzał dwadzieścia sześć obrazów, które Nasjonalgalleriet z Oslo obwoziła w tournée po różnych miastach europejskich, żeby się reklamować i zachęcać do odwiedzenia ich kraju. Na parę szczęśliwych minut zapomniał o lęku przed wyrokiem, o nieodwracalnej nieobecności Eulalii, o obojętności Carli, o łzach buntu w oczach Sergiego, o milczącym Amadeu... i przyszło mu do głowy, że życie w otoczeniu takiego piękna byłoby prawdziwym szczęściem. Odruchowo

wrócił pięć czy sześć razy przed obraz przedstawiający filozofa, jakby chciał wy badać, obserwując go uważnie, jakie są prawdziwe źródła mądrości. Tak bardzo go to pochłonęło, że stracił poczucie czasu i kiedy wreszcie spojrzął na zegarek, już był spóźniony na wizytę. Wybiegł przerażony z fundacji, niemal potracił strażniczkę, która z satysfakcją wypisywała mandaty paru kierowcom, jej zdaniem nieprawidłowo parkującym, i dotarł do szpitala zdyszany, przestraszony, z obawą, że czeka go kara dwudziestoczworgodzinnej niepewności za siedemnastominutowe spóźnienie, i nie mogąc złapać oddechu, zapytał o lekarkę w rejestracji. Którą lekarkę. Tę, która ma mi zakomunikować dzień i godzinę mojej śmierci. Trzecie piętro.

\*\*\*

Musiał czekać zaledwie dziesięć minut w towarzystwie dwudziestki innych skazańców, obcych ludzi, być może nie mniej przerażonych niż on sam. Chwila spędzona w fundacji podtrzymała go na duchu i obiecał sobie, że niezależnie od wyników badań, wieczorem poświęci trochę czasu na oglądanie telewizji z Sergim i w ciągu najbliższych dni zabierze go do kina. W imię miłości do chłopca, przez wzgląd na miłość do Eulalii. Potem przyjdzie czas na samotny płacz, teraz, kiedy zaczyna się oswajać z myślą o okrucieństwie szponów samotności.

– Proszę usiąść.

Usiadł przed lekarką, która nie wypomniała mu spóźnienia. Jak głupi skupił się na oglądaniu ołówków wystających z kieszeni białego fartucha, jakby się spodziewał, że znają one odpowiedzi na wszelkie pytania. Pielęgniarski młodzieniec z bujną czupryną, o jasnym spojrzeniu, położył na biurku kopertę, i w niej zawarte było, jak Agustí się domyślał, jego przeznaczenie. Szelest opadającej na blat koperty zabrzmiał w jego uszach jak uderzenie młota o kamień na grobie Eulalii. Żeby jeszcze bardziej go przygnębić, młokos szeptał coś w sekrecie do ucha lekarki, a ta mu przytakiwała, pochylając głowę. Oczekała, aż pielęgniarski zniknie za drzwiami, których wcześniej Agustí nie zauważył, i pozwoliła, by upłynęły dwie, trzy, cztery sekundy, zanim zdjęła okulary i spojrzała na niego błękitnym wzrokiem, pełnym współczucia. Agustí wyciągnął wniosek, że daje mu najwyżej sześć miesięcy. I to w męczarniach.

– To bardzo dziwne, panie...

– Ardèvol – powiedział szybko, z nadzieją, że teraz lekarka spojrzy na kopertę, zda sobie sprawę z pomyłki i pożegna go całusem. – Agustí Ardèvol – nalegał. Ale nic z tego; pani doktor wzięła do ręki kopertę, na której przeczytał swoje imię i nazwisko, wyciągnęła z niej karteluszkę i nie mogła się oderwać od lektury; było dla niego jasne, że musiała je wcześniej czytać wiele razy. Przejął się losem Sergiego, biedny chłopiec, bez ojca i matki... Pomyślał też o Carli, chociaż z bólem serca musiał przyznać, że jego śmierć najprawdopodobniej nie zrobi na niej wielkiego wrażenia... I o Amadeu, który oczywiście wszystkim skutecznie się zajmie bez szemrania, jak to on... Tak bardzo je kochał, wszystkie swoje dzieci! Może za rzadko im o tym mówił. Może był zbyt nieśmiały, ale naprawdę kochał je całym sercem. Wobec niezdecydowania lekarki nie wytrzymał i pierwszy się odezwał podniesionym głosem:

– Pani doktor, proszę mi wreszcie powiedzieć! Ile lat?... – Ale wobec wymownego milczenia kobiety zrezygnowany spuścił z tonu i zdecydował się stawić czoło rzeczywistości: – Ile miesięcy życia mi pozostało?

– Słucham?

– Nie, ja tylko... – Teraz Agustí poczuł się nieco dezorientowany. – Co mi jest?

– Och... Nic strasznego. Przestraszył się pan, panie Ardèvol? – odpowiedziała, zdejmując okulary. – W zasadzie jest pan zdrowy.

Agustí oparł się o krzesło, przerażony. Albo sobie z niego żartuje, albo nie zostały mu lata, miesiące czy dni, ale godziny, i dlatego woli go oszukiwać do samego końca... Eulalio, moja najdroższa... Jeżeli jest coś po śmierci, chociaż wiem, że nie ma, niedługo tam się spotkamy. Tylko pamięć o twojej miłości dodaje mi siłę, by nie ulec panice i od razu nie paść tu trupem. Dzieci moje najdroższe, wasz ojciec zrobi wszystko, żeby odejść z honorem, aby pozostać w waszej pamięci jako małżonek godny waszej matki. Kocham was, dzieci moje.

Wtedy dotarł do niego głos lekarki, która mu wyjaśniała po kolei wyniki poszczególnych badań ludzkim językiem; tu nic się nie dzieje, tam też wszystko w porządku; pouczyła go o transaminazach, o szkodliwości złego cholesterolu, o konieczności zdrowego trybu życia, zaleciła ograniczyć alkohol i papierosy, jeść dużo warzyw, a na to wszystko jemu wyrwało się z głębi serca:

– Czy to znaczy, że ja jeszcze nie umieram?



Zamiast go uspokoić, lekarka odpowiedziała mu pytaniem, jakby grała z nim w tenisa:

– Pan jest żonaty i ma pan dzieci, prawda?

– Właściwie to... – Była pierwszą osobą, której miał o tym powiedzieć, więc najpierw musiał wziąć głęboki wdech: – Przedwczoraj zmarła moja żona. – Dodał, jakby się tłumaczył: – Miała wylew. Dziś ją pochowaliśmy.

– Coś takiego... – Zdjęła okulary. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję.

– Trójka dzieci, prawda?

Ile razy można ściągnąć okulary? Potwierdził, że tak, troje, a tymczasem się zastanawiał, jak to jest, że nie widział ani razu, jak je zakłada, jakby miała trzydzieści czy czterdzieści par, osobne do każdej ważnej informacji. Jak w tej chwili – znów je zdjęła i jej błękitne oczy zmierzyły się z nieufnym spojrzeniem Agustína.

– Chodzi o to, że... To bardzo dziwne, ale badania... – pomachała mu przed nosem jedną z kartek – nie pozostawiają absolutnie żadnych wątpliwości.

– Pani doktor... – Teraz, jakby chciał odzyskać szacunek dla samego siebie, wysilił się na żart: – Ja, wiedząc, że nie muszę umierać... cokolwiek by mi pani zakomunikowała, zniosę spokojnie i bez lęku.

Patrzyła, jakby wątpiła w prawdziwość deklaracji swojego pacjenta. Westchnęła, spojrzała na zegar za plecami Agustína i zdecydowała się spełnić w końcu swój zawodowy obowiązek.

– No więc, jak już mówiłam. – Kartka, którą opuściła na biurko, spadła prosto przed nim, zdjęła okulary, tak, znowu, i patrząc mu prosto w oczy, oświadczyła: – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że pan, od czasu tamtej choroby... od czasu świnki... którą przechodził pan... – Kiedy teraz podniosła kartkę, Agustí w końcu zauważył, jak lekarka zakłada okulary i czyta: – W... w wieku... piętnastu lat, jest pan bezpłodny.

Lekarka poczuła się niezręcznie, znów zdjęła okulary i położyła je na biurku. Ten odgłos zabrzmiał w jego uszach jak uderzenie młota o kamień na grobie Eulalii. Agustí, któremu dosłownie odebrało mowę, pomyślał, że... Nie, nic sobie nie pomyślał, bo teraz musiał zacząć oswajać się z myślą, że przyszłość tych, którzy utracili kogoś bliskiego, też może być niezwykle okrutna.

SZCZĘŚCIE NA WYCIĄGNIĘCIE RĘKI

*Nie mów mi, że to nieprawda, że słońce kąpie się w morzu.*

FELIU FORMOSA

- Po prostu dlatego, że chcę zobaczyć zachód słońca w dolinie Sau.
- Moim zdaniem to za słaby powód, żeby ryzykować życie.
- Kiedy byłem młody, wróciłem z Saksonii, bo się stęskniłem.
- Zawsze będziesz nieszczęśliwy.
- Tak. Zawsze będę tęsknił za Sau.

Obaj mężczyźni stali nieruchomo, nie zważając na słońce, które żywym ogniem paliło ich karki; specjalnie opóźniali moment opróżnienia śmierdzących kubłów, udając, że czyszczą je z gówna, żeby zyskać na czasie, i porozumiewali się szeptem, by nikomu nie przyszło do głowy, że mogą rozmawiać w tym okrutnym słońcu. To prawda, że Oleguer tęsknił za Sau i jego surowym pięknem. Ale przede wszystkim dręczyła go niepewność, o której nie chciał mówić głośno – dlaczego Cèlia do niego nie pisze. Przez dwanaście lat spędzonych wśród szczurów i pluskiew czekał każdego dnia, w każdej minucie, w każdej chwili na list, który ciągle nie przychodził...

– Bo ty nigdy nie widziałeś zachodu słońca w Sau – nadal przekonywał Toneta, żeby tylko uniknąć w rozmowie tematu Cèlii.

– Obejdzie się. Nie chcę uciekać. Jak cię złapią, zabiją bez gadania. Wolę nic nie wiedzieć. A ty mi niczego nie mówiłeś, jakby co.

I szybko się ulotnił z pustym, śmierdzącym kubłem. Zniechęcony Oleguer podniósł głowę i napotkał wzrok tamtego wrednego żołnierza: uważnie mu się przyglądał, przeżuując źdźbło rozmarynu, a oczy mu błyszczały nienawiścią, którą żywił do wszystkich nędznych synów węża, czyli klientów więzienia wielkiego króla Fernanda.

Sześć lat temu, kiedy pierwszy raz przymierzał się do ucieczki, Oleguer

Gualter wyłożył karty na stół i wyznał swój sekret Massipowi, z którym miał uciekać, a ten, nie przestając przeżuwać źdźbła suchej trawy, powiedział mu, że wszystko to pięknie, ale powinienś wyrzucić tę przekłętą córkę z pamięci.

– Nie mów tak o niej. Nie wiem, czemu do mnie nie pisze.

– Bo jej na tobie nie zależy.

– Nie: na pewno jest bardzo zajęta. Może wyszła za mąż, może ma gromadkę dzieci i...

– Dureń jesteś – odpowiedział Massip. – Ale zazdrozczę ci córki, do której możesz tęsknić. Córki, która na dodatek umie pisać. A co do ucieczki, na mnie nie licz. Za bardzo się boję.

Wtedy Oleguer Gualter z bólem serca musiał odstąpić od planu, ponieważ nie dało się go zrealizować w pojedynkę, a mógł liczyć tylko na Massipa, jedyne więźnia, za którego dałby sobie rękę uciąć. Pozostali, gdyby tylko się dowiedzieli, natychmiast by na niego donieśli, żeby cokolwiek zyskać w oczach naczelnika, bo jedynym efektem, jaki udało się osiągnąć tym ścianom, była stopniowa degrengolada wszystkich więźniów, aż do całkowitej utraty poczucia wstydu.

Co za ironia losu: po siedmiu miesiącach Massip sam poprosił, żeby go wtajemniczył w plan ucieczki, bo ziemia mu się paliła pod stopami. Wtedy udało im się porozmawiać na spacerunku, rano, bo ówczesny naczelnik przyznał im dodatkową wolną chwilę mimo milczącej dezaprobaty żołnierzy i wrednych strażników więziennych.

– Musiałbyś wymknąć się w ciemności. Plan jest ten sam.

– Wszystko jedno. Wspaniale.

Przez trzy noce, w tajemnicy przed pozostałymi więźniami z celi, ustalali, że mniej więcej o północy, w czasie zmiany warty, kiedy wszyscy śpią, mogliby wspiąć się na dach przy pomocy tego sznura, który skręcili ze słomy przeplatanej nadzieją, z bezgraniczną cierpliwością. Stamtąd będą mogli, jeśli nie przestraszą się w ostatniej chwili, skoczyć z wysokości dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn, uciec przez łąkę, nawet ze złamaną nogą, wytrzymać ból, aż dotrą do lasu, gdzie już będą mogli uważać się za prawie ocalonych, chyba że ich tam wytropią psy. Massip, który siedem miesięcy temu kręcił nosem, bo plan zbyt wiele pozostawiał przypadkowi, musiał teraz przyznać, że

to jedyna realna możliwość. Trzy dni wcześniej w gabinecie naczelnika przeczytali mu wyrok. Wtedy z nerwów dostał sraczki i w pośpiechu zaczął się rozglądać za Oleguerem, żeby go zapytać, przyjacielu, jak ci się wydaje, może byśmy jednak wrócili do rozmowy o twoim planie.

– Musiałbyś wymknąć się w ciemności. Plan jest ten sam.

– Wszystko jedno. Wspaniale – odpowiedział Massip. – Uciekam z tobą, natychmiast – dodał. Oleguer zdecydował, że zrobią to, jak tylko księżyc przestanie o północy malować noc na żółto. Za pięć dni, Massipie. Ale do ucieczki nie doszło, ponieważ z niewiadomego powodu przyspieszona została egzekucja i tym samym plany Oleguera i życie Massipa wylądowały na śmietniku. Tajemnicę Oleguera nieszczęśnik zabrał ze sobą na nędzny cmentarz więźniów Jego Królewskiej Mości Szaleńca imieniem Ferdynand, który legitymował się numerem szóstym i nazwiskiem Burbon.

Przed wszystkim dlatego, ale też przez wzgląd na pamięć nieszczęsnego Massipa, Tonetowi wolał opowiadać, że tęskni za zachodem słońca w Sau. Tonet, z kubłem nieczystości w ręce, spojrział na niego krzywo i poszedł sobie. Żeby to wszystko jeszcze raz przemyśleć, Oleguer przestał podpierać ścianę spacerniaka i przeszedł w miejsce, gdzie zachodzące słońce operowało najsilniej i gdzie nie było nikogo, kto by go mógł nazwać wariatem. Nie ufał żadnemu ze współwięźniów, ale zdecydował się na Toneta i to musiał być Tonet, bo był, podobnie jak Massip, lekki, drobnej budowy. Czas, którego miał w nadmiarze, zużywał na rozmyślanie o Cèlii, o swoich zmarłych, o mistrzu Nicolau i o pejzażu Austrii i Saksonii, tak odmiennym jak język, który udało mu się opanować po sześciu czy siedmiu latach pobytu w tamtych stronach. A kiedy miał już dość wspomnienia, ulepszał w myślach plan ucieczki, który wcześniej zaproponował Massipowi. Wiedział, że po dwunastej w nocy, po zmianie warty, większość strażników zazwyczaj ucina sobie drzemkę, bo w więzieniu nigdy nic się nie działo i wszędzie panowały takie ciemności, że nie dało się postawić stopy, żeby nie wpaść w jakąś dziurę czy do byle jak przykrytej studzienki na więziennym spacerniaku. Nikt ze strażników nie wiedział, że po dwunastu latach oczy Oleguera nie tylko wyblakły, raczej z rozpaczy niż z powodu ciemności, ale też nauczyły się widzieć w nocy, jak oczy kocie. Nie przyszło im do głowy, że nie wybierze oczywistej drogi ucieczki, przez spacerniak, ale przez dach, gdzie nocą nie da się zrobić kroku bez ryzyka skręcenia karku. Ale

dłaczego do mnie nie napisze choćby jednego listu? Tylko jednego!... On wysłał do niej siedem listów podczas pierwszych siedmiu miesięcy. Kiedy poprzedni naczelnik sobie zakpił, że gołym okiem widać jej brak zainteresowania korespondencją z ojcem, na jakiś czas dał sobie spokój z pisaniem. Żeby się nie ośmieszać? Nie: żeby się nie narzucać. Ale po paru miesiącach znów zaczął pisać krótkie prośby, parę słów, Cèlio, droga córko, napisz przynajmniej, że żyjesz, że u ciebie wszystko w porządku, że wyszłaś za męża, że urodziłaś dzieci, że o mnie pamiętasz... Tylko dwa słowa: bądź zdrow, ojczy. O nic więcej nie proszę, tego jednego pragnę najbardziej na świecie, droga Cèlio.

Wtedy zmienili naczelnika i pojawił się ten gnojek Ròdenes; kazał się tytułować baronem, chociaż nim nie był, i rozkoszował się oglądaniem, jak słabną ciała jego podopiecznych, oczywiście z powodu złych czynów, które ich tu doprowadziły. Skończył się spaceriak i powrócił reżim zakonny, z nakazem milczenia, bo o czym tu rozmawiać. Wtedy zabronili mu nawet pisać, co ty sobie wyobrażasz, że będziemy obciążać królewską pocztę korespondencją, bo ty masz taki kaprys? Nie trzeba było wchodzić w konflikt z prawem. I tak upłynęło sześć lat, a może siedem, w oczekiwaniu na list od Cèlii. Tylko z tego powodu, nie z tęsknoty za zachodami słońca w Sau, o nich już nie pamiętał, postanowił uciec z więzienia Jego Wysokości.

Kiedy miał siedem lat, jego ojciec, który wyemigrował z Sau do Barcelony, oddał go na naukę do organmistrza Nicolau Saltora. Gdyby wtedy ojciec wiedział, że przedstawiając go mistrzowi, skazuje syna, kiedy dojdzie do wieku lat czterdziestu, na dożywocie, a kiedy już całkiem zgnije na zewnątrz i od środka, na śmierć w najbardziej ponurym więzieniu, jakie istniało w całym kraju, na pewno odwróciłby się na pięcie i zabrał syna tam, skąd przyszli. Ale tak to już jest z przeznaczeniem: nie opowiada ci całej historii, tylko ten fragment, który mu pasuje i chcąc cię oszukać, z premedytacją ukrywa właściwe zamiary pod dwuznacznym uśmiechem.

Tymczasem Oleguer, niczego nie przeczuwając, szybko wyróżnił się w pracowni mistrza Saltora. Krótko trwał etap uczniowski. W wieku piętnastu lat już był uszami mistrza w kwestii długiego procesu strojenia piszczałek; przez jego czułe ręce przechodziły metale, drewno i filc, a głowę ćwiczył w przenikaniu tajników cudu złożonej mechaniki dźwięku organów i różnych sposobów osiągnięcia największej wydajności rezerwuaru. Nauczył się postrzegać

życie z perspektywy tysiąca dźwięków organowych i nawet nie zdawał sobie sprawy, jaki był wtedy szczęśliwy.

Zdziwił się bardzo, kiedy następnego dnia, przy opróżnianiu kubłów, Tonet powiedział, no dobrze, tak, jestem zainteresowany, dość już tego srania do kubła. Ale najpierw musisz mi wszystko wyjaśnić ze szczegółami.

Musieli poczekać do spaceru. Usiedli w najbardziej nasłonecznionym miejscu, żeby nikt im nie przeszkadzał. Nie zwracając uwagi na pot spływający po twarzy, powiedział, że już od dwunastu lat, nazajutrz od dnia, kiedy tu został uwięziony, dysponuje kluczem od celi. To kwestia szczęśliwego zbiegu okoliczności – klucz zgubił jeden ze strażników, który już tu nie pracuje, i nikt nie zauważył, że jakimś cudem wpadł prosto do jego celi. Schował go w słomie, nie mając pojęcia, czy kiedykolwiek do czegoś mu się przyda, a tamci, po bezowocnych poszukiwaniach, zamiast zmienić zamek, ograniczyli się do zrobienia kopii. A po paru miesiącach, dzięki cierpliwemu obserwowaniu strażników zorientował się, że klucz otwiera również drzwi na końcu korytarza prowadzące na strych, a stamtąd, przez komin, na dach. Przez dwanaście lat myśl o kluczu nie dawała mu spokoju, ale musiał zachować ten sekret dla siebie, dopóki nie zaistnieją okoliczności stosowne do ucieczki. Tak, przez dach. Czego tamci najmniej się spodziewają.

- Nie zmieszczę się w kominie.
- Nie jedz przez parę dni. Ja się mieszcę.
- Jak już się dostaniemy na dach... możemy skrócić kark.
- Tak. Ale dachu nie pilnują.

Żołnierz z siwą brodą mełł w ustach źdźbło rozmarynu i obserwował ich z daleka z kwaśną miną, jakby się domyślał, o czym rozmawiają. Po wysłuchaniu całego planu Tonet westchnął ciężko, położył Oleguerowi rękę na ramieniu i powiedział szeptem:

- To się nie może udać. – Po chwili, zerkając na żołnierza, który ich obserwował, mówił dalej: – Ale idę z tobą. Pod jednym warunkiem.
- Jakim.
- Że zabierzemy Fanera.

Powinien był to przewidzieć. Tonet i Faner trzymali się razem, nierozłączni jak dupa i gówno. Że też o tym nie pomyślał, zanim mu zaproponował udział.

W myśli szybko przeanalizował cały plan krok po kroku, tym razem z Tonetem i Fanerem, który był od niego szczuplejszy.

– Zgoda, Tonet – westchnął po chwili. – Faner może do nas dołączyć, jeśli ma ochotę złamać nogę. – Uśmiechnął się zrezygnowany i dodał: – Ale jak puści parę z ust, to go zabiję.

Uzgodnili, że najlepiej uciec za dwa tygodnie, kiedy nieobecny księżyc będzie sprzyjać ich śmiałym planom. Oleguer spędzał dni, które miały być jego ostatnimi chwilami w więzieniu, oparty plecami o ścianę celi, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zatopiony we wspomnieniach o Wiedniu, który znał chyba nawet lepiej niż Barcelonę. Kiedy król Karol zrezygnował z tronu, zabrał do Wiednia część swojego barcelońskiego dworu i tych generałów i oficerów, którzy go popierali. Królowa osobiście wyraziła życzenie, by do Wiednia udał się również mistrz Nicolau Saltor. Oleguer, wtedy już dziewiętnastoletni, osierocony przez rodziców, miał w oczach głód świata i bez namysłu udał się zadowolony, jako pomocnik mistrza Nicolau, na złote wygnanie do Wiednia, żeby służyć królowi, który teraz został cesarzem i który zamienił imię z Carlosa na Karla, a numer trzeci na szósty.

I wtedy, gdy Oleguer odliczał ostatnie dni w więzieniu, oparty o ścianę celi, z rękami założonymi na piersiach, rozmyślając o Wiedniu, o Cèlii, o Sau, o śmierci Marii, o tragicznej wiadomości na temat Perego, którą wyczuł sercem, właśnie wtedy na miejsce tego sukinsyna Ròdenesa przysłali nowego naczelnika. Przez kilka pierwszych dni drżeli z niepokoju, żeby tylko więzienne obyczaje się nie zmieniły, żeby wszystko pozostało jak dawniej, bo tylko wtedy mogli dokonać zaplanowanej ucieczki. A gdy już dostanie się do lasu, jeśli wcześniej nie połamie nóg, poprosi jakiegoś woźnicę, żeby go zabrał do Vic, gdzie w pierwszej kolejności uda się do domu, żeby sprawdzić, czy Cèlia nadal tam mieszka. A może są nowi mieszkańcy, których mógłby zapytać o adres, jeśli się przeprowadziła. Spojrzyj jej w oczy i powie nie martw się, kochana córko, zaraz sobie pójdę, nie chcę być dla ciebie ciężarem... Tylko mi powiedz, dlaczego w ciągu dwunastu lat ani razu do mnie nie napisałaś, ani razu? Przecież wiadomość od ciebie stałaby się światłem w moim życiu. Gdybym tylko mógł wziąć napisaną przez ciebie kartkę do ręki, życie by mniej bolało. W dniu, kiedy sierzanci przyszli mnie aresztować, bo korpus organów w kościele Augustianów pękł i spadając, przygniótł dwóch zakonników,



widziałem, jak twoje perłowe oczy, moja śliczna, płakały w duchu, żeby nie pogłębiać mojego cierpienia, a ja zdążyłem tylko powiedzieć, idź do Bertrany, tam na pewno się tobą zaopiekują, to długo nie potrwa, najwyżej parę dni. Ale okazało się, że jedną z ofiar był generał zakonu i kuzyn kogoś w rodzaju ministra Szalonego Króla i z paru dni zrobiło się parę lat, z zaleceniem szczególnego traktowania. A ja bez przerwy do ciebie pisałem, moja królowo, chcąc się dowiedzieć, jak cię traktują u Bertrany, co porabiasz, prosiłem, żebyś czekała, ja zaraz wrócę. A ponieważ nie poczułem żadnego ostrzegawczego ukłucia w sercu, ciągle do ciebie pisałem.

Rzecz w tym, że pewnego dnia Massip mu powiedział, daj Boże, żeby tak nie było, ale może brak odpowiedzi oznacza, że ona nie żyje. A on tylko się uśmiechnął, pewny swego, i odpowiedział coś ty, przecież bym to wyczuł, tak jak przeczulem śmierć mojej Marii, która zmarła, kiedy on był poza domem, zajęty naprawianiem zawilgoconych organów w katedrze Manresy, co zajęło mu dwa miesiące. Regulował właśnie, ciągle niezadowolony z efektu, pedały basowe, usytuowane po stronie ambony ołtarzowej, kiedy poczuł ukłucie w sercu, dokładnie w tym momencie, jak się później dowiedział, kiedy serce Marii powiedziało nagle dość, bez uprzedzenia. I kiedy Pere położył się pod kołami tego wozu, on, przemierzając pieszo drogę z Prats do Moià, mając w kieszeni korzystny kontrakt na naprawę trzech fisharmonii, też poczuł to ukłucie. Tak mocno go zabolalo, że odwrócił się na pięcie, machnął ręką na kontrakt i tak jak się obawiał, stracił pierworodnego syna. A teraz serce nic mi nie mówi, Massipie. Cèlia jest cała i zdrowa, ale nie mam pojęcia, czemu do mnie nie pisze.

Odwołali Ròdenesa, a na jego miejsce przyszedł chudy, zaszuszony, milczący mężczyzna, który siedział przy świetle lampy naftowej jeszcze długo po północy. Przez pierwsze dni strażnicy wymieniali między sobą spojrzenia i zastanawiali się, na ile będą mogli sobie pozwolić i jakie będą problemy z nowym naczelnikiem.

Na pryczy, w ciemnościach, Oleguer leżał pochłonięty myślą o Cèlii, i żeby choć na chwilę od nich odpocząć, przypominał sobie Wiedeń, dwa lata spędzone w Schönbrunn, kiedy pałac dopiero był w budowie, a on pracował przy tworzeniu wielkich organów do kaplicy cesarskiej, przedostatniego instrumentu sygnowanego przez mistrza Saltora, zanim zapadł na gorączkę,

która go pokonała. Cesarz, bardzo zadowolony z pracy mistrza, w nagrodę zafundował mu podróż po cesarstwie i całych Niemczech, żeby mógł obejrzeć różne organy. Spędził długi rok w trasie, słuchając, grając, zapamiętując, kupując i ucząc się największych sekretów oraz marząc o zbudowaniu instrumentu doskonałego. W roku siedemnastym, kiedy Oleguer skończył dwadzieścia dwa lata, mistrz Saltor przyjął zlecenie w Markkleebergu i urządził prowizoryczną pracownię na zielonym wybrzeżu rzeki Pleisse. Z niesamowitą szybkością skonstruował organy, niewielkie, ale o anielskim dźwięku, dla kościoła protestanckiego tego miasteczka. Oleguer nie wątpił, że to najlepsze organy, jakie kiedykolwiek stworzył jego mistrz. Saltor był bardzo zadowolony, że może zostawić świadectwo swego talentu w pięknym, nikomu nieznanym saksońskim miasteczku. Kazał wygrawerować na metalowej tabliczce napis *Saltorius barcinonensis me fecit*<sup>[4]</sup>, anno 1718, i wkrótce potem zmarł, usatysfakcjonowany.

Tydzień mu wystarczył na upewnienie się co do realności i aktualności planu ucieczki, o czym poinformował swoich dwóch współników, którzy również w ukryciu i z wielkim trudem pletli swoją linę ze słomy z siennika. Umówili się, że uciekną w piątek, siedemnastego, kiedy księżyc będzie w nowiu, choćby waliły pioruny. Nie wziął tylko pod uwagę nieograniczonego zapału do pracy nowego naczelnika.

Przyszedł wyznaczony dzień i nastąpiła noc. Z bijącym sercem czekali, aż inni więźniowie głęboko zasną, a słabe światło u strażnika na piętrze zacznie przygasać, żeby nabrać powietrza w płuca i wyciągnąć klucz z kryjówki. Towarzysze z celi zaczęli już spokojnie chrapać – to jeden, to drugi, ale światło u wartownika zamiast zgodnie z logiką przygasać, jak każdej nocy, tym razem jeszcze się wzmogło. Wtedy z przerażeniem usłyszeli, że ktoś otwiera drzwi do ich celi. Strażnik piętra, wredny typ, szeroko otworzył czarną, zniszczoną przez próchnicę gębę, powiedział ty i wskazał go palcem. I jeszcze przy tym uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją, obnażając ruinę uzębienia. Towarzysze planowanej ucieczki mieli duszę na ramieniu, jego dusza zaś w tym momencie rozbiła się o bruk. Nie wiedział, jakim sposobem wyciekł ich plan ucieczki. Obrzucił oskarżycielskim spojrzeniem towarzyszy wyprawy, ale w ich wzroku napotkał tylko popłoch. Zrezygnowany szedł za strażnikiem, myśląc, nigdy więcej nie zobaczę perłowych oczu Cèlii. Gdyby mi przysłała choć jeden

list... Jak błyskawica przemknęło mu przez głowę wspomnienie pogrzebu mistrza Saltora i podjęta wtedy decyzja, żeby przyjąć zlecenia, na które mistrz zgodził się w Markkleebergu, i towarzyszące jej uczucie, że nie pozostał mu na tym świecie żaden punkt oparcia, bo jego rodzice już nie żyją, jego mistrz również i od tego momentu nikt mu nie podpowie, czy tak, czy nie, iść w prawo czy w lewo, rzucić się głową w dół i wreszcie ze sobą skończyć, czy iść tym długim korytarzem, który miał go doprowadzić do kwatery naczelnika.

Nowy naczelnik stał, kiedy Oleguer został doprowadzony do jego gabinetu, i patrzył przez brudne okno w ciemność, z pewnością po to, by prześledzić zaplanowaną trasę ucieczki. Lampa naftowa, której światło widzieli z okna celi, jasno oświetlała pomieszczenie. Na biurku leżał stos papierów. Nowy naczelnik usiadł na swoim miejscu, a jemu wskazał ruchem głowy krzesło po drugiej stronie, więc stał tam, czekając na tortury albo wyrok śmierci za próbę ucieczki z więzienia Jego Wysokości Szalonego Króla Ferdynanda.

– Jesteś tu od dwunastu lat.

– Tak, panie naczelniku.

– Najdłużej ze wszystkich.

– Tak, panie.

Naczelnik sięgnął po stos papierów i zaczął czytać jeden z nich, nie zwracając na nic uwagi. Oleguer w tym czasie walczył z lękiem, skupiając się na myśli o warsztacie w Markkleebergu i pierwszych, jeszcze niewielkich organach, które samodzielnie wykonał, ciesząc się sławą ucznia mistrza Saltora, do użytku wewnętrznego Szkoły Świętego Tomasza, niedaleko od Markkleebergu, w dużym mieście Lipsku. A potem ogarnęła go tęsknota, nie za Barceloną, w której się wychował, ale za odległym, zamazanym pejzażem Sau, gdzie przyszedł na świat, tęsknota tak silna, że sprzedał korzystnie swój warsztat i wymyślił sposób, jak ominąć Wiedeń i wrócić do cichych samotnych gór wokół doliny Sau, gdzie miał rozmyślać i gdzie poznał Marię, którą los, zawsze gotów wyskoczyć zza drzewa jak bandyta z zasłoniętą twarzą, trzymał tam dla niego w zanadrzu. Kiedy osiadł na posadzie organmistrza w Vic, Maria była w ciąży z pierwotnym. Cèlia urodziła się trzy lata później, kiedy już mógł się pochwalić wspianymi organami dla uniwersytetu w Cerverze i dla katedry w Manresie. A teraz musiał jej powiedzieć żegnaj, Cèlio ukochana, jedyna osobo, która pozostanie przy życiu z całej mojej rodziny, bo ucieczka

czy próba ucieczki są karane szubienicą.

Naczelnik też błędził gdzieś daleko myślami, pochłonięty czytaniem papierów na biurku, jakby zapomniał o obecności więźnia, którego miał skazać. Wreszcie oderwał się od lektury jednej z kartek, złożył ją bardzo starannie, podniósł głowę i po raz pierwszy spojrzął Oleguerowi w oczy:

– Czy kiedykolwiek otrzymałeś jakiś list?

– Nigdy.

– Kim jest Cèlia Gualter?

– To moja córka.

Wtedy pokazał mu stos papierów na biurku i przesunął go w stronę więźnia.

– Wszystko to są listy twojej córki. Bardzo dobrze pisze.

Nogi się pod nim ugięły, w końcu, wreszcie, ukochana Cèlio, tyle listów na raz, jak to możliwe. Wszystkie otwarte. Naczelnik poinformował go, że córka pisała do niego regularnie raz w miesiącu i opowiadała, co się działo, między innymi o narodzinach jego wnuków.

– Wnuków?

– Nie wiedziałeś?

Gestem wskazał mu, że może sobie zabrać cały stos. Nie mógł zdecydować, czy z wrażenia zemdleć na miejscu, czy poczekać i zemdleć dopiero w celi. Tamten mówił dalej, jakby się tłumaczył:

– Nie wiem, czemu ci ich nie przekazywano, ale pisze do ciebie te listy całymi latami. –Pozwolił sobie na komentarz: – Wydaje mi się, że twoją córkę znam teraz lepiej niż ty.

Ruchem głowy nakazał mu, żeby już sobie poszedł gnić dalej na barłogu wśród szcurów i karaluchów. Ale z listami. Wrócił do celi ledwo żywy, dzierząc mocno w obu dłoniach powód swojego szczęścia. Nie zemdlał. Strażnik najwidoczniej otrzymał rozkaz od chudego, zaszuszonego naczelnika i zostawił mu światło przy kracie, na wypadek gdyby jeszcze przed świtem chciał się zabrać do lektury. Kiedy wszedł, siadł na pryczy i ciężko oddychając, przyciskał obiema rękami do piersi cały pakiet.

– Co ci zrobili? – zapytał szeptem Faner.

Nie miał siły odpowiedzieć. Za bardzo był poruszony.

– Mówili ci o nas? – niecierpliwił się Tonet.

Dopiero wtedy zauważył ich obecność. Dlaczego musiał znosić tych dwóch osłów, czemu zakłócali jego sam na sam z Celią, dziecino, a ja skarżyłem się Massipowi, że do mnie nie piszesz. Biedny Massip już dawno w grobie.

Przy słabym świetle świecy pozostawionej niechętnie przez bezzębnego strażnika udało mu się przeczytać w pierwszym liście słowa drogi ojczyźnie, jak ojciec się miewa? Proszę mi powiedzieć, czy ojciec czegoś specjalnego potrzebuje, bo szwagierka Bertrany powiedziała, że zna jakiegoś człowieka, którego brat służy gdzieś w wojsku i mógłby spróbować jakoś ojcu pomóc. Bardzo za ojcem tęsknię, przeczytał, ale nie mógł czytać dalej, bo oczy miał pełne łez i te słodkie litery zlewały się w jego duszy, a tymczasem Faner i Tonet stali mu nad głową i zaniepokojeni szeptali, co się dzieje, do cholery? Czy to wyrok śmierci? Kręcił głową, że nie, płakał i ciągle nie mógł uwierzyć, że córka napisała do niego tyle listów. Wnuki. Miał wnuki. I znów się rozpłakał. Tonet i Faner patrzyli na niego zdezorientowani i nie wiedzieli, co myśleć. Chwilę później tamten bandyta zabrał im światło; zapadła ciemność i cisza.

– Zaraz będzie północ – odezwał się Tonet po dłuższej chwili.

Nic nie odpowiedział. Za bardzo go pochłaniało przytulanie listów i rozmyślanie o perłowych oczach córki.

– Jest północ – powtórzył Tonet. I dodał zdecydowany: – Jesteśmy gotowi.

– Ja nie idę.

– Co takiego?

W ciemności wręczył mu klucz, którego strzegł przez dwanaście lat.

– To, że nie idę.

– Ale przecież ty... – Nie wierzył własnym uszom. – Że nie... – Nie rozumiał.

– Przecież całe lata ci zajęło... – Zrozpaczony: – Dlaczego, Oleguer? Dlaczego?

– Bo muszę przeczytać listy mojej córki. Ucieknę kiedy indziej.

– Ale przecież... Jak uciekniemy, będziesz mógł ją zobaczyć...

– Tyle lat na to czekałem... – powiedział sam do siebie, tak cicho, że tamci niewiele usłyszeli. I dodał głośniejszym głosem: – Listy są po to, żeby je przeczytać. Możecie uciec beze mnie.

– Ale przecież to twój pomysł. Jeśli go raz wykorzystamy, będzie spalony...

– Teraz mam zajęcie. Może kiedy indziej. – Zniecierpliwiony: – Żegnajcie. Życzę powodzenia.

Tamci patrzyli jeden na drugiego skonsternowani. Tonet wzruszył ramionami i powiedział do Fanera do dzieła. Wściekły wskazał sylwetkę leżącą na pryczy, ze stosem listów przyciśniętych do serca.

– Wilgoć rozmiękczyła ci mózg.

– Nie zwlekajcie – ponaglił ich, bo jak najszybciej chciał zostać sam.

Dwaj spiskowcy opuścili celę za pomocą klucza i w ciszy zniknęli w końcu korytarza, kierując się w stronę drzwi prowadzących na strych. Kiedy przestał słyszeć ich ostrożne kroki, ułożył się wygodnie na pryczy i podłożył sobie pod głowę jak poduszkę listy córki. Po raz pierwszy od dwunastu lat przespał spokojnie całą noc.

IV

DWIE MINUTY

Westchnęła, zadowolona, wydmuchując dym. Sama widzisz. Nic się nie stało. Niewierność, jakie to proste: dwie minuty, pim pam pum i już masz za sobą zdradę małżeńską. Było oczywiste, że z nieba nie zstąpiły anioły, dmiąc w trąby potępienia. A ten prawie nieznamy mężczyzna miał idealne ciało; widać, że je dużo jogurtu.

– Jak ty to robisz, że w ogóle nie masz brzucha? – mogła zapytać, skoro już się spoufalili.

– Uprawiam sport. A ty nie powinnaś palić.

Uprawia sport. Dbą o siebie. Nie tak jak ja albo Ricard, bo przychodzi taka chwila, kiedy jest ci wszystko jedno i nie myślisz o tym, żeby się podobać, tym bardziej że twój partner wcale tego od ciebie nie oczekuje.

– Pójdę już.

– Zaczekaj ze dwie minuty. Uważasz, że jestem ładna?

– Bardzo – skłamał ten od jogurtu.

Orgazm godny zapamiętania w jej pierwszym moralnym upadku; a Neus uprzedzała ją, że jeżeli to zrobi, będzie czuła więcej lęku niż przyjemności – lęku, że Ricard przyłapie ich na gorącym uczynku, lęku przed popełnieniem grzechu, lęku nie wiadomo przed czym, że będzie po niej widać, kiedy wyjdzie na ulicę – wszystko, tylko nie orgazm. A tu się okazuje, że owszem, i to z serwisantem pralek, usługi na miejscu, atletą delikatnym i silnym, prawdziwą bestią. Dlaczego miałyby się bać? Nie czuła się zobowiązana wobec Ricarda, nie kochali się, nie... A gdyby przyszło mu do głowy właśnie dzisiaj wrócić do domu trochę wcześniej? Nie; w ciągu dwunastu lat nie zrobił tego ani razu.

– Wiesz co? Lepiej będzie, jak już sobie pójdiesz.

Mężczyzna podniósł się z wdziękiem, pozwolił, żeby kobieta, która wydawała się bardziej napalona niż płonąca pochodnia, obejrzała go sobie dokładnie, pomyślał, biedactwo, ale cóż, małe dymancko o poranku miła rzecz, uszczypnął ją w policzek, żeby zyskać na czasie, żeby dłużej mogła go podziwiać, i zaczął się ubierać.

– To dla ciebie – powiedziała.

Wręczyła mu należność za naprawę pralki plus zadziwiająco suty napiwek.



Pomyślał no nie, chyba jej tym rzucę w twarz. Ale ostatecznie udał, że nic nie zauważył, i włożył pieniądze do kieszeni. Zaprosił Katty na kolację.

– Jak ci na imię? – Leżąc jeszcze na łóżku, zdusiła szybko w popielniczce przed chwilą zapalonego papierosa, podniecona, z trudem powstrzymując się, żeby nie powiedzieć przychodź codziennie do mojej pralki. On w odpowiedzi pocałował swój palec wskazujący i uśmiechnął się, tak jak Cindy Crawford na okładce jakiegoś amerykańskiego pisma. Udając twardziela, odszedł, nie odwracając się za siebie. Zabrał skrzynkę z narzędziami i wyszedł, modląc się w duchu, żeby nie natknąć się na kogoś, kto by go przyłapał w niezręcznej sytuacji. Zamknął za sobą drzwi zdecydowanym ruchem, po cichu, i jeszcze przez moment myślał o nieznanym kobiecie, którą zostawił w obcym łóżku. Nie było mu jej żal. Nad sobą też się nie litował; przyszło mu do głowy, że mógłby zostać zawodowym żigolakiem, ale szybko odrzucił tę myśl i uśmiechnął się zawstydzony. Kiedy się znalazł na ulicy, zapalił papierosa, na którego już od dłuższej chwili miał ochotę, zastanowił się, gdzie do licha zaparkował furgonetkę, i przejrzał listę adresów, żeby ustalić najkorzystniejszą kolejność i odzyskać stracony czas. Zszedł z chodnika na jezdnię w momencie, gdy bezszelestnie zajęchała limuzyna. Ale fura, pomyślał. W środku nieskończenie długiej gabloty siedział nabzdyczony szofer w szarej liberii, z miną bez kija nie podchodź; wiele metrów za nim, ale w tym samym samochodzie, dostrzegł oszalamiającą kobietę, śniadą, nawet bardzo śniadą, jak Campbell; zadatek na żigolaka pomyślał sobie, że nie miałby nic przeciwko temu, by udać się do jej domu i obsłużyć tam wszystkie pralki.

Szofer z nadętą miną musiał zwolnić, bo jakiś facet z papierosem w ustach i skrzynką z narzędziami w ręce przyglądał się jego szefowej, stojąc na środku ulicy.

– Gdzie się pchasz, idioto? Oczu nie masz? – wymamrotał przez zęby wkurzony i od razu sprawdził w lusterku wstecznym, czy królowa Saby nie usłyszała, co mówi.

Nie, skupiła się na swoim kalendarzyku. No, niezupełnie – właśnie podniosła głowę i po cichu, nie biorąc pod uwagę dzielącej ich odległości, władczym tonem wynikającym z jej bogactwa i urody poleciała, żeby się zatrzymał na rogu, obok jubilera, dwieście metrów dalej, i żeby na nią zaczekał.

– Tam nie wolno parkować – uprzedził ją, konstatując jednocześnie, że

osobnik z papierosem, teraz pomniejszony w lusterku wstecznym, nadal im się przygląda z otwartymi ustami i aureolą dymu wokół głowy. To znaczy przyglądał się pannie Blance, na niego nikt nigdy nie zwracał uwagi.

– Coś wymyślisz; to tylko dwie minuty.

W ciągu dwóch minut królowa Saby zamierzała wejść do jubilera, uśmiechnąć się, odesłać trzech sprzedawców, wyciągnąć pana Laporte'a z gabinetu, poinformować go, że właśnie nabyła Buziego, sto dwa koma trzy karaty, powiedzieć, że zostawia mu zdjęcie diamentu (mam nadzieję, że słyszał pan, panie Laporte, o Buzim i Ezechielu) i niech już zacznie zastanawiać się nad złotym naszyjnikiem, godną oprawą tego cudu natury i dzieła zręczności i wrażliwości wyrafinowanego szlifierza, o czym któregoś dnia muszą spokojnie porozmawiać. I jeszcze zostanie jej dwadzieścia sekund.

Ponieważ nikt go nie pytał o zdanie, szofer musiał zatrzymać dla siebie opinię na temat poczucia czasu swojej szefowej. Zahamował delikatnie przed sklepem jubilera.

– Dwie minuty – obiecała panna Blanka, wysiadając z limuzyny. Szofer ustawił się w drugim rzędzie, bo próba zaparkowania tego monstrum w tym miejscu była marzeniem ściętej głowy. Wysiadł i niecierpliwie pomacał kieszeń liberii – strasznie chciało mu się zakurzyć. Zapalił i zaciągnął się z rozkoszą. Przez dziurę po wybitym zębie wypuścił gęsty, obfity dym i od razu lepiej się poczuł; odruchowo spojrzął na zegarek, żeby sprawdzić, ile będą trwać te dwie minuty, które miała spędzić w sklepie.

– Nie ma mowy: proszę natychmiast stąd odjechać.

Szofer odwrócił się i zobaczył jedną z tych strażniczek, których pasją jest decydowanie, jak i gdzie obywatele mogą parkować.

– Tylko dwie minuty – powiedział, zaciągając się po raz drugi.

Nic tak bardzo nie irytowało strażniczki jak niewolnicy milionerów, którzy bronili swoich szefów, jakby należeli do ich rodziny. A zwłaszcza dzisiaj, kiedy miała na głowie norweską ciężarówkę, giganta, z którego wyładowywano obrazy przed fundacją, w asyście armii prywatnych strażników uzbrojonych w pistolety, tak jak ona, ale bez moralnego autorytetu, jaki jej nadawała pozycja funkcjonariuszki ratusza.

– Nie ma mowy. Tu nie wolno parkować.

- To co mam zrobić? Wsadzić go do kieszeni?
- To pański problem. Albo wypiszę mandat. Wybór należy do pana.
- A tamta ciężarówka to pryszcz?
- To rozładunek.

Przyglądała się, jak szofer się zastanawia, łapczywie zaciągając się papierosem i spoglądając na zegarek, jakby tam spodziewał się znaleźć rozwiązanie.

– Jeżeli panią nie zastanie mnie pod drzwiami, jak wyjdzie, zmyje mi głowę.

– Mówiłam już, że to nie mój problem – przypomniała ze skwaszoną miną. – Niech pan odjedzie na parking.

– Myśli pani, że wpuszczą tę bestię na byle parking? – Wskazywał limuzynę gestem rybaka, który chwali się przed chwilą złowionym okoniem. – Daję słowo, to naprawdę tylko dwie minuty.

Żeby opanować rosnącą irytację, wyciągnęła bloczek z mandatami, zdecydowana na wszystko.

– Dobrze, jak pan sobie życzy.

Obeszła samochód, żeby sprawdzić numer rejestracyjny na tablicy z przodu. Szofer, z coraz bardziej naburmuszoną miną, rzucił niedopałek na ziemię i usiadł za kierownicą. Skupiona na odczytywaniu numeru usłyszała, jak ze złością trzasnął drzwiami. Bardzo dobrze, posłuchał mnie, pomyślała. Odsunęła się na bok, żeby jej nie potracił, i udała, że odchodzi, by się zająć innymi wykroczeniami. Kiedy przypatrywała się, jak przerośnięta limuzyna się oddala, poczuła dym z niedopałka rzuconego na jezdnię. Rozejrzała się, gdzie jest najbliższa brama, upewniła się, że strażnicy pilnujący norweskiej ciężarówki nie mieli żadnych problemów ze złodziejami, mafią ani z handlarzami dzieł sztuki, i uznała, że nie dzieje się nic groźnego. Z wprawą nałogowca zapaliła papierosa i zaciągnęła się, starannie ukrywając dowód rzeczowy swojego przestępstwa za plecami. Dwie minuty na relaks. Po czterech machach zauważyła jakąś oszalamiającą Mulatkę, która wyszła od jubilera po drugiej stronie ulicy i rozglądała się z niezadowoloną miną. Wyglądała, jakby czekała na taksówkę. To nie mój problem, pomyślała. I nadal paliła zakazanego papierosa, i myślała, że Carles z każdym dniem jest coraz bardziej nieobecny, czy to przypadkiem

nie z powodu... Nie, podobno kobieta natychmiast wyczuje sygnały niewierności, a ja nic takiego nie zauważyłam. Ale zirytowała ją sama myśl o takiej możliwości. Wtedy zwróciła uwagę na niebieski samochód. Cholera, co za bezczelność, zaparkował pod zakazem parkowania. Żal jej było przydepnąć niedopałek, ale ten dupek ma karę jak w banku.

– A niech to szlag – zaklął na widok strażniczki wkładającej mandat za wycieraczkę, kiedy wrócił do samochodu. Podszedł do niej zdyszany. – Przecież nie było mnie dosłownie dwie minuty! – zawołał oburzony.

– Wszyscy tak mówią – odpowiedziała lodowatym tonem. – Zablokował pan wyjazd.

– Jasny szlag, przecież ja tylko...

– To nie mój problem. Ja tylko egzekwuję przepisy.

To przelało czarę goryczy: żeby mu ktoś powiedział, że to jego problem zapierniczać przez cały ranek, odbyć trzynaście wizyt w dwie godziny, wydać majątek na parkowanie, zostawić dosłownie na chwilę samochód pod zakazem i trafić na klienta, który chce sobie pogadać, a na koniec proszę, mandat. Kurwa mać.

– Chce pani wiedzieć, co ja zrobię z tym moim problemem? – powiedział potencjalny zawałowiec, wrywając strażniczce blankiet.

Kobieta stała nieruchomo, czekając, aż kierowca się uspokoi. I faktycznie, ulżyło mu, kiedy zgniótł mandat i rzucił go na ziemię. Ma dokładnie taki sam temperament jak Carles Clavat. Własnym uszom nie wierzył, kiedy usłyszał, jak strażniczka mówi z uśmiechem:

– Jak pan sobie życzy, ale wypiszę panu drugi za zaśmiecanie ulicy.

Tego już było za wiele, niech to jasny szlag. Wsiadł do samochodu i podświadomie powstrzymał się przed trzaśnięciem drzwiami, żeby ta harpia nie wlepiła mu kolejnej kary za hałasowanie na ulicy, dosłownie trzysta metrów od szpitala. Uruchomił silnik, nie sprawdzając, czy strażniczka podniosła zgnieciony blankiet i wygładza go ręką, czy wyciągnęła rewolwer i celuje mu w kark, niech to jasny szlag. Niemal wpakował się po błotnik w limuzynę, która właśnie zatrzymała się w drugim rzędzie tuż przed nim. Poszły w drobny mak światła kierunkowe, i to na środku ulicy, a usta same powtarzały kurwa, kurwa, kurwa. Zaraz musiał zwolnić, bo jakaś ogromna ciężarówka manewrowała jak

na własnym podwórku... To skandal, dlaczego nie wlepi mandatu tamtemu kierowcy? Klnąc pod nosem, zatrzymał się na czerwonym świetle. Wkurzony całą tą sytuacją walnął pięścią w kierownicę, wciskając klakson, który odezwał się ironicznym, doskonale rozpoznawalnym dźwiękiem, jakby sam się prosił o trzeci mandat.

Chociaż miała dobry wzrok, prawie wszystkie zęby własne i sprawne nogi, to jednak nie można było od niej oczekiwać, że zacznie biec po pasach. Więc tylko sobie pomyślała, a krzycz sobie, krzycz, a ja pójdę pomalutku. I spojrzała wyzywająco na niecierpliwego mężczyznę, który wyciągał rękę przez okno niebieskiego samochodu i nerwowo uderzał w karoserię, podczas gdy drugą ręką zapalał papierosa. To on wcisnął klakson, tak jakby nie widział, że było jeszcze zielone dla pieszych. Powoli wszędzie się dojdzie.

Natychmiast zapomniała o tamtym impertynencie i zaczęła oglądać wystawy, co lubiła robić, gdy wracała do domu tą stroną ulicy. No no, ale kiecka. Gdyby była młodsza. Zapytałabym o cenę, z czystej ciekawości, ale się wstydzę. Mogłabym powiedzieć, że to dla siostrzenicy. Poza tym co mi zrobią? Zobaczyła strażniczkę miejską piszącą coś na samochodzie – pewnie mandat. Pomyślała, gdybym była młodsza, już dawno bym sobie wyrobiła prawo jazdy. I poszła dalej. Spieszyła się do domu, bo nie wyobrażała sobie, że mogłaby zapalić papierosa na ulicy, nie w jej wieku. Ale po drodze przyciągnęła jej uwagę kolejna ładna sukienka. Nie, tej by nigdy nie założyła, nawet gdyby była młodsza. Ta dzisiejsza moda jest zdecydowanie za krótka. Ale poza długością nie miała jej nic do zarzucenia. Podniosła głowę i zamarła: w szybie wystawy odbijał się jakiś cień. Cień mężczyzny z ciemną brodą, który po cichu nucił głębokim barytonem partię chóru niewolników z opery *Nabucco*. Cień pomyślał, przestraszyłem tę babcię i natychmiast o niej zapomniał, koncentrując się na wystawie, a ona poszła dalej, marząc sobie o tym i owym. Damska odzież, bardzo sugestywna. W tej zielonej sukience jego żona nie wyglądałaby dobrze; jest trochę za szeroka w pasie. Z przykrością musiał się poprawić: z każdym dniem staje się coraz szersza w pasie. Co innego Sylwia. Jej jest dobrze we wszystkim. Przełamał się i spojrzał na cenę. Cholera. Cholera. Nie wie, czy będzie mógł sobie pozwolić na zakup, tak żeby żona nie zaczęła czegoś podejrzewać.

Zrezygnowany oszedł od wystawy. Zdenerwowali go jacyś strażnicy

w mundurach, którzy nie pozwalali przejść chodnikiem, bo właśnie w tej chwili tragarze wynosili z ciężarówki coś w drewnianych skrzynkach. Wnosili je do fundacji. Wkurzył się, że z tego powodu musi zejść na jezdnię. Trzeba będzie zainteresować się tą wystawą. Powinien zainteresować się wieloma rzeczami, zwłaszcza teraz, kiedy nawet chwile spędzane z Sylwią zaczynały się pokrywać patyną nudy. Zaczął nucić cicho, cichutko, barytonem, fragment sam nie wiedział której z pieśni z *Winterreise*, i zasmuciły go słowa Eine Strasse muss ich gehen, Die noch keiner ging zurück<sup>[5]</sup>. Trzydzieści metrów dalej jakaś poruszająca się szybko i bezszelestnie okazała limuzyna, nie wiadomo skąd, zatrzymała się na światłach. Baryton z brodą wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i szukając tego właściwego, skierował się w stronę drzwi, powtarzając te same co zawsze, rutynowe, znane na pamięć gesty. Zagwizdał melodię odpowiednią do wchodzenia po schodach (adagio z *Kwartetu amerykańskiego* Dvořáka), jak każdego dnia, każdego roku. Przywitał go zapach ryżowej zapiekanki, jak to w czwartki, i pomyślał, co za szczęście, że żona jest dobrą kucharką, bo do tego faktycznie miała dryg.

– Cześć – usłyszał głos z głębi mieszkania. – Co się stało, że jesteś tak wcześnie?

– No widzisz... – I idąc korytarzem, zapytał: – Byli ci od pralki?

V

KURZ

*Zamknięta książka ustawiona na półce przemawia grzbietem  
z desperacką bezradnością podobną do tej, jaką można wyczytać  
w przerażonych oczach jeńca zakneblowanego przez napastników.*

GASTON LAFORGUE

Często zastanawiała się, ile tysięcy książek mieściło się w tym domu. Ale tak bardzo bała się utraty pracy na skutek jakiegoś fałszywego kroku, że od samego progu chodziła na paluszkach, z namaszczeniem wstrzymywała oddech i nie odważyła się o to zapytać gospodarza. Robiła tylko to, co do niej należało: w poniedziałki, środy i piątki wypełniała fiszki swoim starannym kaligraficznym pismem. A we wtorki i czwartki odkurzała, ponieważ warstwa kurzu na książce jest karygodnym znakiem niedbałości. Początkowo używała do tego wilgotnej ściereczki, ale grzbiety poczernione latami zapomnienia pod wpływem wody pokrywały się ciemną powłoką, co tylko pogarszało sytuację. Wtedy Tere poradziła jej, że lepszy będzie odkurzacz, a w razie jego braku tradycyjna miotelka z piór. Musiała wybrać opcję tradycyjną, bo nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby zapytać pana Adriana, czy posiada coś takiego jak odkurzacz. A na książkach, którymi teraz się zajmowała, nagromadziła się spora warstwa kurzu, i musiała ją jak najszybciej usunąć, zanim on to dostrzeże.

Pan Adrian był dla niej zagadką. Może był milionerem; na pewno samotnym. Nigdy nie wychodził z domu, ciągle czytał, porządkował książki, redagował fiszki albo je przeglądał, albo też rozpakowywał, ciesząc się jak dziecko, paczki z nowymi nabytkami, a były to w większości książki sfatygowane, stare, niektóre bardzo stare. Te książki to jego obsesja. Toni miał obsesję na punkcie seksu, a pan Adrian też miał fioła, ale na punkcie książek. Dziś, kiedy przypadało odkurzanie, będzie wykończona, z wysuszonym gardłem i nosem i ze smakiem kurzu na podniebieniu, bo w tym domu półkom z książkami nie było końca i kurz im towarzyszył z determinacją godną kurzu.

Słyszała za sobą, jak wertuje książkę, którą trzymał na pulpicie, i przyszło jej



do głowy, że nie można tak spędzać życia: człowiek powinien się ruszać, oddychać świeżym powietrzem, rozmawiać z ludźmi, skusić się na jakąś przekąskę, na przykład na anchois, no nie wiem. A on nie robił żadnej z tych rzeczy.

Wiktorija zeszła z drabiny, niezbędnej do odkurzenia Poezji orientalnej. Kątem oka zauważyła, albo tylko jej się wydawało, że pan Adrian ją obserwuje. Kiedy chciała się upewnić, on już się pogrążył w lekturze.

Pierwszego dnia, kiedy powitał ją w drzwiach z tą obojętnością, z którą traktował wszystko poza książkami, zapytał ją o wiek. Odpowiedziała dwadzieścia lat i przestraszyła się, że jest za młoda, a ona potrzebowała tej pracy, bo jesienią miała wyjść za mąż. Wiek nie stanowił problemu; brak doświadczenia również. Ani też nie przesądził deklarowany przez nią zamiar studiowania bibliotekoznawstwa. Wiedziała, że tym, co przekonało do niej pana Adriana, był delikatny sposób, w jaki wzięła w ręce książkę, którą podał jej przez zaskoczenie: ujęła ją delikatnie, niemal z miłością, tak jak Elisa, kiedy sięgnęła po przybornik do haftowania, dowiedziawszy się o śmierci ukochanego (Ballys, *Elisa Grant*, Pittsburgh 1833). A na dodatek okazało się, że ma piękny charakter pisma. To był świetny pomysł, zatrudnić kogoś do pomocy, bo sam nie daję rady.

Dziś dokończę *Voyage d'hiver* (Lyon 1902). Gaston Laforgue to typ pedantycznego gawędziarza, ale i tak dostarczył mi materiału do sześciu fiszek. Jedna o naturze sztuki, bardzo ładny cytat. Natomiast jeśli chodzi o życiorys Schuberta, nie miał o nim zielonego pojęcia. A od jutra zacznę zbierać dzieła zebrane Daria Longa (wydane nakładem autora, Trieste 1932); zapowiadają się obiecująco, sądząc po tym, co zauważyłem przedwczoraj, rozcinając kartki. Nie powinienem był jej prosić o porządki w Poezji orientalnej, bo teraz mnie rozprasza. Należało wysłać ją do Moralistów środkowoeuropejskich xviii i xix wieku, też dawno już nieodkurzanych.

Ponieważ zostawiła ściereczkę przy dziełach Fu dynastii Han, Wiktorija ponownie musiała wspiąć się po schodkach i pan Adrian znów miał jej tyłek w zasięgu wzroku; stwierdził, że tak sobie wyobrażał tyłek Andromachy na podstawie wydania z Cambridge: solidny, a jednocześnie dyskretny. No, wreszcie sobie poszła, westchnął w duchu i skoncentrował się na czytaniu, podczas gdy Wiktorija opuszczała bibliotekę z wiadrem, ściereczkami, miotełką do

kurzu, drabiną i tyłkiem Andromachy, po cichu, odnotowując fakt, że pan Adrian nie może się oderwać od książki o Schubercie, i w korytarzu wytapetowanym książkami myślała to niemożliwe, niemożliwe: parę dni temu pochłaniał z pasją słownik filologiczny języka włoskiego, a wcześniej pogрузzył się w rozprawie *The Emotions and the Will* Alexandra Baina, z powodu której chodził przez kilka dni z błędnym wzrokiem. Co to za jeden, ten Bain? zastanawiała się. Kobieto, co ty pieprzysz, irytował się Toni, niezadowolony, że Wiktorcia zawraca mu głowę swoją robotą, kiedy oboje mogli poleniuchować. Jego zdaniem pan Adrian był po prostu stuknięty, i tyle. A Wiktorcia nie odzywała się, bo już prawie się pogodziła z tym, że z każdym dniem jest coraz trudniej dogadać się z Tonim. Bo do doskonałości Toniemu brakowało wykształcenia, wyrafinowanego gustu, dyskrecji i ciekawości intelektualnej pana Adriana. Dlaczego Toni tak się od niego różnił? Nie umiała sobie odpowiedzieć. Również nie wiedziała, czemu w tym domu nie było Magrisa, Garcíi Márqueza, Goethego, Pedrola, Gaardera czy Manna. Dlaczego do autorów czytanych przez pana Adriana należał Ludwig Tieck (*Kaiser Octavian*), Giuseppe Spalletti (*Saggio sopra la bellezza*) czy Jacob de Montfleury (*L'école des jaloux*)? Dlaczego kolekcjonował cytaty z tych autorów, a nie nabył ani jednego Faulknera? Któregoś dnia zapisała sobie na chybił trafił parę tytułów, żeby sprawdzić, czy mają coś z tego w bibliotece – ani jednego. Nawet Tere, która tyle lat tam pracowała, nigdy o nich nie słyszała. Dosłownie nigdy.

I ta herbata. Poza książkami herbata. Pił codziennie sześć czy siedem filiżanek. Pił zieloną herbatę, bo ta jego zdaniem służyła relaksowi ciała i pomagała utrzymać umysł w czujności. Nie wiedziała natomiast, że pan Adrian był wegetarianinem, o ile potrafił się oderwać od lektury. Tego nie mogła wiedzieć, bo i skąd – jej musiało wystarczyć, że jest schludny, że dobrze płaci, że na Boże Narodzenie dał jej premię, że nie zrzędzi oraz że niewiele mówi, jakby miał świadomość, że w jego wieku nie ma się czasu do stracenia. Nigdy żadnego niepotrzebnego gestu. Nigdy. Idealny mężczyzna, mimo że trzydzieści lat od niej starszy.

Teraz idealny mężczyzna wyciągnął lupę i oglądał zdjęcie w kolorze sepii, na którym nieszczęsny autor biografii i jacyś inni ludzie dali się uwiecznić obok grobu Schuberta. Przy pomocy szkła odszyfrowywał napis na postumencie

pomnika. Seinem andenken der wi... Nie dało się odczytać dalszego ciągu, bo drugą część napisu przysłaniała prawa noga zadowolonego z siebie Laforgue'a. Aż mu się w głowie zakręciło, kiedy sobie uświadomił, że ingerencja tej osoby uniemożliwiła lekturę tekstu, którego nie będzie mógł już nigdy doczytać do końca. Przewrócił kartkę: na kolejnej ilustracji Laforgue z uśmiechem w kolorze sepii wskazywał budynek, w którym zmarł kompozytor. Na ulicy leżało błoto i można było się domyślać, że niebo miało szary, ołowiany kolor. Pan Adrian uniósł głowę znad ilustracji i poprosił Wiktorio, zrób mi herbatę, na co Wiktorio, zajmująca się właśnie działem Relacje z podróży. Europa, odpowiedziała tak, proszę pana.

– Spędzasz tyle godzin zamknięta w mieszkaniu z jakimś facetem – zarzucił jej Toni w dniu, kiedy był wyjątkowo upierdliwy. Ona, obrażona, broniła się, że pan Adrian jest dżentelmenem, i nie wspomniała ani słowa o tych ukradkowych spojrzeniach, które czasem przyłapywała na wysokości swojego tyłka, bo była święcie przekonana, że pan Adrian to anioł i obce mu są ludzkie słabości, i za to go podziwiała. Toni, gdyby o tym wiedział, wściekłby się i podyskutował sobie z panem Adrianem na pięści; natomiast sam wcale nie krył się z tym, że mierzy ją wzrokiem z góry do dołu, co jej w gruncie rzeczy pochlebiało i czasem sobie wyobrażała, że to pan Adrian ogląda ją tak namiętnie. Dlaczego Toni nie potrafił myśleć o niczym innym? Dlaczego któregoś dnia nie sięgnie po książkę? Jeśli chodzi o książki, w domu Toniego stała tylko książka telefoniczna (dwa tomy). Tu za mało, tam za dużo, stwierdziła. Nie mieściło jej się w głowie, że można w życiu nie przeczytać nic. Okazuje się, dla Toniego nic nie było niemożliwe. Natomiast kiedy musiał się tłumaczyć, co robił przez ostatnie trzy poniedziałki po południu, zapominał języka w gębie.

– Siedemnaście tysięcy pięćset pięćdziesiąt dwie, doliczając tego Schwartza, którego właśnie otrzymałem i jeszcze nie zdążyłem wciągnąć do katalogu – odpowiedział pan Adrian z ledwie skrywaną dumą.

– Ma pan ich więcej niż dzielnicowa biblioteka.

– Tak. – Wręczył jej wynagrodzenie za ostatni tydzień gestem podpatrzonym u Fineasza, kiedy płaci zdrajcy (Verjat, *Les mérovingiens*, Lyon 1899).

– Poza tym to inne książki. Innego rodzaju.

– Tak. – Spojrzał na nią, ale nie zachęcał do dalszej rozmowy, właściwie uciekał przed nią wzrokiem jak tamten zdrajca (Verjat, *ibid.*), bo nie mógł się

doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdzie, a on będzie mógł zapoznać się, przed skatalogowaniem, z książką niejakiego Schwartza (Klement Schwartz, *Die Natur von der Klag*, Leipzig 1714). A Wiktoria chciała zadać jeszcze kolejne pytania. W końcu się wykręcił, obiecując może któregoś dnia wszystko ci wytłumaczę, więc wreszcie zbiegła ze schodów, z błyskiem w oku, niczym Rachela (Felip Cornudella, *Raquel*, Barcelona 1888), zawstydzona i oswobodzona, pół na pół. Książka Schwartza była traktatem o dźwiękach w przyrodzie i o instrumentach muzycznych; intuicja mu podpowiadała, że robi z niej wiele fiszek, jak zwykle w przypadku dzieł sytuujących się pomiędzy naukową ścisłością i poetycką wizją świata. Kiedy ją wziął do rąk, zauważył przyklejoną od środka zakładkę, bardzo zniszczoną, ze skóry, w mniej więcej żółtym kolorze, na niej zaś pyszniła się figura jakiegoś fantastycznego, trudnego do zidentyfikowania zwierzęcia. Zanotował skrupulatnie w notesie ciekawych przypadków miejsce jej znalezienia, ale zapomniał odłożyć książkę na półkę w oszklonej biblioteczce, gdzie już zgromadził szesnaście podobnych zakładek, tuziny obrazków z dedykacjami, starannie złożone karteluszkę, na których anonimowi czytelnicy zapisywali złote myśli (dwa z nich zasłużyły na osobną fiszkę), listy zakupów, rachunki oraz dokument, który sobie cenił najbardziej spośród wszystkich uwiecznionych w niedoczytanych do końca, jakby zmarłych nagłą śmiercią książkach: list napisany w jidysz, w Warszawie, na wiosnę dwudziestego dziewiątego roku; w nim niejaki Mojżesz Łódz, jubiler, dzielił się z nadawcą radością, jaką dla niego i jego żony były zaręczyny ich jedyne syna, Józefa, który właśnie skończył medycynę, z Miriam Levi z ulicy Jerozolimskiej, z nadzieją, że młoda para przeżyje wiele lat w szczęściu i pomyślności. Z miłością i niemal liturgicznym szacunkiem dla swoich ukochanych przedmiotów pan Adrian pogładził witrynę, westchnął i zainaugurował pierwszy kontakt z książką Schwartza.

Wracając w myślach do przeprowadzonej rozmowy już na schodach, Wiktoria ciągle nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na jej zainicjowanie. Od paru dni do niej się przymierzała: dlaczego nie ma nic Balzaca ani Ollera, ani Greena? Żadnej książki Foixa ni Hardy'ego, a tylko jacyś De la Tapinerie, Laforgue'owie, Triclinowie i Schulzowie? To był punkt wyjścia ich konwersacji. On zmienił temat na ilość i dopiero później poddał się i wrócili do charakteru jego zbiorów. Ale był tego dnia mało rozmowny i temat umarł

śmiercią naturalną. Ona odważyła się zapytać dlaczego, panie Adrianie, dlaczego kupuje pan książki tego rodzaju?

– A co z nimi jest nie tak?

– Są dziwne. Są... – użyła przymiotnika, który je stygmatyzował: nieznanne.

Kiedy to już zostało powiedziane, pan Adrian otworzył drzwi i czekał niecierpliwie, aż tyłek Andromachy w wydaniu z Cambridge znajdzie się po drugiej stronie.

– Pewnego dnia może ci to wytłumaczę – powiedział, kiedy już zaczęła schodzić, jeszcze przez kilka stopni w pozie Racheli. Kiedy Wiktoria się odwróciła, z nadzieją na dalszą rozmowę, drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Przez kilka dni myślała zrezygnowana, że pan Adrian nigdy jej nie wyjaśni, o co chodzi z tymi dziwnymi książkami, co ją zasmuciło, bo uważała się za osobę na poziomie, z całkiem niezłym angielskim, z francuskim też sobie radziła i uzyskała ocenę dobrą na maturze. W każdym razie, kiedy kończyła pracę, starała się, by pan Adrian nie zaprzętał jej głowy, bo bardziej leżało jej na sercu wyśledzenie, co do cholery robił Toni w domu Lourdes, praktycznie w każdy poniedziałek, skoro według niego wcale się nie znali, i czy Lourdes, która twierdziła, że jest jej przyjaciółką, byłaby zdolna wykręcić jej taki numer. To znaczy, gdyby faktycznie coś między nimi zaszło, co do czego nie miała pewności. Albo dlaczego matka z każdym dniem robiła się coraz smutniejsza. Pryncypał mało ją obchodził, kiedy nie była w pracy. Ale jednak o nim myślała.

Siedemset dwanaście książek później Wiktoria przekonała się, że pan Adrian nauczył się jeszcze bardziej oszczędzać słowa i ani razu nie nawiązał do tamtej rozmowy na schodach, a ona podziwiała go coraz bardziej i kochała w sposób oczywisty, choć nieuchwytny. Zapełnili różnymi cytatami trzy czy cztery tysiące nowych fiszek, które przeglądał cierpliwie w sobotnie poranki, jakby chciał się nauczyć ich na pamięć. Soboty i niedziele były jego ulubionymi dniami, bo wtedy znajdował się w domu sam, bez nieprzewidywalnej obecności Wiktorii. W czasie gdy on zajmował się tą serią książek, ona, starając się go lepiej poznać, pytała o różne ważne rzeczy, na przykład, kiedy ostatnio był w kinie czy w teatrze, od jak dawna nie zaglądał do baru i tak dalej, co sprawiło, że straciła w jego oczach parę punktów w stosunku do kategorii, jaką jej wcześniej przypisał. A ponieważ ze sobą o niczym nie rozmawiali, pan Adrian nie dowiedział się, że ślub Wiktorii został już dwukrotnie przełożony: najpierw

dlatego, że nie uznała za wiarygodne wyjaśnienie o powodzie obecności Lourdes w jego mieszkaniu, a potem, kiedy już się pogodzili, nagle zmarła jej matka. Prawdę mówiąc, pan Adrian wiedział o niej tak mało, że w ogóle nie słyszał o żadnym narzeczonym. Ale teraz przyglądał się coraz intensywniej tyłkowi Andromachy i zaczął obserwować, zaskoczony, piersi Ariadny. Wiktoria miała biust wyraźny i kształtny, na który dotychczas nie zwrócił uwagi. Ale te tony kurzu, to wspinanie się na drabinę blisko pana Adriana, te wszystkie fiszki, to pochylanie się nad akapitem, który wskazywał palcem, sprawiły, że w końcu piersi Ariadny stały się przedmiotem jego obserwacji, i wyobrażał sobie, że jest Ponquielle, który obejmuje w pół pastuszkę Fidę (Campdessus, *Pastorale*, Anvers 1902).

\*\*\*

Pewnego parnego dnia pan Adrian zachorował. Leżał w łóżku w różowej piżamie. To była nowość. Można by pomyśleć, że to całkiem inny człowiek, gdyby nie te pięć czy sześć książek rozrzuconych na szerokim łóżku kawalera. Czyżby mu broda bardziej posiwiiała? Pewnie to tylko kwestia oświelenia. Poprosił, żeby przysiadła na brzegu łóżka, a wypełnianie fiszek może zostawić na później. Wyciągnął rękę w jej kierunku, w milczeniu, a potem powiedział nie przysuwaj się za blisko, żebyś się nie zaraziła. Tak jak Toni, pomyślała, tylko że tamten, kiedy trochę się przeziębził, przez cały wieczór marudził, żeby położyła się z nim do łóżka, bo sam zdrętwieje z zimna.

Przypomniała sobie dzień, kiedy to ona źle się poczuła w domu pana Adriana. Była właśnie wysoko na drabinie i odkurzała dział Powieść Bałtycka. Wiek xix, kiedy pomyślała, że więź, jaka ją łączy z panem Adrianem, jest czymś nieuchwytnym. To odkrycie tak ją poruszyło, że poczuła zawrót głowy i zatrzymała rękę na grzbiecie książeczki Lautaniasa. Pan Adrian, teoretycznie zatopiony w lekturze (Marcel Gibert, *Cobra*, Montréal 1920), był jednak na tyle czujnym obserwatorem, aby zauważyć, że się zachwiała; uchronił ją przed upadkiem, łapiąc w ramiona dosłownie w powietrzu. Położył ją na sofie, przygotował herbatę i polecił, żeby wracała do domu taksówką, że dość już pracy na dziś. Omdlenia jednak nie spowodowało odkrycie niewidzialnej więzi łączącej dwie szlachetne dusze, tylko bolesna miesiączka. Musiała leżeć dwa dni w łóżku z ciepłym termoforem na brzuchu, a Toni w tym czasie omijał jej

dom z daleka, że niby jak patrzy na jej zmizerowaną twarz, to udziela mu się jej smutek, a to byłoby ponad jego siły. Prawdę mówiąc, chodziło o to, że miał bilety na finały zawodów w koszykówce. Wydaje mi się, że zabrał na nie Lourdes. Jeszcze jedna różnica: Toni nie miał żadnej różowej piżamy. Sypiał w ogóle bez piżamy.

– Wiesz dlaczego? – zapytał pan Adrian, wciśnięty w różową piżamę, wracając do rozmowy rozpoczętej siedemset dwanaście ksiązek temu, którą wtedy przerwał, zamykając za nią drzwi.

– Nie. Nie mam pojęcia.

– Robię to w pogoni za mądrością... Mądrość jest nieśmiała i lubi obwarowywać się przeszkodami, żeby tylko zostawiono ją w spokoju. Ja poluję na tę zapoznaną mądrość, która zawsze się ukrywa...

– W czym?

Zamilkł zaskoczony, bo dosłownie odebrało mu mowę. Dopiero w tym momencie, oszołomiony gorączką, uświadomił sobie rzeczywistą obecność Wiktorii, jakby to była bogini od dwustu lat zasiadająca na brzegu jego łóżka. Zauważył, że jest piękna, bo jej oczy, rozpalone ciekawością, błyszczały tak intensywnie, że przypominały diamenty wyprofilowane przez mądrość. Siedziała na łóżku, z głową zwróconą w jego kierunku, a ciało widział z profilu – wspaniały biust i okrągłą linię bioder. Wiedział na podstawie wielu lektur, że w pewnym wieku jest czas na wszystko; wtedy życie traktuje cię wspaniałomyślnie i na różne sposoby podkreśla twoje piękno, o czym czytał na przykład w pieśni Guinizzellego (*Il ragno e la farfalla*, Milano 1800). Wiktoria była właśnie w takim wieku. Pan Adrian dokonał wysiłku, żeby się skupić.

– W pozornej przeciętności. Popatrz.

Sięgnął po jedną z ksiązek leżących na łóżku, a ona w zawodowym odruchu zauważyła, że na okładce zachowała się patyna starego kurzu. Poemat *Pauvre Dido* Abbé Renouauda.

– Poemat epicko-liryczny, trzy tysiące aleksandrynów.

– Dobry?

– Okropny. – Otworzył książkę zamyślony. – Nieważne, w którym miejscu otworzysz, wszędzie ta sama przeciętność.

– To dlaczego traci pan czas na czytanie?

– A co jest twoim zdaniem właściwym wykorzystywaniem czasu? Wyjście do kina z narzeczoną?

Tego narzeczonego dodał ze względu na rytm, żeby zdanie nie urwało się nagle jak skarpa; nie dlatego, aby przypuszczał, że dziewica taka jak Andromacha może być zainteresowana erotycznym związkiem. I usłyszał sam siebie, jak wypowiada coś, czego z pewnością nie zamierzał wyartykułować:

– Bo oczywiście masz chłopaka, prawda?

– Tak, oczywiście.

A co ty sobie wyobrażałeś? Że Ariadna sama przemierza świat, zrozpaczona, dziewicza, z drzeniem wspominając Tezeusza?

– Wyjście do kina z twoim chłopakiem to twoim zdaniem dobre wykorzystanie czasu?

– Nie wiem. Ale skoro sam pan twierdzi, że *Pauvre Dido* to fatalny poemat...

– Fatalny to za słabo powiedziane. Ale nie twierdę, że jego lektura to strata czasu. Jak się nazywa ten twój narzeczoną?

– Toni. Jest pielęgniarzem.

Zazdrość i zawiść wstrząsały światem, sprawiały, że pod koronami zmieniały się głowy, a niektóre wręcz rozstawały się z ciałem. Ponoć nawet Macbeth z małżonką w gruncie rzeczy nie powodowali się ambicją, tylko zawiścią. Zawiść unieszczęśliwiała bogatych, upadła biednych, a apatycznych wiodła do grzechu. Zawiść budziła najgorsze instynkty i uczestniczyła we wszystkich ludzkich działaniach, jak to udowodnił święty Alonso Rodríguez, S.J. (L. Jacobi, S.J., *Leven, doorluchtige Denghden ende Godturchtige Offeninghen von Alphonsus Rodriguez*, Antwerpen 1659). Mimo tych zarchiwizowanych zaszłości pan Adrian po raz pierwszy w realnym życiu doświadczył tego uczucia. Zazdrości mrocznej, twardej, pokrętej, okrutnej i gorzkiej – pasowały wszystkie przymiotniki, których użył Clemenceau, by opisać wściekłość Virgine'a, gdy dowiaduje się, że statek, na którego pokładzie jest Colette, właśnie odpłynął (*Terre de Féu*, Orléans 1922). Zazdrość, ponieważ Toni, kiedy pieścił swoją Dydonę od góry do dołu, miał ręce pełne dalii i pachnących róż (Anuar Ibn Al Bakkar, *Troi gazelles*, Paris 1858). On też mógł objąć od góry do dołu nieszczęsną Dydonę, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. A na jego palcach, pocernionych od nagromadzonego kurzu, zostawał



tylko brud. I pan Adrian zapragnął być pielęgniarzem, jak Toni.

Zaangażował wszystkie siły, żeby się skupić. Na razie musiał opanować to nowe uczucie. Nowe uczucie? – zapytała Marta, kiedy znalazła dziurę, dowód zbrodni, w sieci, którą właśnie naprawiała (Bartomeu Cardús, *Les gavines del port*, Reus 1881). Rozmowa dotyczyła przecież czego innego, a między jego odkryciem nowego uczucia a jej ciałem rozciągał się dystans nie do pokonania, liczący trzydzieści lat. Na szczęście w porę przypomniał sobie słowa T.S. Taylora, który twierdził, że różnica trzydziestu lat precyzyjnie wyznacza granicę śmieszności. Przyszła mu też w sukurs wyobraźnia, przedstawiając dwa nagie ciała, kiedy sobie wyobraził, jak ona wyśmiewa jego starość. Udało się.

– Czytam *Pauvre Dido* i od czasu do czasu znajduję jakąś myśl, z której ludzkość może mieć pożytek.

– I zapisuje ją pan na fiszce.

– I zapisuję na fiszce albo ty zapisujesz. Na przykład... – Otworzył książkę i długo ją wertował, aż znalazł to, czego szukał: – Tłumaczę dosłownie – uprzedził i odchrząknął. – „«Tak bardzo cię kocham, że chciałbym się z tobą ożenić, królowo», powiedział książę. «A jeśli się nie zgadzasz, pięścią wybiję ci zęby, a wątrobę przeszyję sztyletem. I jeżeli coś jeszcze z ciebie zostanie, o najdroższa, wydam ci wojnę na śmierć i życie». Dowiedz się, rodzaju ludzki, że miłość i nienawiść dzieli tylko cienka warstwa, tak cienka jak skóra. Dlatego Dydona, która zdawała sobie z tego sprawę, zapaliła stos i wbiła sobie nóż w brzuch”.

Kilka sekund ciszy. Wzruszony pan Adrian usprawiedliwiał się:

– Nie umiałem ci tego przetłumaczyć aleksandrynami... – Zaraz się ożywił. – Zapoznana mądrość tego fragmentu, który nie mówi nic nowego, bo jest inspirowany *Eneidą*, nie polega na tym, że przywraca do życia nieszczęsną Dydonę zrozpaczoną po wyjeździe Eneasza, ale na tym niepozornym zdaniu „zdawała sobie z tego sprawę”. Dydona, nowa Ariadna, ponownie zostaje oszukana na wieki, ponieważ przekleństwo kobiety o złotym sercu polega na tym, że zawsze wpada w sieć męskich intryg. Zrozumiałaś?

– Nie.

Milczeli przez następne pięć stron, bo zdumienie odebrało jej mowę. Aż sceptycznie pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć.

– Nie możesz uwierzyć w co?

– Że wydaje pan majątek, żeby znaleźć zdania w rodzaju „zdawała sobie z tego sprawę”. Czasem jest zabawniej i mądrzej pójść do kina.

– Z narzeczonym.

– Lepiej oglądać telewizję niż szukać zdania „zdawała sobie z tego sprawę” w książce liczącej pięćset stron.

Znów zamilkli. Jak to możliwe, że do tej pory nie zauważył, że Wiktoria jest tak piękną kobietą? Teraz, kiedy przed nim demonstrowała swoje oburzenie, przypominała smutną Andromachę. Milczenie. Córka Eetiona nabrała powietrza w płuca, a jemu się zamarzyło, że teraz mu się oświadczy.

– Ponadto – dodała Wiktoria, czyniąc z tego zarzut – twierdzi pan, że wszystkie te książki są przeciętne.

– Większość. I nieznanie. I prawdopodobnie nikt nie powiódł po nich wzrokiem z uwagą, żeby w nich odkryć wielkie prawdy. Ktoś to musi zrobić.

Piękna małżonka Hektora wstała i poprawiła na sobie fartuch bibliotekarki bardzo kobiecym gestem, a jemu mocniej zabiło serce. Ona, z rękami na biodrach, zapytała niemal wyzywająco:

– A właściwie co to takiego ta zapoznana mądrość?

– Jeszcze za wcześnie, żebyś to zrozumiała.

Andromacha nie uznała się za pokonaną: obserwowała Pyrrusa z królewską dumą i powiedziała nieostroźnie:

– Nie wszystko w życiu jest szukaniem zapoznanej mądrości.

Chorego aż zamurowało. Jak śmie mu się przeciwstawiać? Ona, z pewnością siebie, mówiła dalej:

– Pan czyta te książki, bo jest panu żal, że nikt po nie nie sięgnął. Lituje się pan nad zapomnieniem i nad zapomnianymi ludźmi.

Nie miał nic do powiedzenia. Andromacha wyrwała mu jego wielki sekret z łatwością, z jaką Belisario wyrwał serce z ciała swojego wroga (Pérez Jaramillo, *Oro en rama*, Buenos Aires 1931).

– Chce pan czytaniem przywrócić ich do życia.

I nie dając mu czasu na odpowiedź, powiedziała, że idzie przygotować

herbatę, i wyszła z pokoju. Instynktownie pan Adrian sprawdził dotykiem, czy serce przypadkiem nie wyskoczyło mu z piersi. Z rezygnacją zauważył, że kiedy Andromacha wyszła, w Troi zapanowały ciemności.

W kuchni Wiktoria gotowała wodę na wolnym ogniu, a jednocześnie odtwarzała w myśli fragmenty rozmowy, myślała też o wielu coraz głębszych refleksjach, które towarzyszyły jej każdego dnia i tworzyły bruzdy, na razie mikroskopijnej wielkości, w młodej skórze, delikatnej i miękkiej, czego Toni jeszcze nie zauważył. Niczym odległe echo rogu Rolanda dotarły do niej z daleka słowa:

– A styl, słyszysz?

To pan Adrian ją wzywał zza gór, głosem zachrypniętym z powodu anginy. Zaalarmowana pobiegła za tym głosem. Po raz pierwszy poczuła niemal fizycznie, że mijając w korytarzu dział Teatr Francuski. Wiek xviii, jest coraz bliżej jego pokoju, ponieważ on naciąga tę ulotną linię, która ich łączy, jak Tezeusz, kiedy wracał do Ariadny po zabiciu Minotaura.

– Dlaczego styl? – I w pokoju chorego znów zaświeciło światło.

– Mówię, że to kwestia stylu. – Podniósł rękę. – Jeżeli utwór jest dobry, między jego słowami kryje się osoba, która go stworzyła.

Nie od razu pojęła, w czym rzecz, ale sam obraz zrobił na niej wrażenie. Jakby czytał w jej myślach, pan Adrian mówił dalej:

– To nie obraz, to rzeczywistość: w stylu jest dusza. Dobrze napisana książka nie powinna zostać zapomniana. Kocham cię.

– Co pan powiedział?

– Że zdanie tak banalne jak „kocham cię” może wypływać z duszy, jeżeli zostanie umieszczone w kontekście, gdzie jest uczucie, przy użyciu odpowiednich narzędzi stylistycznych. Widzisz? Kocham cię.

– Tak, ale słowa wypowiedziane bez kontekstu...

– No jasne; wyrwane z kontekstu... Sama się przekonasz: teraz ty je wypowiedz.

– Kocham cię.

I pan Adrian się rozplątał jak wosk, krew z radości zatrzymała swój bieg i wielki wstrząs poprzestawiał wszystko w jego pamięci. Nieszczęsna Andromacha oświadczyła mu się. Wtedy obudził ich gwizd czajnika. Ona wstała,

a on zrobił gest Eneasza, że owszem, pozwala, by udała się gasić inny ogień niż ten, który płonie w jego sercu.

Dydona wyszła z pokoju nieco oszołomiona. Chyba jej powiedział, że ją kocha?

Pan Adrian ze swojego łóżka usiłował odgadnąć sens dźwięków powodowanych przez jego boginię w kuchni i użalał się nad swoim tchórzostwem, ponieważ nie stać go było na to, by chwycić ją za rękę, zaciągnąć do łóżka, rozebrać i podziwiać, tak jak Ignatius Laurę (Lottar Martin Grass, *Laura und Ignatius*, Münster 1888).

– Wcale nie jestem tchórzem. Po prostu ona ma narzeczonego.

Powiedział to na głos, żeby słowa zabrzmiały dobitniej: ale nie przekonał sam siebie.

– Pan coś mówił?

Wiktoria wkraczała w milczeniu do pokoju z parującym czajnikiem na tacy. Mimo że to zima panowała w Troi, tylko kanikuła w sypialni pana Adriana.

– Nic takiego, tyle że już od dziesięciu lat nie chorowałem.

Ona, nie zdając sobie sprawy z możliwości interpretacji tego gestu, dotknęła ręką jego czoła.

– Jest gorące, panie Adrianie.

– Umiąłabyś położyć mokry kompres?

Tego popołudnia Andromacha nie zajmowała się fiszkami ani odkurzaniem. Była pociechą strapionego, zdrowiem chorego, ucieczką grzesznika, rajem, królową aniołów, więżą z kości słoniowej, świętą Wiktoria, melancholijną Ariadną, dziewicą nad dziewicami, smutną Andromachą. Nawet udało się jej nakłonić początkującego zakochanego, żeby trochę się przespał. Niczym w inicjacji misteryjnej, w miarę jak gasiła ogień płonący na czole pana Adriana, Wiktoria, jak nowa Nike, nowe, celne wcielenie niezdarne go ucznia czarnoksiężnika (J.W.G., *Zauberlehrling*, 1797), czuła się stopniowo coraz intensywniej namaszczone, wtajemniczona, uświęcona przez nową, głęboką i wielką moc (cfr. Ahnlund, *Skog*). Nawet wzrok jej się zmienił, wzrok pięknej kapłanki namaszczonej nową mocą.

– „Gonzaga powiedział Isabelli” – wyrecytowała Wiktoria donośnym głosem, debiutując w roli kapłanki: – „«Ja cię uwalniam od gorączki, a ty mi ofiarujesz

cierpienie». Nowicjuszka spojrzała na niego ze słodyczą i pokochała go jeszcze mocniej”.

Pan Adrian nagle otworzył oczy, jakby chciał się upewnić, czy to na pewno Wiktoria wypowiedziała te słowa. Kilka linijek milczenia. Ona potraktowała to jako wyrzut i pospieszyła uzupełnić cytat o adres bibliograficzny:

– Giuseppe Grilli, *Forse che no*, Napoli 1912.

\*\*\*

Trzydzieści pięć nowych-starych książek później, po przeprowadzeniu poufnego dochodzenia, kiedy angina była już tylko odległym wspomnieniem, pan Adrian wiedział, że Toni nazywa się Toni Demestre i nie jest pielęgniarzem, tylko sanitariuszem, ma dwadzieścia pięć lat, chodzi często na dziwki i flirtuje z niejaką Lourdes Collado. Wiedział to wszystko, ale miał wątpliwości, czy powinien o tym powiedzieć Wiktorii. To bardzo nieładnie kogoś szpiegować, a jeszcze gorzej oskarżać. Czyżby jedyną przeszkodę stanowiły względy estetyczne? A szczęście Wiktorii? Czy nie warto było poświęcić własnego wizerunku osoby dyskretnej, jeżeli w ten sposób mógł ocalić Andromachę przed błędem złej miłości?

Teraz słyszał, jak krząta się w korytarzu, i zastanawiał się, czy to dobry moment, żeby jej powiedzieć wszystko, co wie. Ale wątpliwości przyprawiały go o drżenie. Już od paru dni dostrzegał w jej spojrzeniu inny, silniejszy blask. Zauważył, że dwa razy z rzędu Wiktoria, wchodząc do łazienki, zabrała ze sobą książkę. Panu Adrianowi marzyło się, że być może uda mu się kiedyś zrobić z Andromachy wielką czytelniczkę. Ponieważ jednak sprawy pilne odsuwają na dalszy plan sprawy ważne (cfr. António Albes, *Feliz resolução*, Lisboa 1957), nadal zastanawiał się, co ma zrobić – powiedzieć jej prawdę o tym sanitariuszu czy udawać, że o niczym nie wie? Czy wystarczy mu odwagi, by narazić się na wstyd i pogardę Wiktorii za swoje plotkarstwo? Kto mu kazał zajmować się podpatrywaniem innych? (Na pewno usłyszałyby z jej ust takie słowa, powtórzone za Felisą Graves, które wypowiedziałyby z rękami na wspaniałych biodrach). A może nie, może byłaby mu dozgonnie wdzięczna za otwarcie oczu. Albo nie. Albo...

Pan Adrian przechowywał tajną dokumentację z informacjami na temat Andromachy w dużej szafie, razem z pościelą, i żeglował oniemiały po oceanie

wątpliwości, i doprawdy nie wiem, czy nie powinnam mu zwrócić uwagi, że to bardzo dziwne, że przez cały miesiąc zredagował tylko pięć fiszek, jakby stracił wiarę w sens swojej pracy, tak jakbyśmy mogli sobie pozwolić na pogrzebanie na zawsze kolejnego dzieła (Szijj Kálman, *Örökkön-örökké*, Budapest 1922), zanim czyjeś oczy, które przeorają bruzdy jego słów (vid. T.S. Taylor Jr., *Letters and Papers*), ocalą je od zapomnienia. Jest roztargniony, nieobecny, jakby lektura w ogóle go nie pociągała, a mnie jest przykro patrzeć na te trzydzieści pięć ostatnio zakupionych książek, które nie zasłużyły na więcej niż tylko rozkojarzone, zniechęcone spojrzenie, jak Dorothy d'Oliver Cage. Co mają powiedzieć Mazzarino, Spender, Caballero-Rincón, Seabra Pinto et alteri? Czasem Wiktorii się wydaje, że gorączka towarzysząca anginie wyssała mu mózg.

Jak nawiedzona, jak namaszczona, z pewnością, jaką daje przekonanie, że działasz w słusznej sprawie, Wiktorii przestała odkurzać Poezję afrykańską, zeszła z drabiny i udała się prosto do gabinetu. Delikatnie podjęła pana Adriana pod ramię, wręczyła mu miotełkę z piór, szepnęła mu na ucho, że koniecznie trzeba dokończyć odkurzanie Poezji afrykańskiej w korytarzu, a sama zasiadła za biurkiem w gabinecie. Pan Adrian popatrzył na miotełkę, uważnie rozejrzał się wokół i bez słowa opuścił gabinet. Andromacha nie wzięła głębokiego oddechu, ponieważ wiedziała, co do niej należy: Seabra Pinto i jego refleksje na temat międzywojennej Coimbrы kryją na pewno więcej sekretów niż sonety religijne Williama Spendera. Otworzyła książkę i zauważyła, że jej grzbiet, mimo że jeszcze nie stała na żadnej półce, już pokrył się kurzem. Zrobiła zdegustowaną minę i zapisała na kartce, że jak tylko pan Adrian tu zajrzy, zwróci mu uwagę, że książki na biurku też powinny być czyste. Ładny cytat znalazła już na trzeciej stronie: „Nie jesteś sama, Coimbro, dopóki okna twoich domów otwierają się każdego ranka, a okiennice z radością stukają o ścianę”. Radosne okiennice, radość kobiety, która otwiera swój dom przed nowym dniem w Coimbrze... Wiktorii chciałyby się znaleźć przed Seabrą Pintem w momencie, kiedy zapisywał tę myśl, ale musiała się zadowolić odczytaniem go po wielu latach od śmierci autora. Przeczytała jeszcze raz, z szacunkiem, zapisała na fiszce i dodała adres bibliograficzny: António Seabra Pinto, *Coimbra*, Lisboa 1953. Zaraz przyszło jej do głowy, że teraz, kiedy zerwała z Tonim, bo z każdym dniem coraz bardziej ją wkurzał (on i ta Lourdes na sofie u Toniego, tego już było za

wiele), teraz, kiedy miała więcej czasu dla siebie, mogłoby się okazać interesujące szukanie związków, nie wyartykułowanych, lecz wyczuwalnych połączeń między dziełami, bo: ten opis, taki plastyczny, taki południowy Seabra Pinto (ibid.) skojarzył się jej z fragmentem innego dzieła: „Port pokrył się delikatną warstwą kurzu, którą tylko jego wrażliwe serce potrafiło dostrzec” (cfr. M. Haensch, *Selbstaufopferung*, Berlin 1921).

Tymczasem w korytarzu pan Adrian kichnął, odkurzając Poezję afrykańską, i obliczył, że zajmie mu to jeszcze dobrą godzinę, jeżeli będzie chciał wykonać zadanie sumiennie, książka po książce, grzbiet za grzbietem, po to, by karygodne zaniedbanie nie zapanowało nad wspaniałą biblioteką Andromachy.

OCZY JAK DIAMENTY



*Pan skierował do mnie te słowa: „Dałem ci czoło jak diament, twardszy od krzemienia. Nie bój się synów domu Izraela, nie lękaj się ich oblicza, chociaż są ludem opornym”.*<sup>[6]</sup>

EZECHIEL

1

Izaak Mattes wstał, poważny i uroczysty, i uściśnął młodzieńca. Czym sobie zasłużyłem na taką wspaniałomyślność? Jakim zrządzeniem losu, chwała niech będzie Panu, czcigodny Maarten z Amsterdamu zechciał właśnie mnie wyróżnić? Stał i przemawiając w jidysz, aby Baruch wszystko zrozumiał, powoli i wyraźnie powiedział, mój synu, życzę nam wszystkim, aby ten święty szabat pozostał na zawsze w naszej pamięci. I cała rodzina Mattesów, poza nieufnym Chaimem, odpowiedziała amen. A Pan wysłuchał ich modlitwy i faktycznie nikt z nich, nigdy, przenigdy, nie zapomniał tego szabatu. Nigdy, przenigdy ani czcigodny Izaak, ani jego małżonka Temerl, ani ich piękna córka Sara, która obserwowała przybysza oczami iskrzącymi niczym diamenty, ani nieufny Chaim, najmądrzejszy z nich wszystkich, który świata nie widział poza Torą, a na klejnoty pozostawał obojętny, ani najmłodszy chłopcy, Aaron i Daniel, obaj jeszcze przed bar micwą, ani dalsi krewni, którzy właśnie przyjechali z Warszawy, nigdy, przenigdy nie zapomnieli tego szabatu ani czterech dni, które po nim nastąpiły, i nocy, kiedy Izaak Mattes, wznosząc dłonie przed Baruchem Anslo, poprosił, żeby im opowiedział swoją historię.

Baruch, sięgnąwszy daleko wstecz oczami pamięci, rozpoczął swoją opowieść od prologu. Powiedział, że nazywa się Józef Kohen i że wypuścił się w tę długą zimową podróż na życzenie i wyraźne polecenie swego czcigodnego mistrza, oraz zapewnił słuchających, że podczas ciągnącej się całymi tygodniami podróży z odległego Amsterdamu do miasta Łodzi, mimo złej pogody, mimo ciężkich warunków, on w każdej chwili gotów był wyrzec się drobnych i niewinnych przyjemności, jak to posłanie w gospodzie czy kawałek sera zakupiony na wiejskim targowisku, za jedną modlitwę maariw o zmierzchu

czy jedno błogosławieństwo aszer jacar o poranku.

(Święty człowiek. Tym lepiej).

– Mój mistrz – ciągnął Baruch – nazywa się Maarten Claeszoon Sorgh i jest znanym w Amsterdamie szlifierzem drogich kamieni.

– Niech Adonai zgotuje mu wieczną chwałę, kiedy przyjdzie jego godzina, bo to człowiek sprawiedliwy – powiedział Izaak i wszyscy poza Chaimem dodali amen.

– Pewnego dnia spostrzegłem, że mój czcigodny mistrz czymś się trapi, pochylony nad księgami rachunkowymi, nad którymi ostatnio spędzał więcej czasu niż nad szlifowaniem kamieni szlachetnych, jako że wzrok mu słabnie. „Co się dzieje, mistrzu Maartenie?”, zapytałem. A on mi odpowiedział, że tylko ja mógłbym zrealizować pewną misję, ale nie ma odwagi mnie o to prosić. „Mistrzu Sorghu, jak mistrz może przypuszczać, że w ogóle może istnieć cokolwiek – zaprotestowałem – czego nie byłbym gotów podjąć się dla mistrza?” Czcigodny starzec obrzucił mnie szarym spojrzeniem pełnym mądrości i powiedział chcę przesłać wyrazy uznania mistrzowi Izaakowi Mattesowi w mieście Łodzi, w odległej Polsce.

– Boże na niebiosach! – zdumiał się ponownie cadyk Izaak Mattes. – Jak to możliwe, że o mnie słyszał, skoro ja go w ogóle nie znam?

– W Amsterdamie znane jest pańskie nazwisko. Szlifowane przez pana kamienie szlachetne są cenione i podziwiane przez wszystkich.

– Słyszałaś, Temerl? – Izaaka rozpieła duma. – A już myślałem, że radość mojej pracy dzielę tylko z diamentem w chwili, gdy udaje mi się, dzięki właściwemu cięciu, obudzić uspiomy w nim ogień.

– Ja zawsze podziwiałem – wyznał z pokorą Baruch – umiejętność odkrycia szlachetnego ognia w lodowatym diamencie. – I cichym głosem, który pewnej osobie zjeżył włosy na głowie, dokończył: – Mnie Pan odmówił tego daru.

Zapanowała cisza, podczas której każdy w myślach dziękował Elohim za otrzymane dary.

(Ale ręce ma jak szlifierz diamentów, równie delikatne, równie szlachetne, ze starannie przyciętymi paznokciami. Po prostu piękne).

Baruch przerwał to nabożne milczenie.

– Mistrz dał mi trzy tysiące holenderskich florenów, konia i dobrą radę, że

podróż to okazja do poznania i pokochania nowych ludzi, nowych miejsc i nowych języków, a następnie przykazał surowo, żebym się kierował cały czas na wschód, do miasta Łodzi, gdzie na pewno będę mógł się zatrzymać na jakiś czas w gościnnym domu mistrza Izaaka, zanim wyruszę w podróż powrotną.

(Niech nigdy od nas nie wyjeżdża, niech nigdy nie wyjeżdża).

Izaak Mattes pogładził się po brodzie, zakłopotany, i spojrzał na Temerl, która mrugnęła na znak, że się zgadza, a wtedy on gestem potwierdził gotowość przyjęcia przybysza pod swój dach.

– Wyjechałem z Amsterdamu na początku zimy w dniu słonecznym, ale bardzo chłodnym. Śnieg jeszcze nie pokrywał pól, jednak wiatr wiejący ze wschodu, może od strony waszego domu, był dosłownie lodowaty i utrudniał Lambertusowi bieg. W Utrechcie, nazbyt podobnym do Amsterdamu, spędziłem tylko jedną noc, posłuszny radzie mistrza, by poznawać nowych ludzi, nowe kraje i nowe języki. Na nieco dłużej zatrzymałem się w Münsterze: tamtejsi ludzie mówią tak jak my, ale jakby mieli siano w gębie, w ogóle są mało rozmowni i żyją w przeświadczeniu, że...

– Münsterczycy to papiści. – Lodowaty głos Chaima, przyszłego rabina, rozległ się po raz pierwszy tego wieczoru.

– Tak, i muszę przyznać, że spotkałem się tam z niechęcią jako syn domu Izraela. Münster był pierwszym naprawdę cudzoziemskim miastem, w jakim się znalazłem w moim dwudziestotrzyletnim życiu.

(Dwadzieścia trzy. A ja mam piętnaście i mama już się niecierpliwi).

– Dostarczyłem powierzone mi przez mistrza przesyłki i wolny od obowiązków zamknąłem się w gospodzie, by po bożemu spędzić szabat w swoim pokoju; zastanawiałem się, chwała niech będzie Elohim, w którą stronę następnego dnia pokierować konia.

Szept uznania zastąpił komentarz do słów Barucha. Tylko młody pobożny Chaim nie otworzył ust.

\*\*\*

Baruch zamknął drzwi na zasuwkę i wrócił do stołu, do kręgu światła. Drżącymi z przejęcia rękami, pomagając sobie sztyletem, który w warsztacie służył mu do przycinania wełnianej tkaniny, kiedy sporządzał mieszki na diamenty,

zachowując wszelką ostrożność, przystąpił do otwierania paczki. Kiedy już rozłożył na stole zawartość, nie wierzył własnym oczom. Pakunek zawierał zwinięte płótno i dwie grube koperty, w których, jak ocenił dotykiem, był tylko papier. Gorączkowo rozwinął materiał, obmacał ponownie koperty, ale nigdzie nie znalazł czarnej sakiewki z diamentami. Nie było żadnej sakiewki z diamentami. A to drań z tego Maartena Sorgha: wysyła mnie do Stambułu z dwoma diamentami dużymi jak ziarna ciecierzycy i nie wkłada ich do paczki. Gdzie są Buzi i Ezechiel? Co jest grane?

Baruch, zdezorientowany, wyjrzał przez okno. Zima rozgościła się na dobre w tej części Westfalii i z wieczornego deszczu zrobił się śnieg, który padał bezszelestnie z zamiarem przykrycia białym dywanem całego miasta Münster. Z okna ledwie dostrzegał ponure klatki anabaptystów zawieszane na wieży kościoła Świętego Lamberta.

Następnie rozwinął płótno i tym razem obejrzał je z większą uwagą. Ten gnojek Maarten Sorgh wysyłał synowi obraz, o którym było głośno minionej wiosny. Odłożył malowidło na bok i skoncentrował się na kopertach. Na jednej z nich nie znalazł adresu, na drugiej widniało imię syna jego mistrza: Jan Maartenszoon Sorgh, i adres: Galata, Stambuł. Zbliżył kopertę do świecy i długo zastanawiał się, co teraz. W końcu podważył sztyletem lakową pieczęć. Wyciągnął gruby plik papierów pokrytych drobnym pismem. Ani śladu diamentów między kartkami. Baruch zatopił się w lekturze, żeby znaleźć wreszcie rozwiązanie zagadki. Po konwencjonalnym wstępie, w którym ten przeklęty, podły Maarten Sorgh dziękował Elohim za wszystkie otrzymane dary, pytał ukochanego syna, jak mu się powodzi w Stambule, i wyjaśniał, że wysyła list przez umyślnego posłańca lądem, żeby nie dopuścić, aby informacja, którą ci przekazuję, drogi synu, wpadła w ręce otomańskiej straży portowej, ta bowiem, jak ostrzega Kompania wszystkich utrzymujących stosunki handlowe z Turcją, szpieguje kupców, by poznać ich sekrety. W drugiej kopercie znajdziesz szczegółową listę dostawców, klientów i właścicieli materiałów jubilerskich: od Egiptu do Bułgarii, i wyżej, aż po Bałtyk, do Królestwa Polskiego. Ja nie mogę z niej skorzystać, bo już nie mam sił na podróże, a te ośrodki leżą daleko od Amsterdamu. Ale tobie może ułatwić prowadzenie interesów. Korzystaj z niej z umiarem i nie wspominaj nikomu o istnieniu tego spisu, w który zainwestowałem dużo czasu i pieniędzy, więc nie chciałbym,

żeby wpadł w niepowołane ręce. Ten, kto wie wcześniej niż inni, gdzie jest rzeka, może się stać panem jej wód, jak mawiają goje. Pilnuj tej listy, synu, jak oka w głowie i mądrze z niej korzystaj.

Mam dla ciebie jeszcze jedną ważną wiadomość. Tuż po twoim wyjeździe z Wenecji do Sztambułu, dokładnie rok temu, otrzymałem Diament Cesarski, z indyjskiej wyżyny Dekanu – duży jak otoczek, dwieście dwadzieścia jeden karatów. Problemem były bardzo nieregularne kształty, za bardzo, ale z drugiej strony nigdy nie widziałem diamentu o takiej czystości jak ten. Zastanawiałem się nad nim przez parę tygodni. Mój wzrok, synu, nie jest już taki jak dawniej. Pokazałem go Baruchowi Anslo, temu posłańcowi, który wręczy ci przesyłkę – on jest znakomitym szlifierzem. Obejrzał go dokładnie i doszedł do wniosku, że można z niego zrobić dwa brylanty. Ambasador otomański zgodził się i Anslo przepiłował Diament Cesarski. Uzyskał w ten sposób, tak jak zapowiadał, dwa kamienie około stu karatów każdy, i parę mniejszych. Anslo znakomicie wykonał zadanie i w efekcie powstały dwa wspaniałe brylanty: mniejszy, dziewięćdziesiąt sześć karatów, nazwałem imieniem proroka Ezechiela, a większy, sto siedem karatów, nosi imię jego ojca, Buziego. Cudownie skrzy się w nich światło słoneczne tysiącem iskier. Kiedy do ciebie dotrą za pośrednictwem oficjalnego kuriera drogą morską, doręcz je osobiście w moim imieniu do Wysokiej Porty. Ja za pracę już otrzymałem wynagrodzenie, ale ty nie wzbraniaj się przed przyjęciem honorarium za swój udział; ręczę, że zapewni ci sławę i prestiż nie tylko w Stambule.

Posłaniec, który ci doręczy ten list, Baruch Anslo, ma dryg do szlifierki, jak już wspomniałem. Kiedy do ciebie dotrze, możesz wykorzystać jego umiejętności przez pewien czas, jeśli uznasz za stosowne, ale uważaj na niego, bo on zmyśla z taką biegłością, że łatwo cię omota. Nie daj się zwieść jego młodzieńczemu wyglądowi. Tej jesieni skończył trzydzieści lat. Byłby z niego znakomity szlifierz, gdyby nie jego wyrachowanie, cwaniactwo i pazerność, z powodu których nie powierzyłem mu diamentów, lecz zrobiłem z niego przynętę dla ewentualnych złodziei, rozgłaszając wszem wobec, że to Anslo ma dostarczyć diamenty. A na dodatek zbyt natarczywie przyglądał się twojej siostrzenicy Racheli. Jak cię nie interesuje, pozbądź się go bez skrępowań.

Baruch Anslo przerwał lekturę i odłożył list na stół. Zawsze się uważał za sprytniejszego od innych, ale Maarten Sorgh najwyraźniej w tej konkurencji bił

go na głowę. Powiedział na głos ty stary parszywy śmierdzący szczurze na kupie gnoju, dałby Bóg, żeby zelandzkie wydmy pogrzebały cię na zawsze. I od razu mu ulżyło. Mógł spokojnie czytać dalej.

Żeby wypełnić paczkę czymś, co by nadawało sens podróży, wysyłam ci malunek, który wprawdzie nie ma wielkiej wartości, ale jest całkiem niebrzydki. Kosztował mnie zaledwie pięćset florenów. To mój portret, namalowany ubiegłej wiosny przez mistrza Rembrandta Harmenszoon van Rijn, malarza, który dawniej cieszył się wielką sławą, ale teraz czasy świetności ma już za sobą. Tak czy inaczej, muszę przyznać, że bardzo się starał. Długo nad nim pracował. Przychodził do domu rano, po aszer jacar, w porze, kiedy codziennie, z wyjątkiem szabatu, przeglądam listę klientów i zajmuję się korespondencją, korzystając z jasności poranka, którą Adonai w łaskawości swojej obdarza nas każdego dnia. Mistrz Rembrandt wybrał mój pokój, którego wielkość teraz, niestety! mnie, samotnego, przytłacza, ale jemu chodziło o dobre światło. Chciałbym, żebyś zachował ten obraz, kochany synu, nie ze względu na jego niewielką wartość materialną, ale teraz, kiedy wiem, że już nie wrócisz do domu, bo za dobrze ci się tam powodzi, jako pamiątkę po twoim starym ojcu, a przede wszystkim jako wspomnienie pokoju, w którym wiele lat temu twoja matka cię powiła. To przesądza o jego wartości, drogi synu. Miej go zawsze przy sobie i pokazuj dzieciom, i dzieciom twoich dzieci, a być może pomyślą o swojej biednej babce. A tobie będzie przypominał o własnych korzeniach, bo nie ma smutniejszej śmierci niż wygnanie z pamięci.

Baruch Anslo odłożył list i rozwinął płótno. Popatrzył na portret lichwiarza Maartena rozważającego nad Diabelską Księgą, z którego dyletanta, gotowego przepłacić za diament, zedrzeć skórę, i dopisującego po stronie zysków pieniądze, które mi potracą z pensji z powodu tego zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach półtora roku temu brylancika.

Wstał i podszedł do ognia. Stary upokorzył go swoją przebiegłością. Długo się wahał, ale ostatecznie postanowił otworzyć także drugą zalakowaną kopertę i z uwagą przestudiował tajne spisy. O północy, kiedy zasypane śniegiem miasto ściał mróz, miał już parę pomysłów, ale jeszcze mało konkretnych.

Rozwiązanie dosłownie spadło mu z nieba następnego dnia, kiedy nie przejmując się szabatem, spacerował przebrany za Benedictusa Olsona po brudnym śniegu w pobliżu Pałacu Biskupiego, a Opatrzność sprawiła, że

znalazł się w pobliżu rachitycznego, boleśnie doświadczonego mrozem kasztanowca, dokładnie w tym momencie, chwala niech będzie Opatrzności, gdy kolasa biskupia, powracająca z wyprawy za miasto, zatrzymała się w pobliżu. Jego ekscelencja monsinior Johann Christoph Götz, obrońca Krzyża i biskup Münsteru, wysiadł, żeby rzucić okiem na drzewo, którego los najwidoczniej bardzo mu leżał na sercu. Poostukiwał pień, powiedział coś swojemu sekretarzowi, który przyznał mu rację, i obaj znów wsiedli do kolasy, oszczędzając nogom spaceru do Pałacu, położonego sto metrów dalej. Baruch Benedictus, kiedy zobaczył jego ekscelencję biskupa, stanął jak wryty i aż usta otworzył ze zdumienia. Teraz wystarczyło tylko znaleźć dobrego stolarza.

\*\*\*

– Monsiniorze, za chwilę monsinior zobaczy – powiedział Baruch, wskazując sztalugi przykryte prześcieradłem wyniesionym z gospody – co zrobił genialny Rembrandt, kiedy zrozumiał, że należy upamiętnić swoje głośne nawrócenie na katolicyzm...

– Nie wiedziałem, że się nawrócił.

– Nowiny, monsiniorze – pospieszył z wyjaśnieniem Baruch Benedictus Anslo Olson – zawsze są wolniejsze niż prawda. – I zanim tamten zdążył docenić oczywiste piękno aforyzmu, dokończył: – Mistrz postanowił złożyć hołd jego ekscelencji wielebnemu monsiniorowi Götzowi.

Z emfazą, wystudiowanym gestem ściągnął prześcieradło i sekretarz biskupa ujrział umieszczony na solidnych sztalugach obraz, oprawiony w skromną, ale porządną ramę. Monsinior oczom własnym nie wierzył. Spojrzał na Barucha, potem na płótno i przełknął ślinę.

– Ale Rembrandt nigdy tu nie był – powiedział zdumiony. Wskazał gościa ręką. – Pan, panie...

– Gerrit van Loo de Weesp, sługa unizony – przedstawił się Baruch Benedictus Anslo Olson z Amsterdamu.

– ...panie van Loo, poznał pan jego wielebność?

– Miałem ten honor.

– Ale Rembrandt nigdy nie dotarł do Münsteru!

– Ja byłem jego oczami, monsiniorze. – Pochylił głowę z pokorą i mówił

dalej: – Przyjechałem do Münsteru w dniu objęcia urzędu przez Jego Ekszelencję z misją opisaną rysów twarzy nominata. Po powrocie do Amsterdamu opowiedziałem panu van Rijn ze szczegółami, jak Jego Ekszelencja wygląda, i mistrz zdecydował, że aby uniknąć niestosownych rozbieżności, zredukuje rozmiary postaci, natomiast podkreśli aureolę mędrca i świętego człowieka wokół jego głowy.

– Ależ to wykapany biskup – nie mógł się nadziwić sekretarz kurii.

– Tym obrazem mistrz Rembrandt chciał złożyć hołd wszystkim mędrcom, którzy, podobnie jak Jego Ekszelencja, poświęcają najlepsze godziny dnia, a może również nocy, na studiowanie filozofii i świętej teologii, szukając wskazówek w dawnych księgach pełnych mądrości. – Wzniósł palec, żeby podkreślić wagę swoich słów. – Proszę tylko pomyśleć, że mistrz Rembrandt przeczytał w całości *Tractatus philosophicus* Götza.

– Godne podziwu. – W przypływie szczerości sekretarz wyznał: – Ja nie dałem rady.

– Widzi monsinior? – Kuł żelazo póki gorące Baruch Benedictus Gerrit Anslo Olson van Loo. – Księga, którą czyta Jego Ekszelencja na obrazie, to *Summa Theologica* Tomasza z Akwinu. Dlatego prawdziwym bohaterem tego płótna, obok Jego Ekszelencji biskupa Götza, jest samo pomieszczenie i jego atmosfera. – Kontynuował tonem eksperta. – Z tego powodu na obrazie dominuje ciemna ochra, której kontrapunktem staje się okno, źródło ośniewającego światła, codziennego daru Boga Wszechmogącego.

– Coś wspaniałego.

– Proszę tu spojrzeć, Wasza Wielbność. To schody prowadzące z wieży z kości słoniowej do świata, w którym my, nieszczęśni śmiertelnicy, krzątamy się z dala od mądrości.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego proponuje nam pan kupno, skoro...

– Mój pan, kiedy skończył malować, powiedział Gerrit, synu, ten obraz ma adresata. Udaj się do Jego Ekszelencji biskupa Münsteru i zaoferuj mu go jako hołd dla tego miasta, które potrafiło wytrwać przy katolicyzmie mimo wszystkich zawirowań.

– To pierwszy obraz Rembrandta, który widzę. Tutaj więcej się mówi o Rubensie.



– Ci, co się na tym znają, twierdzą, że mistrz van Rijn jest jedynym artystą, który potrafi namalować powietrze.

Faktycznie: w świecie przedstawionym na obrazie wyczuwało się powietrze, przestrzeń, światło, kontrast między światłem i cieniem. Istny cud.

– Doceniam wspaniałomyślność gestu pańskiego mistrza. Proszę mu przekazać, że Jego Ekscelencja przyjmuje prezent i hołd.

– Nie zrozumieliśmy się... – wycofał się ostrożnie Baruch Benedictus Gerrit Anslo van Loo. – Mistrz polecił, żebym zaoferował obraz Jego Ekscelencji za pięć tysięcy florenów holenderskich, mimo że wart jest trzy razy tyle.

– Aha. – Sekretarz biskupa znów spojrzał na dzieło wyeksponowane w świetle wpadającym przez okno. – A co się stanie, jeżeli Jego Ekscelencja nie zechce zapłacić tej sumy?

– Ze łzami w oczach powiedział, że jeżeli nie dojdziemy do porozumienia, mam kontynuować podróż do Rzymu i tam osobiście zaproponować kupno obrazu ojcu świętemu Aleksandrowi.

– Za tę samą cenę?

– Za dwukrotnie wyższą.

Sekretarz podszedł bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć jakiemuś detalowi. Później cofnął się parę kroków, podziwiając całość. Oczy mu płonęły jak diamenty.

– Jak go pański mistrz zatytułował?

Zawahał się przez moment, co usiłował ukryć, udając, że się zakrztusił.

– *Filozof*. – Znów odkaszlnął. – *Filozof Götz* – uzupełnił po udawanym ataku kaszlu. – W hołdzie jego mądrości i jego sławie eksperta w dziedzinie filozofii.

Po raz pierwszy sekretarz odwrócił wzrok od obrazu i spojrzał Baruchowi w oczy. Wtedy wszystko zrozumiał.

W Münsterze, moi drodzy, zrozumiałem, do czego może się posunąć nienawiść katolików wobec wyznawców innych religii, nawet jeśli należą do tej samej chrześcijańskiej sekty. Ponieważ są tu dzieci, nawet nie wspomnę o potwornych

torturach, jakim poddali parę lat temu zatwardziały anabaptystów, żywcem wieszając ich w klatkach, skazując w ten sposób na śmierć z głodu, zimna, zawrotów głowy i pragnienia.

(Jaki subtelny. Oszczędza nam szczegółów).

– Śmierć przez zagłodzenie – usłyszeli ostrożny głos Chaima – to kara, którą wiele narodów piętnuje oszustów i zdrajców, żeby się udławili własnymi kłamstwami.

– Święte słowa, szlachetny Chaimie – zgodził się Baruch. – Ale ja nie ufałem gojom i wolałem zachować ostrożność. Dlatego ukryłem moją prawdziwą religię i po zrealizowaniu wszystkich zleceń mistrza jak najszybciej opuściłem miasto niebezpieczne dla wszystkich, którzy nie są papistami.

(Jaki odważny. A oczy ma szaro-niebiesko-zielone).

\*\*\*

Ostatnia noc w świętym mieście Münsterze upłynęła Baruchowi Anslo na zacieraniu śladów. Przede wszystkim spalił list, który stary Maarten, ten obrzydliwy szczur, napisał do syna. Następnie ukrył w najbardziej niedostępnym miejscu blisko ciała listę klientów oraz kontaktów zapewniających dostęp do Wysokiej Porty. Upewnił się, że żaden kompromitujący papier, żaden okruch laku nie ocalał z ognia w kominku. Następnie przygotował sobie listy polecające, polegając wyłącznie na atramencie i własnej wyobraźni. Kiedy skończył, była już ciemna, późna noc. Ubrał się ciepło i wyszedł na białe od śniegu ulice, prowadząc za cugle wiernego cichego Lambertusa, którego gospodarz mu wcześniej osiodłał.

3

– Mój koń zwie się Lambertus.

– To nie jest odpowiednie imię dla konia – zaprotestował zgorszony Chaim.

– Niewinny kaprys mistrza Maartena. Tak się wabi i nie da się tego zmienić, bo się przyzwyczaił.

(Lambertus, jakie piękne imię dla konia. Jeśli kiedyś będę miała własnego,

nazwę go Lambertus, a Chaim niech sobie myśli, co chce. Lambertus).

– Wierny i oddany Lambertus przyniósł mi szczęście. Dwa razy ocalił mnie przed pewną śmiercią.

(Coś takiego!)

Izaak Mattes podał gościowi chałkę, jakby go zachęcał, żeby chwilę odpoczął, a może chciał w ten sposób zrekompensować niebezpieczeństwa, na jakie się naraził po to, by mu dostarczyć cenne dokumenty. Sara miała wrażenie, że tymi pięknymi dłońmi Baruch nie dzieli chałki, tylko pieści jej warkocze, i aż ją przeszedł dreszcz.

– Dwa razy. Bo nie tylko ocalił mnie pewnej nocy przed złodziejskim pościgiem, blisko Scharmützelsee, ale kiedy zemdlałem na siodle ze zmęczenia i zimna, niemal zamarzając na śmierć, ostrożnie, żeby mnie, nieprzytomnego, nie zrzucić na ziemię, w kompletnych ciemnościach doniósł do gospody i tak długo rżał, aż zaalarmował ludzi, którzy przyszli mi na ratunek.

– Jacy złodzieje? Jaki pościg? Nigdy pan się nie boi?

– Boję się tylko grobowych ciemności – odpowiedział dziarskim głosem. Uśmiechnął się i rozejrzał wokół, jakby czegoś szukał, a Temerl domyśliła się, że potrzebuje odrobiny wina do chałki, i sama mu usłużyła.

\*\*\*

Pojawił się na placu przed katedrą Świętego Pawła o umówionej godzinie. Tak jak ustalili, po północnej stronie gmachu, w krużgankach, czekał na niego nieruchomy cień przyklejony do ściany. Przywiązał Lambertusa do rachitycznego drzewa i podszedł do ciemnej postaci.

– No i co? – Od razu przeszedł do rzeczy.

– Jego Ekscelencja zgodził się zapłacić tylko cztery tysiące florenów.

– W takim razie proszę mi zwrócić obraz.

– Nie. Zatrzyma go, bo mu się podoba.

– Chcę za niego pięć tysięcy!

– Nie. Wart jest tyle, ile nabywca zechce zapłacić.

– Będę dochodził sprawiedliwości, monsiniorze.

– Proszę uprzejmie. Od czego pan zacznie? Komu pan go ukradł?

- To potwarz. Jestem pomocnikiem w pracowni...
- Chce pan trzy tysiące florenów czy nie?
- Nie mówił monsinior cztery tysiące?
- Teraz mówię trzy.

Cień wyciągnął w jego stronę pełną sakiewkę. Baruch Anslo chwycił ją zdenerwowany i natychmiast otworzył. W zimnej śniegowej poświacie ocenił na oko, że może tam być najwyżej dwa tysiące pięćset florenów w drobnych złotych monetach. Wtedy dosłownie krew go zalała. Mimo to uśmiechnął się.

- Negocjacje z monsiniolem to prawdziwa przyjemność.

Najpierw schował sakiewkę za pasem, a następnie wyciągnął sztylet i przez warstwy odzieży zatopił go w żołądku biskupiego sekretarza. To wszystko stało się tak nagle, że kiedy monsinior leżał już na ziemi, barwiąc na czerwono śnieg, ciągle jeszcze miał na ustach ironiczny uśmiech, z jakim wręczył sakiewkę z dwoma tysiącami florenów temu oszukanemu oszustowi. Mając świadomość, że mężczyzna jeszcze żyje, Baruch Anslo rozerwał jego odzież. Sekretarz jęknął i zaczął charczeć głośniej.

- Nawet nie próbuj krzyczeć. Dobrze wiem, że przyszedłeś sam.
- Proszę wezwać pomoc. Nie chcę się tu wykrwawić. I tak zdąży pan uciec.
- Najpierw dasz mi pieniądze.

Sekretarz biskupa powiedział nie zabijaj mnie i stracił przytomność. Benedictus Anslo znalazł wreszcie właściwą sakiewkę. Była o wiele grubsza. Tak go to rozzłościło, że jeszcze kilkakrotnie przebił dostojny brzuch sekretarza. Porzucił go, w konwulsjach, w ciemnym kącie, tuż przy murze katedry. Po chwili jednak wrócił, może powodowany współczuciem, tam, gdzie leżała jego ofiara. Żeby nie przedłużać zbędnego cierpienia, sztyletem zrobił mu na szyi koszmarny uśmiech i monsinior, oszust oszukany przez oszukanego oszusta, śmiertelnie wymęczony, w końcu przestał dygotać.

Nie wybrał drogi w stronę Frankfurtu, która by go doprowadziła na brzeg Dunaju, ani tej wiodącej do Stambułu, tak jak wspominał dwa czy trzy razy w gospodzie, lecz skierował konia ku wschodzącemu słońcu, starym traktem na Warendorf, spragniony zemsty. Żegnaj, Rachelo Sorgh. Znajdę cię w Magdeburgu albo jeszcze dalej, jestem tego pewny.

Kiedy słońce weszło nad pokrytymi śniegiem polami, zatrzymał Lambertusa

i otworzył sakiewkę monsiniora. Tamten zasrany złodziej musiał nieźle omotać wielbego biskupa Münsteru, odwołując się do jego próżności: w sakiewce znalazł w paru ciężkich monetach równowartość ponad trzynastu tysięcy florenów. I jak tu wierzyć ludziom.

4

– Ale jacy złodzieje?

– To było w Münsterze.

– Bądź tak uprzejma, droga Temerl, i nie poganiaj naszego gościa. Daj mu czas, żeby spokojnie wszystko opowiedział.

(Jak dla mnie może mówić bez końca).

Baruch Anslo podziękował Izaakowi Mattesowi za pomoc. Wypił łyk wina i wrócił do przerwanej opowieści:

– Po wypełnieniu zadań powierzonych mi przez czcigodnego mistrza uznałem, że nic mnie już nie trzyma w mieście tak nieprzyjaznym cudzoziemcom i stosując się do otrzymanych poleceń, wyruszyłem na wschód, w kierunku ciągle jeszcze odległej Łodzi.

(Jak pięknie mówi. Ma usta poety. I oczy pełne poezji).

– Elohim nade mną czuwa i w nim pokładam nadzieję. Dlatego kiedy na postoju koło Magdeburga napadło na mnie trzech bandytów, o których wam wcześniej wspomniałem, Pan nie dopuścił, by znaleźli przy mnie te parę groszy, cały mój majątek, i złodzieje uznali mnie za martwego. – Pokazał bliznę na lewym ramieniu, pamiątkę po niefortunnym upadku do kanału w Amsterdamie trzy lata temu, i niebiesko-zielone, niezgłębione oczy nagle się zaszklily łzami.

(Czemu mnie tam nie było, żeby go bronić albo przynajmniej wołać o pomoc...)

– Trzech okrutnych bandytów. – Baruch ekscytował się wspomnieniem. – Jednego udało mi się pokonać, a pozostali dwaj uciekli. Zostałem ranny... Jednak nie to było najgorsze. Kiedy dotarłem do lasu, który tam nazywają Schönenbaumgarten, tak gęstego, że aż ciemnego od splątanych konarów, okazało się, że w zaroślach zaczęli się tamci dwaj, dysząc chęcią zemsty. A ja,

bezbronny, byłem na ich łasce.

(O, Boże na niebiosach. A ja tu żyłam sobie beztrosko, o niczym nie wiedząc...)

– I wtedy Lambertus ocalił mi życie. Sam z siebie puścił się galopem, na przełaj, przez las, jakby znał ten teren na pamięć, i udało nam się wymknąć prześladowcom. Nie zabłądziliśmy, bo po paru godzinach Lambertus trafił na główną drogę. Nigdy więcej nie spotkałem tamtych przerażających ludzi.

(Trzeba nie mieć serca, żeby twierdzić, że Lambertus to nie jest dobre imię dla konia).

\*\*\*

Lambertus podniósł łeb. Widać było, że jest u kresu sił, mimo że Baruch go nie poganiał. Odwrócił głowę w kierunku gospody. Na pewno skojarzył zapach palonego drewna z postojem, podczas którego można odpocząć, z dala od ciągnących się w nieskończoność połaci śniegu na białej równinie. Biedne bydlę mimo chłodu było złane potem i Baruch, może z powodu nieczystego sumienia, poklepywał Lambertusa po szyi, żeby go uspokoić.

Zauważył gwardzistów, dopiero kiedy zeskoczył z konia. Było ich trzech, z groźnymi minami zaszli mu drogę. Ten, który miał hełm ozdobiony pióropuszem, znalazł się obok niego, jak tylko Baruch stanął na ziemi.

– Szanowny panie, mamy rozkaz rewidować wszystkich podróżujących tą drogą.

– Mogę spytać, z jakiego powodu, panie sierżancie?

– Morderstwo wysokiego dygnitarza kościelnego.

– Ja jadę z Bremy. Gdzie doszło do tak potwornej zbrodni?

– W Münsterze, pięć dni temu. Mamy rozkaz wszystkich przeszukiwać. Nieważne, skąd jadą.

Baruch uprzejmie pokazał mu listy, które go uwierzytelniały jako emisariusza królestwa Danii w drodze do Lipska i poprosił, aby sierżant był łaskaw nie grzebać w teczce z pozostałymi dokumentami, na co ten zgodził się bez oporów, bo nie interesowały ich papiery.

– To czego szukacie?

- Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania informacji.
- Skoro tak się sprawy mają, jestem do waszej dyspozycji, panowie.

Przeszukali wszystko, jeszcze jak przeszukali, co za gnojki. Wystarczy powiedzieć, że zamknęli go w pokoju, kazali mu się wypowiadać z imienia i nazwiska (Peter Nielsen), miejsca urodzenia (Aalborg), zawodu (optyk) i celu podróży (bardzo mi przykro, panowie, ale z oczywistych powodów nie mogę wyznać nic poza tym, co już powiedziałem). Następnie spokojnie, ale stanowczo rozebrali go do rosołu, nie przejmując się zapewnieniami, że mają do czynienia z emisariuszem królestwa Danii, i przeszukali wszystkie zakamarki cuchnącej odzieży fałszywego emisariusza, a także sakwę, derkę, biesagi na grzbiecie Lambertusa i buty, po czym zostawili go, drżącego z oburzenia i zimna. Kiedy już się ubrał, zażądał od sierżanta przeprosin należnych mu jako emisariuszowi królestwa Danii w drodze do Lipska, ale żołnierze nie mieli głowy do takich fanaberii i nie przejęli się jego pretensjami. Zresztą właśnie przyjechało dwóch nowych podróżnych. Tamtej nocy karczmarz zwrócił mu uwagę, że jego wierzchowiec jest chory i zaproponował innego. Baruch nie powiedział ani tak, ani nie, ale spał czujnie, nasłuchując rżenia biednego Lambertusa, i jeszcze przed świtem, nie biorąc sobie do serca rad stajennego, wsiadł na konia z zamiarem dogonienia słońca. Za sobą zostawiał słynne miasto Magdeburg, jeszcze pogrążone w mroku. Lambertus, który teraz sikał krwią, szedł przed siebie chyba już tylko siłą woli. Kiedy dotarli nad brzeg Łaby, Baruch zeskoczył z grzbietu, uwolnił konia od siodła i pomógł mu położyć się na trawie. Zwierzę oddychało tak ciężko, że aż serce się krajało, i gołym okiem było widać, że cierpi ból nie do wytrzymania.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz, kochany Lambertusie – szepnął mu na ucho i sztyletem przeciął żyły na szyi. Zwierzę miało drgawki silniejsze niż sekretarz biskupa, a jego oczy zasnuły się mgłą. Nie czekając na koniec agonii, Baruch, upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żywej duszy, szybkim ruchem rozplatał mu brzuch. Zanurzył ręce w śmierdzących flakach, aż znalazł drogę do żołądka. Wyłowił jedna za drugą wszystkie monety, brudne i zakrwawione, ale całe, oferujące swoje złoto Baruchowi. Nie przegapił ani jednej. Kiedy wyciągał ostatnią, poczuł coś, jakby lekkie drżenie w ciele zwierzęcia. Żegnaj, Lambertusie, powiedział, nie odwracając się za siebie, kiedy odchodził, taszcząc siodło.

Przez kilka dni szedł pieszo. W okolicy Möckern Baruch Benedictus Gerrit Peter Olson van Loo Nielsen kupił rączego, narowistego wierzchowca, którego ochrzcił imieniem Lambertus, i przyspieszył podróżowanie, żeby jak najszybciej oddalić się od okolic, w których mimo woli zostawił trop.

5

Po trzydziestu sześciu dniach ciężkiej podróży dotarłem wreszcie, niech Adonai będzie pochwalony, do celu. Przed moimi oczami, zmęczonymi monotonią zimowego pejzażu, rozciągały się zabudowania miasta Łodzi i w pewnym miejscu wśród nich znajdowała się ta rodzina, której miałem dostarczyć mój prezent.

(Jak to możliwe, że spotkało nas takie szczęście!)

– Rebe Izaaku, jest pan osobą znaną i szanowaną; wystarczyło zapytać kogokolwiek i od razu skierowano mnie pod właściwy adres. Pierwszą osobą z tego domu, którą ujrzałem... była słodka Sara, gdy wspięła się na stos torfowych brykietów, żeby wyjrzeć na drogę.

(Jaki sympatyczny. Mogłabym go jeść łyżkami).

– Oto jestem. Wiecie już o mnie wszystko.

Zebrani uszanowali ciszę, która zapadła po tych słowach. Przerwał ją sam Baruch, po pociągnięciu łyku tego rozgrzewającego gościnnego wina.

– Nie chciałbym być zawadą – zapowiedział. – Jeśli się nie obrazicie, jak tylko odzyskam siły, przygotuję się do drogi i wrócę do Amsterdamu.

(Co też on mówi, przecież tylko co przyjechał?)

Cisza. Izaak Mattes myśli o przybyszu jako o ewentualnym czeladniku, którego mógłby wtajemniczyć w arkana szlifierki, jako że Chaim nie przejawia zainteresowania tą sztuką, przedkładając nad nią studiowanie i modlitwę. Temerl, myśli biedny młodzieniec, potrzebuje czasu na odpoczynek, a podróż jest bardzo niebezpieczna. Do lata nie powinien się stąd ruszać. Chaim wpatruje się w oczy Barucha, ale milczy. Milczy również w duchu.

(Niech zostanie. Zostań. Na zawsze, Józefie).



Nocą, kiedy wszyscy spali, Chaim Mattes energicznie potrząsnął go za ramię. Młody Baruch, zaspany, pomyślał to koniec, Maarten kazał mnie ścigać; jestem zgubiony.

– Józef, obudź się!

Minęło sporo czasu, zanim do niego dotarło, że stoi nad nim nieufny Chaim ze świecą w ręce. Baruch podniósł się przerażony, szeroko otwierając oczy. Ach, to tylko Chaim. Co za ulga.

– Czego chcesz? Coś się stało?

Chaim otwartą dłonią przygniół go do łóżka.

– Przez cały wieczór kłamałeś.

– Co?

– Nikt nie zna mojego ojca w Amsterdamie. To niemożliwe.

– Jest na liście. Poza tym on sam uważa to za możliwe.

– Pycha i zarozumiałość przysłaniają nam oczy.

– Pilnuj swojej Tory, a mnie zostaw w spokoju.

Chaim odstawił świecznik na szafkę. Pokój w półcieniach przywodził na myśl obrazy Caravaggia i Rembrandta. Ponownie przygwoździł Barucha ręką do łóżka.

– Po co tu przyjechałeś?

– Z polecenia mojego mistrza.

Chaim otworzył dłoń. Pięć złotych florenów. Położył monety na szafce.

– Jak to możliwe, że jesteś taki bogaty? Masz ich pełno w sakwie.

– To, co teraz robisz, jest zaprzeczeniem gościnności twojej rodziny.

– Czego tu szukasz?

– Jeśli chcesz się upewnić, powiedz ojcu, żeby sprawdził... no nie wiem: że Icka Hersa z Warszawy łatwo skorumpować, bo licząc na przyszłe profity, gotów jest za kradziony towar zapłacić jak za oryginalny.

– Jeżeli się dowiem, że zamierzasz okraść mojego ojca, zabiję cię.

Poklepał go po policzku gestem, który mógł być wyrazem sympatii, i wyszedł z pokoju, zabierając świecę. Baruch w ciemności zaczął deliberować.

Dwie ściany dalej Sara we śnie odmawiała alejnu z wdzięczności za Józefa,

blagając niech nie odjeżdża, niech nie odjeżdża, niech nigdy od nas nie odjeżdża.

Musiał czekać trzy dni. Czwartego Izaak Mattes najpierw zamknął się z synem w warsztacie na parę godzin, a następnie wyjechał do Warszawy, żeby zasięgnąć języka o interesach niejakiego Hersa. Trzeba było jeszcze poczekać, aż nieufny Chaim uda się do chederu nauczać chłopców podstaw Miszny, komentarzy do niej, Gemary, i historii narodu wybranego zawartej w Torze. Bogu niech będzie chwała, dłużej bym nie zniósł tego świdrowania mózgu jego natarczywym spojrzeniem.

Baruch odczekał, aż Temerl zajmie się nastawianiem barszczu na wieczorny posiłek, a wtedy przesłał Sarze najbardziej uwodzicielski ze swoich uśmiechów.

– Może byś mi pokazała warsztat?

– Pod nieobecność ojca nie wolno tam wchodzić.

Baruch położył jej rękę na ramieniu, co sprawiło, że przeszedł ją dreszcz emocji, i powiedział, ale to tylko ja, a przecież jestem jakby starszym bratem, tak czy nie.

(Starszym bratem, młodszym bratem, bratem po prostu).

– Tak.

– No więc?

Strząsnęła z siebie ostatni skrupuł jak pyłek i sięgnęła po klucz zawieszony na gwoździu za piecem (co za oryginalne miejsce na skrytkę, nigdy by sam na to nie wpadł), wzięła za rękę swego Tezeusza, nie wiedząc, że jest Ariadną, i poprowadziła go do ciemnego labiryntu.

Cienie, ciemność, schody wiodące tak głęboko, że końca nie widać, i po kilku zakrętach poczuł jedyny w swoim rodzaju zapach diamentów, który tylko on potrafił bezbłędnie rozpoznać.

– Zastanawiam się, czy... – Pokręcił głową, skupiony. – Nie, nieważne, zostawmy to.

(O, mój ukochany, co to takiego, o czym nie chcesz mi mówić? Kochasz inną? Jesteś żonaty?)

– Ależ nie, mów... Zniosę każdą prawdę...

– No... bo... zastanawiałem się, czy... czy... dałabyś się pocałować.

(Chwała niech będzie Panu).

– Jesteś pewien? To znaczy, że nie...

– Tak, Saro, masz rację. Wybacz mi moją śmiałość.

– Nie, tylko chciałam powiedzieć, że...

(Och tak, ukochany, daj mi całusa, a ja ci oddam sto; nasycę się twoją bezmierną miłością; ty i ja będziemy żyć zawsze w rajach, nad rzekami i strumykami płynącymi mlekiem i miodem).

– Masz oczy o precyzyjnie wyszlifowanych fasetkach, ukochana. – Podniósł świecę. – A kiedy zbliża się do nich światło, Saro, eksplodują tysiącem iskier niczym prawdziwy klejnot.

Sara w odpowiedzi wspięła się na palce i zakryła mu usta pocałunkiem zadziwiająco dojrzałym jak na jej młody wiek, ale bardzo obiecującym dla Barucha. Trwał on chyba z tysiąc dni, a kiedy Józef złapał oddech, powiedział myliłem się: porównywać twoje oczy ze zwykłymi diamentami to zbyt ni zaszczyt dla diamentów.

– Ty też masz piękne oczy, Józefie. Józefie Kohen. I dłonie.

– Gdzie twój ojciec chowa diamenty?

– W pewnym sekretnym miejscu. Dlaczego?

– Żeby dokonać porównania przed lustrem. Diament w porównaniu z twoimi oczami straci cały swój urok.

– Chcesz powiedzieć, że moje oczy są piękne?

– Są najpiękniejszym światłem, jakie mógłbym sobie wymarzyć. Pomyśl, że diament, aby wyzwolić ogień, który w sobie kryje, potrzebuje pobudzenia przez światło słoneczne. Natomiast twoje oczy... – Wzruszony do łez Baruch wyznał: – Nigdy nie przypuszczałem, że na świecie może istnieć coś równie pięknego.

Sara, drżąc z emocji, odsunęła warsztat, a Baruch ostrożnie przysunął świecę. Za zasłonką przypiętą do ściany ukazała się wnęka, do której dostępu broniły masywne drewniane drzwi.

– Nie ma klucza. Zabierają go, kiedy...

Baruch przysunął bliżej świecę. Zamek typu Larszoon.

– Jaka szkoda – powiedział na głos. – Kiedy wróci twój ojciec albo brat, czcigodny Chaim, poprosimy ich, by pozwolili nam porównać.

Kiedy sen szczęśliwych i niczego nieświadomych był najgłębszy, a błogi spokój ogarnął cały dom, Baruch wyciągnął z za pieca klucz, zszedł do podziemnej pracowni i stanął przed zamkiem typu Larszoon uzbrojony w wytrych i swój sztylet. Drzwi prowadziły do wnęki wykutej w ścianie. W środku były półki, a na nich leżały pudełka. Kiedy przybliżył świecę, kamienie szlachetne i diamenty rozkwitły tysiącem radosnych iskier, podobnie jak oczy Barucha. Jego uwagę przyciągnęło jedno z pudełek. Przysunął bliżej świecę i wyszeptał, a żeby go pokręciło, tego skurwysyna, czcigodnego Izaaka, i jego święte jaja, oraz jego syna, podstępного milczka. Szkiełka o zapachu szkła. Szkło! To tylko prymitywne kopie... Zauważył, że w głębi na półkach stało więcej pudełek, i zrobił krok do przodu, przyświecając sobie świecą. Wtedy coś za nim zaszeleściło i poczuł delikatny przeciąg, wystarczający, by zgasić – zdmuchnąć – jego świecę. Drzwi zatrasnęły się i ktoś przekręcił klucz w zamku typu Larszoon, pieczętując milczeniem grobowiec Barucha Benedictusa Gerrita Petera Józefa Anslo Olsona van Loo Nielsena Kohena.

– Udław się teraz swoimi kłamstwami – przerażony usłyszał jeszcze z za masywnych drzwi znajomy głos, zanim zemdlął ze strachu.

SEN GOTTFRIEDA HEINRICHA

*To jest muzyka: płynie prosto z serca.*

J.S.B.

O czwartej po południu stary usiadł na łóżku i zapytał Kaspar, synu, gdzie jesteś? Si bemol, la, re bemol, si, do. Pamięć nagle podsunęła mu tamtą frazę. Przysłuchiwanie się, jak biedny Gottfried gra na klawikordzie, zawsze sprawiało mu przykrość, wielką przykrość. Przypominał sobie szare oczy Gottfrieda, szeroko otwarte, jakby chciały odpłynąć w ślad za nutami, które wystukiwały jego długie, nerwowe dłonie. Wyobrażał sobie to niespokojne serce, ono bowiem sprawiało, że patrzył na kobiety tak zachłannie, że starego niejeden raz przechodziły dreszcze... Ale przede wszystkim chodziło o chaos myśli, który był powodem, że żył w ciągłym bałaganie mentalnym.

Boleli nad tym oboje, on i jego wierna Magdalena, kiedy doktor Müthel oświadczył, że Gottfried Heinrich jest niespełna rozumu: że wprawdzie rośnie jak inne dzieci, ale nie można od niego wymagać intelektualnego wysiłku, bo on po prostu nie myśli. Mimo to pewnego dnia zaświtała nadzieja, jakby nagle zabłysło światło. Mogli się przekonać, jak bardzo pan doktor się mylił: Gottfried myślał. Ale najwyraźniej myślał sercem, a nie głową. Był zimny, śnieżny dzień; w dni takie jak ten wracał znużony z Tomasschule, z morderczymi zamiarami w stosunku do całej Rady Niekompetentych; i kiedy był już parę kroków od domu, usłyszał jakąś dziwną kakafonię; to siedmioletni Gottfried, naśladowający jego pozycję przy klawikordzie. Chłopiec siedział pochylony nad klawiaturą, z obłędem w oczach, i grał niezbyt dokładną wersję *Contrapunctum VIII*, którą on ostatnio często ćwiczył; spocony, zatopił się w dźwiękach tak głęboko, tak daleko odleciał, że nie zauważył obecności ojca. Nikt Gottfrieda nie uczył, do czego służy klawiatura, bo nie uczy się niczego dziecka, które nie myśli. Ojciec stanął przy instrumencie jak wryty, w milczeniu, z peruką w ręce, i właśnie przekonywał się na własne uszy, że jego ukochany Gottfried myśli, pamięta i chce, bo skoro potrafił odtworzyć coś tak trudnego, to znaczy, że, chwała Bogu, z jego myśleniem, pamięcią

i determinacją nie jest tak źle. Od razu mistrz zaczął się zastanawiać, do jakiej szkoły go zapisze zaraz następnego dnia. Ale po wielu próbach całkowite niepowodzenie doprowadziło do brutalnej konkluzji: Gottfried myślał, pamiętał i chciał tylko wtedy, kiedy chodziło o muzykę, co do innych spraw, rzecz się miała dokładnie tak, jak zdiagnozował doktor Müthel – był kompletnym imbecylem. I pozostał nim do końca życia. Jednak od dnia, kiedy zagrał *Contrapunctum*, Gottfried mógł grać na klawikordzie tak jak reszta rodzeństwa. Starsze dzieci z szacunkiem, młodsze z niepokojem słuchały w milczeniu jego szalonych improwizacji, które potrafiły ciągnąć się bez końca, a Magdalena przysłuchiwała się im ze łzami w oczach, modląc się w duchu i powtarzając biedne dziecko, moje biedne dziecko, nie ma głowy do niczego poza tą dziwną muzyką.

Dwudziestego szóstego lutego, kiedy obchodzili szesnaste urodziny Gottfrieda, rodzeństwo zgodnie poprosiło go o improwizację, a on, jak zwykle, kiedy miał dotknąć jakiegokolwiek instrumentu, podniósł wzrok na ojca, z błagalną miną i otwartymi ustami, ukazując przy tym nieświadomie dziurę po zębie wybitym dwa lata temu podczas bójki na ulicy, która wymiotowała błoto i czarną wodę do Pleisse, jakby błagał o coś niemożliwego, bo jego ograniczony umysł nie potrafił zrozumieć, że otrzymał zgodę raz na zawsze. Ojciec musiał skinąć głową, żeby naiwny jak dziecko Gottfried mógł grać w spokoju ducha. Starzec zapamiętał tamten dzień jako wyjątkowo trudny, ponieważ Gottfried wyszedł od nietypowego tematu, b, a des, h, c, co wzbudziło protest rodzeństwa, ale on ich uciszył, bo chciał zobaczyć, dokąd go to zaprowadzi. Dla wszystkich było jasne, że improwizacje na ten temat prowadziły Gottfrieda prosto do piekła. Ale ponieważ litowali się nad jego pustą głową, pozwolili mu grać aż do późnego popołudnia, kiedy Elisabeth, ta głupia Liza, żeby uwolnić się od diabolicznej muzyki, zaproponowała zabawę w śnieżki na placu Świętego Tomasza. B, a, des, h, c, rodzaj fantasmagorycznej rozwiązłości, zaskakującego rozwinięcia zwykłego tematu, który przybrał formę BADESHC, niekojarzącą się z niczym, chyba że w jakimś dziwnym, zapomnianym języku było to tajemne imię Szatana.

Pamięć starca przywołała teraz ten temat i jego muzyczne rozwinięcie. Dlatego usiadł na łóżku, zwrócił bezużyteczne oczy ku ścianie i wyszeptał Kaspar, synu, Kaspar, nie słyszysz?

– Nic nie słyszę, mistrzu.

Chłopak wzdrygnął się. Usnął nad otwartą książką. Mistrz usnął wcześniej, zanim Kaspar doczytał do końca siódmego rozdziału. Ale naprawdę ten traktat o dźwiękach w przyrodzie był tak nudny, że na samą myśl o przeczytanych stronach opadała głowa.

– Czy Gottfried już wrócił?

Kaspar dopiero teraz całkiem się ocknął. Położył na odpowiedniej stronie kawałek skóry, na której był wytłoczony lew, służący mistrzowi za zakładkę, zamknął książkę i odłożył ją na szafkę, obok brązowego lekarstwa w filizance. Jego bystry umysł natychmiast mu wszystko przypomniał.

– Ma pozostać w domu pana Altnikola aż do...

– Aż do mojej śmierci.

– Tak mistrz zadysponował.

Kaspar, czujny, obawiał się, jak starzec zareaguje. Tamten przyjął jego słowa spokojnie, ale już nie oparł się o poduszki na łóżku. Wprost przeciwnie, odrzucił cienkie prześcieradło i spuścił nogi na podłogę. Biedny Kaspar, przestraszony, nie wiedział, co robić.

– Ależ mistrzu... Mistrz nie może...

– A właśnie że mogę. Jeszcze nie umarłem. Gdzie jest laska?

– Nie wiem. Ja nie... – Zbity z tropu. – Laska? Mistrz chce swoją laskę?

– Nie przewidzieliście, że znów będę chodził. Wyrzuciliście ją?

– Ja mogę mistrzowi służyć za laskę.

Starzec zgodził się, podziwiając refleks tego młokosa, którego nazywał synem, i faktycznie bardzo chciał, żeby nim był. Natomiast Kaspar przeklinał swój pech. Pani miała wrócić dopiero wieczorem, a jemu polecono, by czujnie reagował na życzenia mistrza, jakiegokolwiek by one były.

– Zaprowadź mnie do organów.

Kaspar wszedł w rolę zaimprovizowanego pastorału ślepego. Już sobie wyobrażał miny domowników, kiedy się dowiedzą, co się stało. Ale on był tutaj, by czujnie reagować na życzenia mistrza, jakiegokolwiek by one były.

Przeszli przez jadalnię i przez salę muzyczną i stanęli przed drzwiami prowadzącymi do sali organowej.



– Klucz musi być w zamku – powiedział mistrz. I faktycznie tam był. Oddychając ciężko po wysiłku, mistrz oparł się plecami o ścianę, mówiąc do siebie w duchu ściano, szczęśna ściano, na pewno już nie liczyłaś na to, że jeszcze kiedykolwiek oprę się o ciebie.

– Chce mistrz wrócić do łóżka? – zapytał Kaspar z nadzieją w głosie.

– Mowy nie ma.

Jak tylko trochę odpoczął, uderzył kilkakrotnie pięścią w ścianę i pod rękę z chłopcem wszedł do sali organowej. Znał ją na pamięć: instrument był niewielki, z ograniczoną liczbą rejestrów, ale solidny, wierny i perfekcyjnie nastrojony. Kaspar otworzył okiennice i światło pierwszych lipcowych dni przepłynęło z wdziękiem przez jego oczy, omijając obojętnie oczy ślepeca, i zatrzymało się na klawiaturze organów i na klawikordzie Haussmanna, ulubionej marki mistrza.

– Kaspar, miech.

Kaspar zajął miejsce kalikanta i odblokował dźwignię. Zaczął wprawiać w ruch miechy i natychmiast zabrzmiało si bemol, la, re bemol, si, do, diaboliczny temat biednego dziecka, i Kaspar nie mógł go rozpoznać, bo jeszcze się nie urodził, gdy odbyło się jego pierwsze i jedyne wykonanie w tych ścianach. Następnie temat rozwijał się w ponad dwudziestu taktach kontrapunktu, tworząc dziwne zgrzyty, dysonanse, siódemki i dziewiątki, bez struktury, bez narracji, dokładnie tak, jak według nauk mistrza być nie powinno, bez rozpisania na głosy, bo wszystko zamykało się w pełnych akordach. Chyba jednak nie, teraz przejmujący rejestr trąbki, melodia przykra dla ucha i jej imitatio zabrzmiało jak dysonans, jak fuga... Krótko mówiąc, zdaniem Kaspara to nie była melodia. Spojrzał na starca i ze zdziwieniem zauważył uśmiech na jego twarzy.

Mistrz się uśmiechał, bo zaakceptował sen Gottfrieda i zrozumiał, co jego syn próbował oznajmić: ten krzyk to była afirmacja, że on na swój sposób też istniał; miał niejasne przeczucie, że kiedyś coś takiego będzie uznawane za muzykę. Urwał nagle krótkim, nieprawdopodobnym akordem do, re bemol, re, mi bemol mi, fa, i kiedy nastąpiła cisza, mistrz usłyszał przytłumiony szloch Kaspara, który płakał, oparłszy głowę na metalowej, zardzewiałej metryczce instrumentu, umieszczonej dokładnie na wysokości jego nosa, potwierdzającej, że Olegarius Gualterius sauensis me fecit in Markkleeberg<sup>[7]</sup>. Anno domini

1720. Ze swojego miejsca kalikanta Kaspar nie miał odwagi podnieść oczu na mistrza.

– Kaspar, ja nie zwariowałem.

– Co to jest?

– Sen prostaczka bożego. Teraz skomponuję siedem wariacji. Już prawie skończyłem.

Kaspar odnosił wrażenie, że śni jakiś piekielny koszmar. Poczł dreszcze, kiedy mistrz, zamiast go poprosić, żeby go odprowadził do łóżka, bo czuje się zmęczony, polecił Kaspar, zapisz to, co słyszałeś, przed nami jeszcze dużo roboty.

– Ale to nie jest muzyka!

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie zapamiętałeś...

Powiedział to łagodnym tonem, w którym dało się wyczuć zawołowaną groźbę wykluczającą odmowę. Przyzwyczajony do posłuszeństwa Kaspar podszedł do pulpitu, wziął pióro, kałamarz oraz papier nutowy i zaczął zapisywać z niesłychaną łatwością, dzięki niezwykłemu talentowi do zapamiętywania, ten horror, który podszywał się pod muzykę.

– Mistrzu, to brzmi fatalnie – odważył się zaprotestować, kiedy musieli powtórzyć takt dwudziesty siódmy tematu.

– Brzmi tak, jak powinno brzmieć w niewinnym umyśle bożego prostaczka.

Nie potrzebował więcej dowodów, aby stwierdzić, że mistrz stracił rozum. Westchnął i dokończył zadanie powrotem tematu wyjściowego, tym jeżącym włosy na głowie finałem do, re bemol, re, mi bemol, mi, fa, i odłożył pióro, nie mogąc powstrzymać grymasu odrazy.

– Mistrzu, skończyłem.

– Zagraj to teraz na klawikordzie.

Zwariował, bez dwóch zdań. Ale ponieważ Kaspar został pouczony, że ma słuchać i zajmować się muzyką, wykonał polecenie, choć wcale nie była to muzyka, lecz jakieś przerażające, skandaliczne dźwięki, które by nie przysły do głowy nawet najgorszym łobuziakom pozostawionym sam na sam z klawikordem.

– Fa diesi, sol diesi, la! – poprawił go mistrz.

– Ale wtedy brzmi jeszcze gorzej – bronił się Kaspar. – Jeżeli wychodzimy od E-dur...

Ślepe spojrzenie starca zagubiło się w przyszłości dla niego nieosiągalnej i wypowiedział słowami to, co nigdy by nie przeszło mu przez usta, gdyby nie chodziło o jego ukochanego Gottfrieda:

– Wszystko jedno, od czego wychodzimy. Nie ma tonacji. Temat i jego rozwinięcie to tylko miraż... Zawsze w muzyce jest coś nieoczekiwanego.

– A dysonans?

– Dysonans to też dzieło Boże. – Odczekał chwilę, wyciągnął rękę w kierunku, gdzie powinien być Kaspar, i bardzo cichym głosem powtórzył niczym polecenie: – Fa diesi, sol diesi, la...

I Kaspar polecenie wykonał: fa diesi, sol diesi, la, i drażniące dźwięki dokonały się tak, jak mistrz przewidział. Wtedy ślepiec ogarnięty furją, z niecierpliwością właściwą osobie umierającej, która nie chce odejść, dopóki nie pozostawi, niczym kotwicy pamięci, swojej ostatniej myśli, zaczął dyktować tę myśl oświeconą zuchwałstwem, kanoniczny kontrapunkt, zachowujący doskonałą równowagę w częściach fugi, z szalonym tematem początkowym w punkcie wyjścia. I tak, zaczynając od tej pierwszej, kolejnych sześć wariacji, wszystkie w tej samej... w tym samym braku tonacji, tak jakby wszystkie tonacje były tyle samo warte, tak jakby nie istniały tonika, dominanta, subdominanta, dźwięk prowadzący. Kaspar bał się utraty zmysłów, ale posłusznie zapisywał, co mistrz mu dyktował. Po dwu godzinach mistrz był błądy i spocony od tytanicznego wysiłku. Wtedy, nie ruszając się z miejsca, trzymając się mocno stołu, chrapliwym głosem powiedział Kaspar, teraz zagram to wszystko na organach. Pamiętaj, jak będziesz kalikować, sprawdzaj, czy gdzieś się nie pomyliłeś, zapisując.

– Nigdzie się nie pomyliłem, mistrzu. – Kaspar wcale się nie chełpił, on po prostu w kwestiach muzycznych nie popełniał błędów. Jeśli jest jakiś błąd, to z innej przyczyny...

– Kaspar, myśl się nie myli – przerwał mu zdecydowanie. – Postaraj się być wielkoduszny, bo inaczej nigdy tego nie zrozumiesz.

Mistrz zagrał temat i kolejne kontrapunkty, aż ściany domu zaczęły płakać, bo nie były przyzwyczajone, by właśnie w tej rodzinie rozbrzmiewały takie

nieskoordynowane jęki.

Kiedy skończył, siedział z opuszczoną głową, wyraźnie zmęczony, ale mimo wszystko skupiony na realizacji snu syna. Rozjaśniły się jego ślepe oczy i zwrócił je w kierunku kalikanta.

– Kaspar, umiesz dochować tajemnicy?

– Tak, mistrzu.

– Przynieś pióro i papier.

Chłopiec szybko spełnił polecenie. Starzec gestykułował, jakby wszystko dobrze widział.

– Zapisz tytuł utworu. – Spojrzał w dal, jakby szukał informacji na granicy pamięci, i wyrecytował z niemal nabożnym namaszczeniem: Kontrapunkt na temat Gottfrieda Heinricha Bacha. – Czekaj, zniecierpliwiony. – Już?

– Tak, mistrzu.

– Lepiej brzmi na organach niż na klawikordzie. Jutro przygotujesz mi wersję na lutnię. Słyszysz mnie, Kaspar?

– Tak, mistrzu: na lutnię. – Przełknął ślinę.

– Podobało ci się?

– Nie, mistrzu. Wcale.

Już po raz drugi w ciągu tego dnia starzec się uśmiechnął.

– A mnie tak. Zapisz pod moim nazwiskiem.

– Mistrz chce to firmować? – Biedny Kaspar poczuł się zbulwersowany. – To?

– Tak, Kaspar, właśnie to.

Drżącą ręką Kaspar skopiował podpis, o którego złożenie w jego imieniu mistrz prosił go bardzo rzadko: „Johannes Sebastian Bach fecit”<sup>[8]</sup>.

– Dziękuję, młodzieńcze... – westchnął starzec u kresu sił. – A teraz już naprawdę powinienes zaprowadzić mnie do łóżka. A to, co napisaliśmy... na razie schowaj. – Westchnął. – Czy mogę ci zaufać?

– Mistrz wie doskonale, że za mistrza oddałbym życie.

Starzec, zadowolony z odpowiedzi, odczekał chwilę. Może napawał się tym świadectwem lojalności; może przypominał sobie temat Gottfrieda i wyobrażał sobie jego wykonanie przez instrumenty smyczkowe.

– Kiedy umrę, osobiście dostarczysz rękopis memu najstarszemu synowi.

– Pan Friedemann porwie go na strzępy.

– Powiesz Wilhelmowi Friedemannowi – wyrecytował zmęczonym głosem, przerywając co chwilę, żeby złapać oddech – że temat jego brata Gottfrieda jest tym, co najbardziej w tym momencie kocham, i jest moją wolą, aby przetrwał wszystkie transakcje handlowe, których ofiarą padną moje rękopisy i moje książki.

– Ale jak mistrz to sobie wyobraża, że ktoś miałby sprzedać którykolwiek z rękopisów...

– Jeszcze o tym usłyszysz – przerwał mu mistrz. – Ale ten nie jest na sprzedaż.

– Dlaczego, mistrzu?

– Nie wiem. – Starzec patrzył, tak jakby cokolwiek widział, w kierunku jasnych okien, zatopiony w marzeniach. – Doprawdy, nie wiem...

– Mistrzu, to nie muzyka.

– To jest muzyka: płynie prosto z serca. – Zwrócił niewidomą twarz w kierunku, z którego dochodził głos Kaspara, uznając temat za zamknięty. – A tymczasem schowaj to. Nie pokazuj mojej Magdalenie, żeby zaoszczędzić jej cierpienia.

Podniósł się z trudem, a chłopiec szybko do niego podbiegł.

– Jestem bardzo zmęczony. To już koniec... – I kiedy chłopiec stał już przy nim: – Kaspar, uważasz mnie za szaleńca, prawda?

– Mistrzu, ostrożnie, tu jest stopień.

\*\*\*

Kaspar pomógł starcowi, wyczerpanemu wysiłkiem, położyć się do łóżka. Było popołudnie, za oknem rozpadał się letni deszcz. Chłopak denerwował się, dlaczego jeszcze nie wracają, dlaczego nikt nie przychodzi, niech przyjdą, niech przyjdzie ktokolwiek, bo mistrz zaczął mówić trzęsącym się głosem Magdaleno, gdzie jesteś, gdzie są moje dzieci, ja umieram, gdzie moja muzyka, co to jest, dlaczego zrobiło się tak ciemno... I chrapliwym głosem, fałszując, zaczął śpiewać, odwrócony twarzą do ściany Panie, już dość. Panie, w dobroci swojej

wyzwól mnie z więzów. Przyjdź, o dobry Jezu. Żegnaj, świecie. Odchodzę do niebieskiego domu. Odchodzę napełniony wiarą i pokojem, a za sobą pozostawiam wielką nędzę. Panie, już dość. A Kaspar nie wiedział, czy zostawić go samego i biec po pomoc. Siedział jak sparaliżowany u boku mistrza, bo ten chwycił go za rękę ze wszystkich sił i wciągnął do płuc całe powietrze świata. Ścisnął jeszcze mocniej rękę Kaspara, jakby w ten sposób trzymał się życia. Już nie wydychał powietrza. Kaspar, przerażony, zaczął płakać, bo zmarł jego mistrz, a on był w domu sam i nie wiedział, co robić.

Letni deszcz uporczywie atakował szyby w oknie sypialni. Kaspar szybko wyzwolił rękę z uścisku zmarłego i zerwał się nagle, przerażony myślą, że pani Magdalena, pan Friedemann, pan Altnikol... wszyscy będą mieli do niego pretensje, że doprowadził mistrza do śmierci, pozwalając mu pracować, że nie zastosował się do polecenia i pozwolił komponować muzykę, która go zabiła. Spanikowany pobiegł do sali organowej. Ze łzami w oczach pozbierał wszystkie papiery zapisane tego przekłętą popołudnia i zrobił z nich stos. Potarł czoło, żeby usunąć z głowy jakiegokolwiek wspomnienie tej diabolicznej muzyki, jakby było możliwe, żeby zapomnieć którąkolwiek usłyszaną nutę, i wybiegł z pokoju ze stosem kartek, ścisnął je ze złością, kierując się w stronę paleniska w kuchni. Strona po stronie wrzucił je wszystkie do ognia, żeby zatrzeć jedyny ślad swego nieposłuszeństwa, dowód przestępstwa, aż ogień pochłonął ostatnią kartkę i sen szaleńca strawiony przez ogień zniknął, jakby spłonęło czyjeś życie, ulotnił się przez komin w stronę szarego nieba nad Lipskiem.

VIII

PAMIĘTAM

Wszystko przez to, że małego Izaaka złapał gwałtowny atak kaszlu. Wtulał buzię w ciało matki, a ona, zdesperowana, przyciskała jego głowę do piersi, niemal go dusząc, ale mimo to chłopiec kaszlnął jeszcze trzy razy. Te przytłumione kaszlnięcia w uszach całej rodziny zabrzmiały jak wystrzał armatni. Usłyszeli je również żołnierze, którzy już mieli zrezygnować z dalszej rewizji.

Natychmiast dom się wypełnił hałasem bezładnej strzelaniny, a odgłos tłuczonego szkła uświadomił Miriam, że właśnie została rozbita jej ślubna zastawa, wyeksponowana za szklaną witryną. Dziadek jęczał bezgłośnie, a doktor Łódzer, zrozpaczony, bezsilnie zaciskał pięści. Pół minuty wystarczyło na znalezienie szczeliny, która otwierała wejście do wąskiej wnęki służącej im za kryjówkę. Rodzina Łódzerów, w półcieniu, niczym na obrazie Rembrandta, pojawiła się nieruchoma, sparaliżowana strachem, oślepiąca silnym światłem latarek Wehrmachtu, będących na wyposażeniu tego ukraińskiego oddziału SS. Ogłuszyły ich histeryczne krzyki niemieckiego oficera, które dosłownie mógł zrozumieć tylko doktor, ale pozostali członkowie rodziny bez trudu domyślali się ich treści. W czasie gdy żołnierze brutalnie wyciągali ich z kryjówki, dziadek Łódzer recytował Lamentacje i mówił przodujący wśród ludów naród stał się jak wdowa, która po nocach zalewa się łzami; drogi Syjonu w żałobie. Żeby go uciszyć, oficer kolbą mauzera wybił ostatnie trzy zęby, jakie dziadkowi jeszcze zostały. Na zewnątrz, na Nowolipki, choć było jeszcze daleko do południa, już zrobiło się ciemno: mgła, krzyki paniki, wrzaski wściekłości, dym pożarów i strach zasłaniały to wątłe zimowe światło, które dobry Adonai, Pan Zastępów, w łaskawości swojej zsyłał do getta. Dzieci, uczeplone rąk matki, pytały mamę, dokąd idziemy?

Wepchnięto ich na przepelnioną ciężarówkę. Rodzina Łódzerów po raz ostatni patrzyła na dom, w którym mieszkali przez ostatecznie dramatyczne dwa lata, a do doktora nagle powróciło wspomnienie wszystkiego, co się działo przed tą tragedią, kiedy jeszcze kaszel nie był przestępstwem: zabawy w dzieciństwie w warsztacie jubilerskim ojca, długie godziny nauki, długie dni przyjmowania pacjentów w gabinecie przy Siennej; wspominał wszystkich pacjentów razem i każdego z osobna, narodziny Izaaka i Edyty, Miriam, miłość



jego życia, która teraz myślała o ukochanym, stojąc obok niego, patrząc na jego bezsilność, klęskę, i z determinacją trzymała mocno za ręce dwójkę dzieci w obawie, żeby jakiś fatalny powiew wiatru nie porwał ich ku śmierci, i czuła się samotna, ograbiona ze wszystkiego na tym przenikliwym chłodzie, a oni bez wierzchniej odzieży, w tym, co mieli na sobie, bo zirytowany oficer (co za strata czasu, ta zabawa w chowanego) nie pozwolił zabrać im ani walizek, ani płaszczy. Doktor Łódzler obserwował kątem oka dziadka, który ze stoickim spokojem znosił ranę w ustach; wbrew swoim obyczajom bluźnił w duchu, bo mimo że zawsze był człowiekiem sprawiedliwym, Elohim go opuścił. Mały Izaak pytał ojca wzrokiem, ale nie odważył się powiedzieć na głos ojciec, dlaczego oni nam to robią, czym zawiniliśmy, i tylko zaczął cichutko płakać, bo to z winy jego kaszlu zostali odkryci.

Ciężarówka, podążając za karawaną ośmiu czy dziesięciu innych pojazdów, wypluła dziesiątki przerażonych osób na Stawki, róg Dzikiej, gdzie już na nich czekały bydłące wagony; pociąg punktualnie opuścił getto, przejechał przez Wisłę i przemierzył milczącą Warszawę, która odwracała głowę w drugą stronę, kierując się na Wołomin i Tłuszcz, w stronę radosnego letniskowego kurortu – Treblinki.

Nie rozebrali ich i nie ogolili tak jak pozostałych. Zostali zamknięci wraz z inną rodziną z tej samej ulicy w małej, zimnej i ciemnej izbie, której okien niezabezpieczono kratami, bo strażnicy wiedzieli, że więźniowie przestali być ludźmi, że stracili nie tylko godność, ale nawet instynkt samozachowawczy. I na jakiś czas zapomnieli o nich, pochłonięci przyjmowaniem kolejnych przybyszy. A może jeszcze nie mieli pomysłu, co z nimi zrobić.

Mijały ciche dni, a oni z duszą na ramieniu siedzieli przy ścianie i wpatrywali się w słabe światło sączące się przez brudne okna. Od czasu do czasu docierały do nich wrzaski oficerów SS i prostacki rechot ukraińskich ochotników. Kiedy po raz pierwszy otworzyły się drzwi i zostawili im na ziemi skórki spleśniałego chleba i dzban brudnej wody, doktor Łódzler ożywił się. Wspólnie z panem Langfusem, starcem, który był kłębkim nerwów, od kiedy zapędzono ich do getta, a on w jednej chwili stracił swój sklep przy Senatorskiej, wbrew wszystkiemu zorganizował życie w tej dziurze, chociaż zdawał sobie sprawę z rozpaczliwej, nieubłaganej prawdy, że jedyne, co im zostało, to przyjąć do wiadomości: że od kiedy zaczął się ten dramat, znaleźli się w jakimś zaklętym

kręgu i z każdym dniem ten krąg coraz bardziej się zaciskał, a oni robili, co w ich mocy, żeby się przystosować, dziękując Bogu za jego dobroć, a krąg zaciskał się coraz mocniej, aż nadszedł dzień, kiedy już nie mieli za co dziękować Panu, bo krąg stał się tak mały jak śmierć. Póki co jakoś utrzymywali się przy życiu – myśleli, podejmowali decyzje, jak na przykład, w którym kącie ustawić wiadro na nieczystości albo że Rut Langfus zajmie się równym podziałem racji suchego chleba, albo że każdy dorosły, jeśli tylko potrafi powstrzymać się od łez, będzie codziennie przez godzinę opowiadał dzieciom bajki. Ale Miriam nie uczestniczyła w tej desperackiej próbie organizacji życia w ciasnym kręgu, w którym ich zamknięto. Całe dni tuliła w ramionach Edytkę, usiłując obniżyć jej temperaturę magią spojrzenia lub położeniem dłoni na czole, i opowiadała bajki przeznaczone tylko dla niej, bajki, które przypominały czasy jej własnego dzieciństwa przy Jerozolimskich, kiedy była szczęśliwa, słuchając opowieści swojej matki. Teraz ona musiała je opowiadać, aby córka uchwyciła się czegokolwiek i nie umierała w wieku sześciu lat. Miriam oddałaby jej całą swoją krew, żeby ocalała, żeby ona i Izaak ocaleli.

Tydzień później do ich kwatery wszedł ponury kapral w towarzystwie ukraińskiego żołnierza, którego oburzył panujący w środku smród. Kazał wystąpić rodzinie Langfusów. W ciszy Stanisław Langfus i jego rodzina, bezwolni, ustawili się w rzędzie, dziadkowie pomiędzy dziećmi, i wyszli jedno za drugim bez pożegnania z rodziną Łódzerów, bez ostatniego spojrzenia, nie odwracając się za siebie, żeby nie prowokować ataku nazistowskich psów. Langfus zdążył jedynie ukradkiem wcisnąć Miriam do ręki swoją obrączkę, bo jakimś cudem udało mu się ją ukryć podczas rewizji, której zostali poddani natychmiast po przyjeździe do Treblinki. Państwo Łódzerowie zostali sami, mając za całe towarzystwo kaszel Izaaka, przez który zacisnął się wokół nich śmiertelny krąg. Upłynęły kolejne dwa dni na rozważaniach, co się stało z tamtymi, co się stało z rodziną Langfusów, z niebieskookim dziadkiem Stanisławem w koszuli z podwiniętymi rękawami, z Rut, jego wnuczką, jego zięciem i z trójką maluchów. I wszyscy, z wyjątkiem Izaaka i Edyty, wiedzieli, że radosny przysiółek w Treblince stał się ich stacją końcową, z której jedyną drogą wyjścia była unosząca się przez złowrogi komin w stronę szarego nieba kolumna dymu, jak w złym śnie. Wiedzieli o tym, a jednak nie wierzyli, bo

przecież to niemożliwe, żeby rzeczywistość była aż tak makabryczna. Kiedy przez trzy dni Langfusowie nie dawali znaku życia, zrozumieli, że nie zobaczą ich nigdy więcej, i zapanowała pełna grozy, przytłaczająca cisza, wypełniona ukradkowymi spojrzeciami, zakłócana jedynie przez piosenki, które Miriam śpiewała najczulej, jak potrafiła, aby ukołysać córkę, bo tylko przesypiając cały dzień, mogła uniknąć przeżywania tego horroru.

– Wszyscy na baczność! Józef Łódzer!

Gwałtownie otwarte drzwi odbiły się od ściany z hałasem, który obudził Edytkę. Dziewczynka dopiero co zasnęła i obudziła się przerażona, ale nawet nie jęknęła, bo pomimo swoich sześciu lat umiała milczeć i kryć przerażenie głęboko w kościach. Tylko mocniej ścisnęła rękę matki.

– Zaraz wrócę – uspokoił rodzinę doktor. Wychodząc, spojrzał czule na dziadka, siedzącego zawsze w tym samym kącie, na dwójkę dzieci i na Miriam, żeby zabrać ich wspomnienie na wieczność.

– Przepraszam – powiedział Izaak, który ciągle myślał o swoim kaszlu.

– Jeżeli ocalejecie – szepnął doktor – jedźcie do Palestyny.

I zniknął im z oczu, eskortowany przez psy.

\*\*\*

Hauptsturmführerowi SS towarzyszył szczupły łysy cywil w okularach, który uważnie przypatrywał się twarzy doktora Łódzera, żeby ocenić jego reakcję na propozycję, jaką tamten mu złożył.

– A jaką mam gwarancję, że dotrzymacie umowy? – odważył się zapytać.

– Żadnej. Ale obawiam się, że nie masz wyjścia.

Przyzwyczajony do posłuszeństwa doktor Łódzer spuścił głowę. Posępnym głosem zapytał:

– Kto ocaleje?

Wyjaśnił mu to kulturalnie dobrze wychowany łysy mężczyzna, który dotąd milczał:

– O tym wy sami musicie zdecydować... – Uśmiechnął się uprzejmie i dokończył zdanie: – ...wspólnie.

Wbrew zasadom panującym w Treblince, odchodząc, doktor pozwolił sobie

spojrzeć z nienawiścią w oczy Hauptsturmführera i łysego mężczyzny. Bóg nie istnieje, myślał, gdy go odprowadzali na kwaterę.

Józef Łódzer przedstawił sprawę Miriam i dziadkowi, dopiero kiedy dzieci zasnęły. Mieli dwie godziny na zastanowienie się i podjęcie decyzji. Obaj mężczyźni czekali, aż Miriam opłacze gorzkimi łzami to okrucieństwo. Kiedy się uspokoiła, dziadek poczuł potrzebę recytowania Lamentacji Barucha, tak jak to robił każdego dnia, od kiedy znaleźli się tak blisko śmierci, i powiedział wspominaj, Jerozolimmo, w dniach tułaczki i biedy. A Miriam, głosem łamiącym się od bólu, wyszeptała pozbawiłeś mą duszę spokoju, zapomniałam o szczęściu. Doktor Łódzer spieczonymi wargami wypluł słowa przepadła moc moja i ufność moja do Pana. Powiedział to z takim nastawieniem, że jego modlitwa zabrzmiała jak bluźnierstwo. Dziadek, nie chcąc, by Lamentacje pobożnych Żydów zakończyły świętokradcze słowa, dodał ledwo dosłyszalnym szeptem ześlij ślepotę na ich serca i na nich Twoje przekleństwo, o Panie.

\*\*\*

Izaak Łódzer poczuł dreszcze i skulił się pod kocem, który mu wręczyła tamta dziewczyna o ciemnych oczach. Miała na imię Hanna, a jej uśmiech był niczym błogosławieństwo. Dotknął zimnej kolby karabinu i wyjrzał w niepokojącą ciemność. Cisza niebezpieczeństwa, pomnożona przez jego własną ciszę. Nagle, bez uprzedzenia, złapał go gwałtowny atak kaszlu. Nie mógł się powstrzymać. Ten dźwięk przeraził jego samego i powiedział przepraszam, wybaczcie... modlitewnym tonem, jakby przepraszał za grzechy. W nagłym przeblasku pamięci zobaczył Treblinkę i poczuł gorycz zawinionego przez siebie okrucieństwa, bo i Edytka, i matka, i dziadek, i ojciec – wszyscy zmarli z jego winy, a teraz kto wie, gdzie ich szukać, prochy zmarłych rozproszyły się w powietrzu nad Treblinką, może rozsypały na ziemi, kiedy wiatr ustał, albo trafiły zaniezione jego porywem gdzieś na dalekie stepy; o, moi kochani, zmarliście z powodu mojego kaszlu. Na darmo starali się w Ramat Gan nauczyć go zapominać, wyrzucić ten nieszczęsny kaszel z pamięci. Łzy zamarły mu na policzku i szczelniej owinął się kocem; zobaczył samego siebie, jak szeroko otwiera oczy z wrażenia w porcie Hajfy, podając rękę na pożegnanie obcemu człowiekowi, imigrantowi, który podczas podróży był dla niego ojcem, matką, dziadkiem i siostrą i który go zostawił pod drzwiami Centrum Recepcyjnego

Ramat Gan. Izaak Łódzera, lat dwanaście, pochodzący z Warszawy, syn Józefa i Miriam, brat słodkiej Edytki, wnuk Mojżesza Łódzera, potomka Mattesów z Łodzi, a tym samym w prostej linii w jedenastym pokoleniu wywodzący się od wielkiego rabina Chaima Mattesa, ale wbrew tej tradycji skłócony na zawsze z Bogiem, przybył do Palestyny posłuszny ostatniej woli ojca, z pierwszą falą alii bet, ta bowiem, rzucając wyzwanie władzom protektoratu Palestyny, przemycała tych, którzy za wszelką cenę, nieważne jak, chcieli uciec z Europy pokrytej jeszcze popiołem dymu po ich braciach. W ciągu sześciu lat spędzonych w Ramat Gan pomogli mu zapomnieć, wyrzucić z siebie demony, a nawet udało się go nauczyć, jak przespać całą noc bez przerwy, i prawie przestały mu drżeć źrenice oraz minęły niekontrolowane skurcze twarzy. Zaopatrzyli go w okulary z grubego szkła, bardzo grubego, ponieważ przeżyty koszmar postarzył mu wzrok. Wszystko to się udało, z powodzeniem uczył się też hebrajskiego, a on z kolei sam nauczył paru podstawowych słów w jidysz swoich maghrebskich kolegów, opanował arabski i nawet od czasu do czasu się uśmiechał. Ale nie udało się wymazać z pamięci wspomnienia małej, przeraźliwie zimnej i ciemnej nory w Treblince.

Były to lata wypełnione gorączkową aktywnością w szkole – uczył się gry na skrzypcach, języków, stenografii, kryptografii i historii, żeby nie zostawić w głowie żadnej wolnej przestrzeni, która byłaby pożywką dla wspomnień. Kiedy skończył siedemnaście lat, musiał opuścić centrum, zostawić swoje miejsce dla kogoś, kto go bardziej potrzebował. Spośród zaproponowanych możliwości wybrał kibuc Ein Harod, z myślą, że zostanie wieśniakiem. Kiedy tam dotarł i czekał, aż wyślą go w pole z motyką, pierwszym narzędziem, jakie otrzymał po dwudniowym przeszkoleniu, był karabin, do drugiej ręki wcisnęli mu trzy paczki naboju. Kontakt z metalową częścią broni wydał mu się identyczny jak kiedyś dotyk lugera, którego ojciec, nieszczęsny doktor Łódzera, włożył mu do ręki po ostatnim pocałunku. Ale nie przyznał się do tego wspomnienia, ponieważ najwyraźniej w kibucu liczyli na niego jako na obrońcę. Stał jak zamurowany z karabinem i ładownicami, szeroko otwierając oczy, i wtedy podeszła do niego z uśmiechem czarnowłosa dziewczyna i wręczyła mu koc ze słowami ten koc to teraz twoja druga skóra, Izaaku. I twoje jedyne towarzystwo na czas warty. Oczy jak gagaty były uosobieniem piękna; miała na imię Hanna, odpowiadała za sprzęt i też trzymała wartę tamtej

nocy. Wydawało mu się niesprawiedliwe, że on jest taki brzydki i nieśmiały, że musi nosić okulary ze szklami jak dno szklanki, i nie odważył się podziękować Hannie. Dopiero jak już była daleko, rozdając uśmiechy i koce, Izaak wyszeptał przepraszam, przepraszam... i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś go słyszy. A teraz, na posterunku wartownika, kaszlnął, ujawniając potencjalnym wrogom swoją pozycję. Chciałby przebić ciemność wzrokiem krótkowidza, żeby dostrzec wcześniej niż inni błysk płomienia. Wkrótce potem usłyszał szept, delikatny, słodki szmer obok ucha, a następnie ogłuszający huk wystrzału. Upadł tak, jak siedział, i odruchowo dotknął ucha. Poczul ciepły, lepki płyn. A on tylko drżał, nie zwracając uwagi na krzyki towarzyszy, którzy zaalarmowani przybiegli z innych posterunków. Potyczka trwała najwyżej pięć minut, z piekielną wymianą ognia, a on leżał nieruchomo, sztywny, skupiony na sobie, przenosząc się znów do ciemnej, zimnej izby w Treblince. Musieli go wyciągnąć, zdrętwiałego, zastygłego w pozycji siedzącej, z ziemiarki, którą zajmował, i następnego dnia odesłali ze wskazaniem, że ma spędzić jakiś czas w szpitalu psychiatrycznym w Tel Awiwie. Nigdy się nie dowiedział, ile śmierci spowodował jego kaszel podczas tej nocnej potyczki w Ein Harod.

\*\*\*

Kiedy po trzech latach uznali, że sam już może sobie radzić, zamieszkał nad morzem, w Dor, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Tel Awiwu, licząc na to, że morski pejzaż, obserwowanie pracy rybaków i nielicznych małych jednostek, które wpływały i wypływały z zapyziałego portu, rozproszy jego ponure myśli. A Siły Obronne Izraela znów uznały go za zdolnego do służby państwu, które nie mogło pozwolić, żeby młody człowiek siedział z założonymi rękami, zwłaszcza gdy te ręce zostały wykwalifikowane do wychwytywania tajemnic ukrytych w pozornie niewinnych tekstach. Zaszłości zdrowotne i słaby wzrok dyskwalifikowały go do aktywności na pierwszej linii frontu. Więc zamknęli go w Tel Awiwie w pokoju bez okien z zadaniem odcyfrowywania wszystkich kryptogramów, jakie wymieniali między sobą lub przechwytywali gdzieś w świecie komandosi, którym w końcu udało się zatrzymać Eichmanna w Buenos Aires. Izaak uczestniczył w kolejnych posiedzeniach sądu; z pierwszych rzędów mógł przypatrywać się kanarkowi w szklanej klatce, oglądać go zmęczonym wzrokiem krótkowidza, czujnie, prawie nie zwracając

uwagi na pytania sądu i na lakoniczne odpowiedzi, pozwalając, by jego kaszel obsesyjnie odzywał się w pamięci, aż wybrzmi do końca i już nikomu więcej nie zrobi krzywdy. Odetchnął z ulgą po egzekucji Adolfa Eichmanna, jakby to tamten był Hauptsturmführerem zadającym tortury w Treblince. Ale jeszcze nie czuł się na siłach, by odwiedzić kryptę w Jad Waszem, bo nie istniała terapia zdolna wymazać z pamięci jego cząstkę Szoa, tamtej nocy, kiedy ojciec go obudził i wyszeptał na ucho, że on wie, Izaaku, że ty jesteś dzielnym chłopcem, a nawet mężczyzną, bo skończyłeś dziewięć lat, a on przerażonym wzrokiem patrzył to na ojca, to na stojącą za nim matkę – Miriam uśmiechała się z bólem, tuląc w ramionach Edytkę, która wreszcie usnęła bez gorączki, spokojnie – to na dziadka, który półgłosem recytował Lamentacje, i wpadł w panikę na myśl, że ma być dorosły. Ojciec uspokajał go nie martw się, wszyscy przetrwamy w tobie, ty przeżyjesz, bo jesteś silny i będziesz naszymi oczami i naszą pamięcią, mój synu. Izaak Łódzki setki razy odtwarzał potworną logikę rodziców: komu, o Boże, damy szansę ucieczki z piekła, kto ma zostać naszym Orfeuszem. Miriam natychmiast ustąpiła pierwszeństwa wszystkim, podobnie Józef – oboje myśleli o dzieciach. A stary Mojżesz w wyciągniętych rękach bez wahania składał im w ofierze tę resztkę życia, jaka mu jeszcze została, by służyła innym, i wtedy stało się jasne, że najgorsze będzie podjęcie decyzji, które z dzieci trzeba poświęcić. Miriam nie potrafiła zrozumieć, jak świat może być aż tak bezwzględny; Józef, uzbrojony w zawodowy dystans lekarza, przebył drogę od myśli, że wszystko jedno, którekolwiek, do niezgody na przypadek, który jak w grze w kości miałby wyeliminować jedno z dzieci, i poczuł potrzebę, żeby to jednak oni zadecydowali, i sam nie wiedząc dlaczego, powiedział niech przeżyje Izaak. A Miriam usłyszała niech umrze Edyta.

Po podjęciu decyzji zapadła święta cisza. Wtedy Józef zbudził Izaaka i zakomunikował mu, że mając dziewięć lat, już jest mężczyzną. I cała rodzina padła sobie w objęcia w ciemności. i od tego momentu Izaak już nigdy nie przespał spokojnie całej nocy.

\*\*\*

Podczas wojny sześciodniowej wchodził w skład oddziału rozpoznawczego na Wzgórzach Golan podporządkowanego sztabowi generalnemu. Wtedy był już szefem działu kryptografii. Pracował z poświęceniem i próbował przyjąć

postawę zimnego dystansu, jakim wykazał się jego ojciec w najtrudniejszych chwilach. Ale jemu to tak łatwo nie przychodziło i rozumiał, że jest człowiekiem bardzo słabym, w wieku trzydziestu trzech lat, tylu, ile miała moja matka, kiedy ją zabiłem. Ponieważ chciał uciec jak najdalej od samego siebie, wydawało mu się, że jeśli wyjedzie do Ameryki albo Australii, wszystko się jakoś ułoży. Kiedy po tej akcji wrócił do Dor z zamiarem wyciszenia swoich obsesji pod dobroczynnym wpływem morskiego pejzażu i obserwował coraz mniej licznych rybaków i statki, które omijały port, kierując się do Hajfy, pozostawiając miasteczko pogrążone w letargu beznadziei, zdecydował, że musi wyjechać z Izraela. Dwukrotnie wpisywał się na listę emigracyjną i dwukrotnie głos ojca kazał mu się z niej wycofać. Ten sam łagodny głos ojca, który przekonywał, że to tylko gra, kiedy esesmani zamknęli drzwi i otworzyli okno, żeby mieć dogodny i bezpieczny punkt obserwacyjny, i poszedł po pistolet pozostawiony przez nich pod drzwiami. A ja powtarzałem ojczy, nie, nie, nie, nie. Nie mogę tego zrobić. Na co on, musisz: tak trzeba, żeby przeżyć. Wskazując na drzwi, w jidysz, tak, żeby nikt niepowołany nie rozumiał, powiedział, tamte psy tylko czekają, byś okazał się tchórzem, bo wtedy zdobędą pretekst, żeby zabić wszystkich. A ja na to, nie, ojczy, jeśli tak, wolę umrzeć. Ty nas zabij. A ojciec uścisnął mnie i nie było wtedy na świecie większej niż jego miłości, i powiedział mi na ucho, mój drogi, ja ci pomogę. Żaden z nich nie pomyślał o tym, że właśnie wtedy zaciskał się inny przerażający krąg, wytyczony w chwili, gdy Wszchemogący, mimo zawartego przymierza, nakazał Abrahamowi, chcąc go wystawić na próbę, by na górze Moria poświęcił swego syna Izaaka, krąg, który teraz się domykał w wilgotnej, ciemnej i zimnej izbie piekła Treblinka, kiedy szatan zdecydował, że Izaak Łódzki ma poświęcić ojca, matkę, siostrę i dziadka; też po to, żeby wystawić go na próbę. Doktor Józef Łódzki włożył pistolet do ręki syna, delikatnie, jakby to był skalpel, pistolet znacznie dla niego za duży, ale doktor objął jego dłoń swoją, jakby to była gra, i ze stanowczością i chłodem, od którego przechodziły ciarki, poprowadził Izaaka tam, gdzie leżała matka i pogrążona we śnie Edyta. A Miriam ucałowała swojego męża, swojego kata Izaaka i przytuliła Edytę, która zmarła, nie zdając sobie sprawy, że stanowi część gry, obserwowanej zza progu z ogromnym zainteresowaniem przez dwóch podoficerów, jednego kapitana i łysiego lekarza. A kula, która zabiła Edytę, zraniła Miriam i wtedy doktor Łódzki bez zastanowienia skierował pistolet trzymany przez syna na żonę i po słowach



kocham cię, najdroższa w zimnej izbie rozległ się drugi strzał. A dziadek pochylił głowę, wystawiając kark z taką samą rezygnacją jak baranek w całopalnej ofierze, której dokonał trzeci strzał. I wtedy ojciec mi powiedział synu, ty ocalejesz, a my przetrwamy w tobie, ty będziesz naszymi oczami i naszą pamięcią. Jedź do Palestyny, zamieszka tam i wszyscy dzięki tobie będziemy w Izraelu. Ożeń się, miej dzieci, a my dzięki tobie będziemy żyć nadal. I poprowadził rękę Izaaka, i włożył sobie pistolet do ust, i uśmiechnął się do niego, jakby chciał powiedzieć widzisz? to tylko taka gra. I pociągnął za spust, razem z martwą ręką Izaaka, tak jak poprzednio. A Izaak, trzymając lugera w dłoni, nie potrafił pomyśleć, że teraz kolej na niego, bo w wieku dziewięciu lat człowiek nie umie myśleć o nicości. A oprawcy weszli do izby z uśmiechem triumfu na ustach i łysy lekarz wyjaśniał pozostałym uczestnikom spektaklu, że taka reakcja obronna jest typowa dla ras niższych, zdolnych do najbardziej przerażających zbrodni, jak zabójstwo własnych dzieci i rodziców, żeby tylko przeżyć, zamiast dokonać szlachetnego czynu samobójstwa. A potem wyjął z rąk Izaaka pistolet, przyjaznym gestem pogładził chłopca po głowie i powiedział tobie nic nie grozi, będziesz teraz mieszkał w pawilonie sanitarnym i od czasu do czasu ty i ja utniemy sobie pogawędkę. I dał znak żołnierzom, którzy im towarzyszyli, żeby go zabrali. Izaak nawet nie zdążył spojrzeć po raz ostatni na Edytkę, na matkę, na ojca i na dziadka. Otrzeźwiło go lodowate, przenikliwe zimno na zewnątrz i wtedy dopiero zrozumiał, że popełnił straszną zbrodnię; nie dość, że z powodu jego kaszlu znaleźli się w Treblince, to teraz jego podłość doprowadziła do popełnienia tych wszystkich morderstw. Utwierdził go w tym przekonaniu łysy lekarz, który stał się moim przyjacielem i tłumaczył mi, że jestem złym chłopcem, bo zabiłem całą rodzinę, żeby samemu się uratować, i obserwował z bezgraniczną cierpliwością moje zakłopotane milczenie, ciągle coś notował i częstował mnie cukierkami, bo przecież był moim przyjacielem. I pytał mnie, o czym myślałem i co mi się śniło. Nie pamiętam, co mu odpowiedziałem, ale na pewno nigdy nie wspominałem o kaszlu. I pewnego dnia ten zaprzyjaźniony ze mną łysy lekarz zniknął bez pożegnania i dwie godziny później do Treblinki wkroczyła Armia Czerwona.

\*\*\*

Kiedy po raz drugi wykreślił swoje nazwisko z list emigracyjnych, rozumiał, że nigdy nie zdoła wyjechać z Izraela ze względu na pamięć o zmarłych, których ma na sumieniu. Wtedy, dzień po swoich urodzinach, długo wpatrywał się w Morze Śródziemne, jego morze adopcyjne, i doszedł do wniosku, że nadszedł już moment na odwiedzenie krypty upamiętniającej obozy, i wybrał dzień najmniejszego ruchu na drogach na wyprawę do Jerozolimy, a tam przez dwie godziny obsesyjnie wpatrywał się w płomień, w którym było życie jego bliskich przez niego przerwane. Kiedy zobaczył wyrytą na ziemi nazwę Treblinka, zakręciło mu się w głowie od tamtego kaszlu, kaszlu, który zdradził ich kryjówkę, z jego winy. A on dotrzymał tylko części umowy: pozostał w Izraelu. Ale nie miał dzieci, nie ożenił się, nie wykrzesał tyle energii, żeby zapewnić swoim bliskim przetrwanie w następnym pokoleniu. Zdawał sobie sprawę, że teraz jest już za późno, żeby o tym myśleć. Jego dusza płakała, gdy patrzył na płomień, i ani przez chwilę nie pomyślał o Bogu miłosiernym, bo już od czterdziestu lat on i Pan Bóg nie mieli sobie nic do powiedzenia. Izaak Łódzki, przykładny obywatel, wrócił do Dor, popatrzył na morze z balkonu, wziął do ręki przydzielony wojskowy pistolet i przekonany, że w jego wieku już można myśleć o nicości, położył się na łóżku. Odczekał cierpliwie, aż współczująca ciemność spuści na wszystko dyskretną zasłonę, i włożył lufę do ust, tak jak kiedyś jego ojciec. Nie uśmiechnął się, bo nie miał syna, którego musiałby oszukiwać. Skoro nie był zdolny wypełnić całej umowy, przynajmniej mógł do nich dołączyć. Ale czy to ze względu na chłód metalu, czy z lęku przed samym sobą, złapał go atak zdradzieckiego, gwałtownego kaszlu. Jednak teraz nie było przy nim matki i nie mógł wtulić twarzy w jej ciało, żeby jego głos nie dotarł do piekła. Z powodu jakiegoś dziwnego skrupułu poczekał, aż kaszel minie i znów zapanuje doniosła cisza. I wystrzelił, czterdzieści lat po pierwszym kaszlu, z nadzieją, że ból już nigdy więcej nie będzie go dręczył.

FINIS CORONAT OPUS<sup>[9]</sup>

*Horresco referens*<sup>[10]</sup>, powiedział Święty Jan przed Siódmą Pieczęcią, a ja powtarzam, bracia, teraz, kiedy po okresie dogłębnej formacji osiągnąłem Prawdę, Tu i Teraz, w najlepszym możliwym miejscu i we właściwym czasie – w śmierzącym gołębniku, który Pan zesłał specjalnie dla mnie, Repatrianta. Pan wskazał mi kryjówkę, dokładnie vis-à-vis tamtych, w bezpiecznej odległości czterdziestu metrów, za hałaśliwą ulicą. Z przeciągiem, który pozwala wytrzymać zalewający oczy upał tych dni.

Wróć pamięcią, bracia barneńcy, tylko do ostatnich tygodni. Wszystko się zaczęło, kiedy Miki mnie zapewnił, że to jest megałatwe. Dosłownie tak to ujął: Quiquín, sprawa jest megałatwa. Gdybym wtedy wiedział, że taki krzyż pański na siebie ściągam, odszukałbym Mikiego w tym jego domku na izraelskiej plaży w Salou, złapałbym za jaja i zaciągnął do Tu i Teraz, żeby zobaczyć na własne oczy, w jaki wpakował mnie szajs. Szlag by go trafił, bo on jest z tych, którzy wzdrygają się na widok śmierci. A wszystko dlatego, że przez całe popołudnie i wieczór próbowałem postępować mądrze i sprawiedliwie, z rezygnacją godną tego masochisty Hioba. A mądrość i sprawiedliwość są niezdrowe. Jeszcze jak niezdrowe. W duchu modlisz się ożeż wy popaprańcy, już ja was nauczę układać spójny program. Ale zło już się dokonało. Sprawy zaszły tak daleko, że nie masz wyjścia.

Megałatwo tam kogoś poderwać, zapewniał mnie ten walnięty Miki. No to wchodzę do Cafè de la Miranda i rozglądam się na prawo i lewo w nastroju do rozróby, czyli pełen dobrych chęci, no wiecie, wyrwać jakąś laskę i w ogóle. Pierwsza dziunia w moim polu widzenia to grubaska w przykrótkiej spódniczce, która wprawnie żonglowała tacą pełną różnych świństw; cud boski, że nie przewróciła się na stopniach, których tam było od cholery.

Zaciągam się Crimsonem, o Panie, i to jest największa przyjemność, jaką może mi sprawić Życie Tu i Teraz. Zaciągam się Crimsonem i dzięki boskiej mocy Słuchu, dzięki walkmanowi, „nieobecni kochankowie” i cały świat sprowadza się do Kerouaca i Cassady’ego na przejażdżce cadillakiem po Paryżu. Życie jest piękne i dlatego chcę krzyknąć niech żyje na cześć przypadku: ta mała mi pasuje. Na co czekasz, wal, Quiquín, tylko nie spudłuj, kto będzie pierwszy, wyznaczy trajektorię tym, którzy nadejdą później, niech ci nie drgnie

*podbródek; doskonale, mam ją, jest moja. Bingo. Bingo absolutne, Quiquín. Minęło dziesięć sekund i nikt nic nie zauważył. Doskonale. Jestem w idealnym miejscu. Miki, mam, gdybyście mogli mnie zobaczyć.*

A ja i owszem, natychmiast się potknąłem na pierwszym stopniu, bo tu wszystko jest pogrążone w półmroku, pewnie oszczędzają na żarówkach. Grubaska przedefilowała przede mną, powtarzając, żeby nie zapomnieć, litanię: trzy ciastka, jeden seven up, dwa małe piwa, jakby to była litania, trzy krokiety, ora pro nobis<sup>[11]</sup>, anchois w sosie własnym, ora pro nobis, turris eburnea<sup>[12]</sup>, cztery piwa. Ominęła mnie wzrokiem, jakbym był niewidzialny. Wyobrażasz sobie takie chamstwo? Krew mnie załała, choć ze mnie, jak wiesz, niespotykane spokojny człowiek. Ale nic, uzbroiłem się w cierpliwość, tylko wkurzyłem się na Mikięgo, nic więcej. Przynajmniej do czasu. No ale jak mam być spokojny, kiedy traktuje się mnie jak powietrze.

Usiadłem przy pierwszym wolnym stoliku, jaki się trafił, i od razu wkurzyłem się na maksa, bo jakiś nierozgarnięty didżej puścił tę gównianą *Heroin*, jak byśmy byli w Factory, a te chujki wysyłały nas wszystkich razem do Dożyłnej Zatrąty Bezpośredniej. A ja, kiedy tylko słyszę Velvet, natychmiast mam ochotę puścić pawia. Zły początek, bracia, te lata siedemdziesiąte, one już dawno minęły, cuchną naftaliną. Nic, tylko zwijać żagle. A ja zostałem. I stąd ta cała chryja. A Velvet nadal gwałci mój Słuch. Za jakie grzechy, dobry Boże, po co te tortury, skoro ja tu tylko wpadłem zaliczyć szybki numer? A na dodatek, chyba żeby mnie do końca pognębić, ta tak zwana muzyka była, do kurwy nędzy, za głośna. Wkurzam się, jak jest za głośno, bo wtedy, chcąc nie chcąc, słuchasz, zamiast podrywać. Puściłbym z dymem wszystkie dyskoteki, razem z komunistami, małolatami, pomywaczami, didżejami i tymi popieprzonymi Bośniakami. Ze wszystkimi. Skoro już muszę tu siedzieć tyle godzin, niech przynajmniej trochę ściszą, nie? albo niech wsadzą całą tę muzę gdzieś, już w głowie mi się kręci, bo ja mam czuły Słuch i nadmiar decybeli może mi podziałać na masę encefaliczną, jakbym spędził cały dzień z komorą przy uchu. Nie znoszę muzyki tła i wyskakuję z windy w biegu, jak tylko usłyszę Mozarta, a do samolotu w ogóle nie wsiadam, no, to znaczy, z tym samolotem trochę przesadziłem, raz leciałem, podczas Epizodu Powrotu z Ziemi Obiecanej. A kiedy już sobie odpuścili Velvet Underground (no, nareszcie, myślałem, że nigdy się nie skończy), to dla odmiany przerzucili się na *Finlandię* Sibeliusa,

żeby była jeszcze większa starość. Cholera, coś im się grubo popierdoliło, to nie metro, ani miejsce, ani pora na słuchanie tego chłamu, nóż mi się otwiera w kieszeni; załatwiłbym bez zastanowienia gościa, który odpowiada za muzę. Jeżeli w ogóle jest tu ktoś taki, bo czasem puszczają na żywioł, bez ładu i składu, tak, bo tak. Jak sobie o tym pomyślę, to tak się wkurzam, że aż mi słabo. Szlag mnie trafia, czuję się osobiście dotknięty, kiedy ktoś nie ogarnia, że lokalowi, zwłaszcza jeśli to nowy lokal, jak Cafè de la Miranda, może nadać charakter tylko coś w rodzaju King Crimson. A publika to olewa, co im tam muzyka. Bo ludzie mają w głowach nasrane – podkładasz im pod życie ścieżkę dźwiękową i nic, zero reakcji, mają to gdzieś. Przez moment miałem ochotę wszystkich ich wykosić. Ale się opanowałem. Upłynęły dopiero cztery minuty i trzynaście sekund, od kiedy tu wszedłem, a sprawy w zawrotnym tempie zaczęły przybierać fatalny obrót. I weź się człowieku opanuj, kiedy w lokalu pełno wapniaków, pieprzonych Bośniaków, hippisów, Norwegów, skłotersów i ani śladu normalnego człowieka, mojego pokroju. I wtedy pojawiła się ona. Szczuplutka, oczy ładnie podkreślone kreską, tak, tak, zwróciłem na to uwagę, raczej blondynka, uśmiechnięta, i jeszcze ta guma do żucia, nadająca jej ustom figlarny wdzięk, że od razu rzuciłbyś się do całowania, ale ja nic, niewzruszony jak Święty Jerzy przed Smokiem Pokusy. Z tą nieodpartą pokusą to przesada, bo ja, jak się postaram, to do rany przyłoż. Jeszcze nie wiedziałem, że właśnie nadszedł czas, by zacząć postępować mądrze i sprawiedliwie. Laska z tacą w jednej i ścierką w drugiej ręce schyliła się, pokazując bardzo obiecujący dekolt, i wtedy pomyślałem, kurde, Miki, miałeś rację, to megałatwe, i oczarowany jej uśmiechem zapytałem to co robimy, a ona puściła do mnie oko i powiedziała decyzja należy do pana. Co podać?

No wypraszam sobie, żeby w takim lokalu, gdzie kelnerki są megałatwe, ktoś podchodził i traktował cię przez pan, to żenada. Ta laska mówiła mi idioto, masz trzydzieści siedem lat, jesteś po trzech rozwodach, wyposzczony jak modliszka, nie masz nawet licencjatu, no, gościu, czego tu szukasz? Robisz za pieprzonego Tarzana? Ale wrzucam na luz, bo przecież miałem postępować mądrze i sprawiedliwie i powiedziałem nie mów do mnie pan, skarbie, bardzo kulturalnie. No i w tym momencie puszczają *Child in Time*, jakiegoś gniota bez rytmu, z tak beznadziejnym tekstem, że można się zesrać, a mnie już krew zalewa, ale nic, uzbrajam się w mądrość i sprawiedliwość, kiedy piszczy głosem

kastrata ten pierdolony Gillan, gorszy niż Farinelli, a człowiek ma ochotę złapać wszystkie cioty i pieprzonych Bośniaków, zamknąć w szybkowarze i postawić na ogniu. Quousque tandem abutere, Deep Purple, patientia nostra?<sup>[13]</sup>, powiedział ewangelista Mateusz, trzynaście dwadzieścia dwa<sup>[14]</sup>, a ja powtarzam i podpisuję się obiema rękami. Nie żebym oczekiwał, że zawsze podryw mi się uda od pierwszego podejścia, ale kurde...

*Gdybym nie zaciągał się Crimsonem i nie rozbijał z Nealem i Jackiem po ulicach Paryża, chyba bym się, kurna, załamał, bo nawet Tu i Teraz wydawałoby mi się, że słyszę, jak tamten facet wydaje rozkazy. Mam wrażenie, że spojrzał w kierunku Tu i Teraz, a na to nie mogę pozwolić, bo ja tu jestem Bogiem, zabijam, kiedy chcę, i nie muszę się przed nikim tłumaczyć. A poza tym gęba tego typa z daleka przypomina Pepusa. Chciałbym wycelować w jego szyję, ale jest krótka jak mankiet kamizelki. Zaczekaj, Pepus, bo właśnie gitary wpadają w trans och, ach, Prawda, właśnie przemówiła Prawda. Święty Robercie Frippie, ora pro nobis... O czym to ja? Ach, Pepus. Do diabła z tym skurwysynem Pepusem. Stary, masz pecha. Wyobrażałeś sobie, że możesz uchodzić za Pepusa? Jeszcze moment. Nie ruszaj się. Aha... Bingo. W sam środek nieistniejącej szyi. Quiquín – rządzisz!*

...ale jeśli jakaś panna stroi fochy, wtedy ja do niej tak mówię spokojnie, mała, kolejka do mnie długa, nie załapiesz się nawet na pięć minut. I wtedy już jest twoja, a ty jej mówisz spadaj, spóźniłaś się. A ona na mnie patrzy, żuje gumę z głupawym uśmiechem i powtarza co pan zamawia, jakby puściła mimo uszu, że przed chwilą prosiłem, skarbie, nie mów do mnie pan, wystawiając moją mądrość i sprawiedliwość na najcięższą próbę.

– Piwo Estrella porządnie schłodzone i godzinę, kiedy kończysz pracę, Jane – powiedziałem z uśmiechem.

Taki już jestem; jeśli ktoś mnie prowokuje, ustępuję i pochylam się jak trzcina, bo gdy jeden nie chce, bando ignorantów, to dwaj nie będą się bić, jak naucza Lao-cy. I patrzyłem na nią z podobnie głupawym uśmiechem jak ona na mnie.

*Chyba zaczynają zdawać sobie sprawę, że coś jest nie tak. Co za bystrzaki! To dlatego, że ludzie na ulicy patrzą w drugą stronę i nie zwracają na siebie uwagi, tak jak On nie zwracał uwagi na nikogo.*

W tym momencie Nasz Ojciec Czas położył kres wrzaskom Gillana i teraz

usiłowali nam wcisnąć *Adagio na smyczki* Barbera, najbardziej przesłodzony wytwór ludzkiego umysłu, a ja cierpię zrezygnowany i uśmiecham się głupkowato do kelnerki. Zaczynałem odczuwać gorąc, który coraz bardziej dawał się we znaki, zwłaszcza w połączeniu z sianem w głowie didżeja tego lokalu, płatnego mordercy na żołdzie Mafii Bezguścia.

– Nie mamy estrelli. Może być voll damm.

– Do jasnej cholery, jak można nie mieć estrelli? – palnąłem, zanim pomyślałem: wiem, że nie powinienem, ale co się stało, to się nie odstanie i święty Boże nie pomoże. Tymczasem Samuel Barber dalej lukruje ściany, a ludzie nic, żadnej reakcji, czy to Lou Reed, czy jakiś pieprzony bośniacki poemat symfoniczny, szczyt wszystkiego.

– Estrella się skończyła. Albo voll damm, albo proszę przyjść jutro.

A więc laska nadal mówiła do mnie przez pan i sugerowała, żebym wziął dupę w troki. I cały czas żuła gumę. A ja wtedy zamiast zrobić sajgon, pomyślałem, Łukasz<sup>[15]</sup>, dwa dwadzieścia siedem, mówi bądźcie większymi skurwysynami niż lisy i większymi spryciarzami niż skurwysyny, i nawet nie drgnęła mi powieka. Powiedziałem zgoda, skarbie, to o której kończysz?

– Spieprzaj.

Widzicie, bracia? W końcu powiedziała mi ty. Nie zdążyłem zapytać, o której dokładnie mam spieprzać. O dziesiątej? O jedenastej? Jedenasta dwadzieścia trzy? No, o której? Już jej nie było, panna poszła po to piwo wyprostowana jak struna, a mnie tymczasem mózg pracuje na pełnych obrotach i gdyby nie ten przesłodzony Barber, w całym lokalu słychać by było, jak trzeszczy. Zauważyłem, że trzy rzędy dalej tamta grubaska śmieje się jak wariatka przy stoliku, gdzie podrywa ją dwóch gości; świnią, na pewno chce to robić z oboma naraz, co sobie natychmiast odnotowałem w notesie pamięci. Barber jeszcze się nie skończył, a już wróciła Jane. Dwa szybkie stuknięcia o stolik i stały przede mną butelka i kufel.

– Cztery euro.

Rzuciła paragon z kasy, jakby to było konfetti na festynie, prosto w rozlane piwo. No nie, trzymajcie mnie, cztery euro za butelkę, ja pierdołę, za co, za modną knajpę, że niby dopiero co otwarta, cztery euro za takie siury to zwykłe chamstwo. Wydawało mi się, że słyszę, jak Jane strzela gumą o białe zęby.



– Płatne z góry?

Zapytałem, żeby zyskać na czasie, bo sobie uświadomiłem, że nie mam w portfelu tyle hajsu. A co ona na to? Nie powiedziała ani tak, ani nie. Stała przede mną i czekała. Wtedy zwróciłem uwagę na jej piersi. Zjawiskowe, przyznaję. Zamknąłem portfel i zapytałem, ile sobie zażyczyłaś, skarbie?

Jane parsknęła, rozejrzała się, jakby szukała jakiegoś sympatyczniejszego klienta do pertraktacji, i obrzuciła mnie zniecierpliwionym spojrzeniem, a jej głos drżał od gniewu, na który sobie nie zasłużyłem.

– Cztery euro trzydzieści pięć centów – powiedziała ta dziwka, z uśmiechem godnym sekretarza kurii.

– Wcześniej mówiłaś cztery euro! – krzyknąłem oburzony.

– To po co pytasz?

Panna twarda jak skała. Pociągnąłem łyk voll damma, żeby ją przetrzymać i dogadać się z moim ego, z którym nie było teraz najlepiej. Oko mi padło na mokry paragon i wiecie, bracia, co tam stało? Dwa osiemdziesiąt pięć. Dwa euro osiemdziesiąt pięć centów, czarno na białym. Szlag człowieka trafia, no po prostu szlag mnie trafił; jak sobie przypomnę, nóż sam się otwiera w kieszeni.

– Tu jest dwa osiemdziesiąt pięć! – Tym razem polegałem na gołych faktach, bo całej tej swojej mądrości już miałem wyżej uszu. Dlatego, odwołując się do surowego poczucia sprawiedliwości, ja, syn Hammurabiego i Charlesa Lyncha, ponownie otworzyłem portfel, pogrzebałem w nim i położyłem na blat dwa marne euro, prawem talionu.

– Masz i spieprzaj – powiedziałem kulturalnie w momencie, kiedy wreszcie, cholera, wreszcie Barber się skończył, a teraz jakiś niedoświadczony pradziadek próbował nam zmasakrować neurony Jethro Tullem. Jane, nie z powodu Tulla, bo ona należała do przeważającej większości, która puszcza wszystko mimo uszu, ale z powodu dwóch euro, znieruchomiała – język, wargi, zęby i guma do żucia zastygły na moment. Po upływie kilku sekund wydmuchała pięknego małego suchego balonika, który zaraz pękł.

– Mam wezwać Pepusa?

Nigdy nie słyszałem o żadnym Pepusie. To znaczy do teraz. Chcę powiedzieć, że zanim poznałem Jane, nie miałem pojęcia o Pepusie. Dlatego to nie fair, żeby ona mnie straszyla jakimś Pepusem, tak jakby wszyscy musieli

wiedzieć, co to za jeden ten cały Pepus. Ja zaliczyłem porządny uniwersytet, mnie kultury uczyć nie trzeba i wiem, że jeżeli jakaś dziunia, która strzela gumą do zucia, pyta, czy ma wezwać Pepusa, powinienem sobie wyobrazić faceta z barami jak szafa, pięściami jak maczugi i bardzo krótką szyją, krótkimi włosami i jeszcze krótszą cierpliwością. Dlatego zatrąbiłem na odwrót, ale nie myślcie sobie, od razu odnotowałem ten fakt w notesie pamięci i skojarzyłem z pierwszym listem do Koryntian<sup>[16]</sup>, pięć dwa, gdzie Apostoł Pogan mówi, że ci popieprzeni Bośniacy zostaną wydani Szatanowi na zatracenie ciała. Wyciągnąłem portfel z kieszeni i najgrubszy banknot, jaki znalazłem, położyłem w najbardziej mokrym miejscu na stoliku.

– Tyle bierzesz za numererek? – pobłogosławiłem ją.

Jane wzięła banknot i znikła, nie odpowiadając na prowokację, co tylko potwierdza, że jest bardziej puszczańska niż kury w kurniku.

*Zaraz, zaraz, ten facet z siwymi włosami, który wygląda na przejętego, bo chciałby wszystko mieć na oku... Stary, nie prowokuj mnie, bo pożałujesz... Och... po raz czwarty i ostatni gitary według Świętego Frippa, najbardziej boska zbrodnia ze wszystkich zbrodni, wieczysta zbrodnia, esencja, ADeeN Crimsona... Chyba już mówiłem, żebyś nie patrzył w tę stronę. Nie rozumiem, dlaczego oni wszyscy nie zdają sobie sprawy, że są w niebezpieczeństwie. Mój Boże, kiedy ludzie nie mogą pojąć sensu Bożych działań, zamieniają się w oczach Boga w zwierzęta, karaluchy czy inne mrówki. Oddychaj głęboko. Żegnaj, siwowłosy zgredzie. To już trzeci, Quiquín. No, teraz chyba już wszyscy mają pietra. Dopiero teraz, co za refleks!*

Jethro Tull. Ujdzie. Zalatuje naftaliną, ale w sumie spoko. Tym przy stoliku obok mógłbyś puścić Cobosa i nic, dalej będą sobie gadać i nie zdemolują lokalu. Publika jest ciemna jak gówno w dupie. Przez cały dzień gęba im się nie zamyka, żeby tylko nie myśleć, a wieczorem są już tak skonani, że na wszelki wypadek łykają pastylkę i już nie muszą z ciężkim sercem otwierać notesu pamięci.

Jane przyniosła mi skrupulatnie odliczoną resztę, i to nawet na talerzyku. Postawiła ten talerzyk na stoliku tak kulturalnie, że zaskoczyła mnie, kiedy właśnie przełykałem piwo, pomagając Tullom odkupić ludzkość, i zdziwiony podniosłem na nią wzrok znad kufła.

– Pięć po jedenastej – powiedziała.

– Słucham? – Błądziłem myślami gdzieś daleko.

– Kończę pięć po jedenastej. – Wskazała coś ruchem głowy, przypuszczam, że kuchnię. – Tylnymi drzwiami, ulica na zapleczu, zapamiętasz?

A mnie, bracia, po prostu замуrowało. Czyli cała ta oziębłość to była gra w moją stronę, zgrywała niedostępną dla picu, a tak naprawdę aż się paliła do kontaktu, żeby się wymienić płynami, no wiecie. Miki, jesteś w porzo facet, pomyślałem w tym momencie. Spojrzałem na zegarek: na jedenastą pięć będę musiał czekać jeszcze z pół godziny.

– Możesz na mnie liczyć, Jane – odpowiedziałem jak prawdziwy dżentelmen. Przez chwilę, dosłownie przez chwilę, straciłem poczucie czasu i kiedy wróciłem na ziemię, stał się cud i już na mnie czekali Pixies. Tak jakby ten pozbawiony gustu kretyn od muzyki chciał wziąć udział w mojej radości. Jeżeli człowiek jest pięć i diabeł jest sześc, to Bóg jest siedem, przypominali Pixies. Zaraz, zaraz, gdzie mam portfel, trzeba schować resztę. Pixies, Barber, Velvet, Sibelius, Tull... Jeśli to ma być gust, niech zstąpi Gromowładny i unicestwi winnego.

Uliczka z tyłu to nie była uliczka, tylko wąski brudny pasaż, na szczęście dobrze oświetlony. Sprawdziłem wszystkie drzwi po kolei, czy są otwarte, bo nie miałem bladego pojęcia, które należą do lokalu. W końcu na tych pomalowanych na zielono znalazłem logo Cafè de la Miranda. To tam. Oparłem się o ścianę, zadowolony, myśląc o gumie do żucia Jane; to będzie pierwsza rzecz, o którą ją poproszę. Spojrzałem w górę, tam, gdzie gwiazdy, szukając jakiejś przyjaznej konstelacji. Ale nad sobą widziałem tylko latarnię, która wyznaczała granice wyobraźni. Wtedy usłyszałem gwizd.

Nie, fałszywy alarm. To nie był gwizd. Ta suka dawała na siebie czekać. Jedenasta. To prawda, że czekam tu już od dziesiątej czterdzieści pięć, ale wybiła jedenasta, jedenasta pięć, jedenasta siedem, a paniusi nie widać. Dzwony już ogłosiły jedenastą osiem, a nadal ni widu, ni słyhu. Wkurzyłem się jak jakiś Serb; chyba jasno dałem do zrozumienia, że do mnie laski ustawiają się w kilometrowej kolejce i to nie ja, a na mnie się czeka. Dopiero kwadrans po jedenastej, kwadrans! usłyszałem coś w rodzaju gwizdnięcia, tak jakby ktoś chciał przyciągnąć moją uwagę.

*Teraz już załapali, co jest grane. Chodzi o to, żeby podjąć decyzję, nie kierując się uprzedzeniami. Ty, bo jesteś stara. Ty, bo jesteś pieprzoną*

*Bośniaczką. Ty, bo jesteś komunistą. Cholera, nie trafiłem. Quiquín, skoncentruj się, chłopie. Stary, teraz!... Z komunistami zawsze było ciężko, jak powiedział Święty Paweł w drugim liście do Tymoteusza<sup>[17]</sup>, trzy dwanaście. Ponieważ Crimsona przesłuchałem już czwarty raz z rządu, ja, bracia, żeby nie popaść w obsesję i nie zwariować od nadmiaru dobrej muzyki, która mogłaby wbić mi się w mózg, nie zostawiając miejsca żadnej innej, położyłem delikatnie efer pięćdziesiąt na ziemi, wyjąłem taśmę apostoła Frippa, ucałowałem i rzuciłem w próżnię, poświęcając ją dla dobra Ludzkości. Miałem nadzieję, że Crimson rozbije głowę jakiemuś stróżowi porządku i odciśnie niezatarte piętno w jego represyjnym mózgu. Wtedy, bracia, włożyłem do odtwarzacza Świętą Taśmę, Muzyczne Odkrycie Wieku, Drugą Część The Last Recital Of Pere Bros, Odkrycie dokonane w sklepie na Osterhausgate, niezane, lojalne, realne, stymulujące, pobudzające wyobraźnię, żywe, supernowoczesne, ultraklasyczne Contrapunctum Fischera, opowiedziana muzyką historia zrozumiała dla umysłów lotnych, otwartych, z wyobraźnią, takich jak mój, i kiedy tylko usłyszałem początek, łzy same napłynęły mi do oczu i prawie odstąpiłem od kontynuacji wymierzania sprawiedliwości. Bracia, ten odlotowy Pere Bros grał jak zaczarowany. Tak cudownie, że wtedy ja, Quiquín z Barny, zrozumiałem i przyjąłem za swoją rozpacz, która go doprowadziła do samobójstwa, choć wcześniej pomogła mu wspiąć się na wyżyny nieosiągalnego piękna.*

Myślałem, że to ślepa uliczka, a tu proszę, z drugiej strony wyłania się pysk terenówki z napędem na cztery koła i zatrzymuje się przede mną. Jane zmotoryzowana. Zawołała mnie z samochodu. Ja, pod latarnią, żeby mogła mnie dobrze widzieć, obrażony postukałem w szkiełko zegarka trzy czy cztery razy, a może pięć lub sześć, albo siedem lub osiem czy dziewięć. I dopiero wtedy, kiedy pokazałem jasno, ile jest warta moja godność, podszedłem do terenówki, myśląc o gumie do żucia, że chciałbym poczuć w ustach jej gumę, a potem przejść do... Ale nie zdążyłem dokończyć myśli, do czego miałem zamiar przejść, kiedy już poproszę Jane o gumę, bo ona mi przerwała.

– No już, wsiadaj – usłyszałem. I stał się cud, na dźwięk tego głosu ujrzałem jej piersi i pomyślałem: życie jest piękne. Ostatni raz tak myślałem dwanaście lat temu. Dwanaście lat i pięć miesięcy. Może dlatego, że tak pomyślałem, o tych stu pięćdziesięciu dziewięciu miesiącach, które upłynęły, od kiedy rozstałem się z Lidia, osiemdziesięciu sześciu od zerwania z tą dziwką

Mercedes i trwającej osiemset dwadzieścia dwa dni ucieczce od Soni, a teraz świat się przede mną otwierał jak w filmie, nie zauważyłem, że w terenówce nie ma ani gumy do zucia, ani Jane, tylko pozbawiony szyi gość z barami jak szafa, z krótkimi włosami, i sądząc po bębnieniu kciukami o kierownicę, z bardzo krótką cierpliwością.

Ars longa, vita brevis<sup>[18]</sup>, głosił Święty Jakub w swoim Liście. I faktycznie, mało brakowało, a miałbym krótkie życie, kiedy Pepus chwycił mnie za koszulę i uderzył mną o chropowatą ścianę najbliższego budynku, nie wysiadając z samochodu. Po takim początku możecie sobie wyobrazić, bracia, ciąg dalszy, kiedy już wyskoczył z terenówki; podniósł mnie z ziemi za włosy na wysokość swego cuchnącego oddechu. Wałąc na oślep łokciami, wybił mi trzy zęby, zredukował śledzionę i złamał trzy żebra. Ja chciałem zmienić ten monolog w dialog pożyteczny dla obu stron, ale muszę wyznać, że nie mogłem odpowiedzieć, jak należało, ponieważ stanęło mi przed oczami moje długie, owocne i zaskakujące życie, zwłaszcza od momentu, kiedy rzuciłem seminarium, ku ogromnej radości mamy i chyba również taty, i zacząłem zbliżać się do kobiet na bezpieczną odległość, żeby się nie poparzyć, oraz zdecydowałem, że słowa apostoła Roberta Frippa, nosce te ipsum<sup>[19]</sup>, mają wyznaczać od tego momentu mój życiowy cel. Długo trwało, zanim tamten energumen zmęczył się biciem i przywalił mi tak, żeby nie było wątpliwości, że z nim nie ma żartów. Zobaczyłem wtedy ową słynną eksplozję światła i świat mnie opuścił.

Jak domyśliłem się po tygodniowej rekonwalescencji, Pepus załadował mnie do terenówki i wyrzucił daleko od kawiarni, nie wiem, jakim dokładnie sposobem, ale wydaje mi się, że na koniec jeszcze mnie skopał i chyba sturlałem się ze zbocza, bo całe ubranie miałem utyłane w błocie i zielsku. W każdym razie obudziłem się rano na szosie, w Vallvidrera, z sakramenckim bólem głowy, kluciem w klatce piersiowej przy każdym oddechu, z krwią w ustach, niekorzystnymi zmianami w uzębieniu i w ogóle niewiele mi brakowało do Świętego Łazarza. Poczułem się jak Hiob, ale ta rola mi nie odpowiadała, więc postanowiłem wrócić do domu. Dobre trzy godziny trwała ta jakże budująca Wyprawa do Ziemi Obiecanej przez Pustynię, to oświecenie w Drodze do Damaszku, to owocne Objawienie Mistyczne. Animam pro anima, oculum pro oculo, dentem pro dente<sup>[20]</sup>, mówi Nasz Pan Jezus Chrystus i ja

przyswoiłem sobie tę ewangeliczną zasadę, a kiedy moja dusza i moje ciało wróciły do formy, poszedłem ukraść myśliwską strzelbę na dziki, którą tato zawsze wieszał na ścianie, w Cerdanyi, w okolicy, gdzie nigdy nie widziano żadnego dzika, chyba że w marynacie albo duszonego w czekoladzie. Mówię ukraść, bo gdy już tam dotarłem, to przypomniałem sobie, że tato sprzedał ten dom jakieś sześć czy siedem lat temu. Mimo wyrzutów sumienia zdecydowałem się to zrobić, skoro już tu jestem, a ponadto ten gość nie wymienił zamków, a ponadto jego strzelba, autentyczna szwedzka efer pięćdziesiąt, miała celownik optyczny, więc jeżeli ktoś tu ponosił winę, to tylko jego niewytłumaczalne lenistwo. Na dodatek okazało się, że nowy właściciel zostawił pudełko z amunicją dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją trzymał tato. Tak więc załadowałem karabin jego kulami, a sam uzbroiłem się w cierpliwość i szukałem, szukałem bez pośpiechu, powtarzając sobie Bóg nie opuści, powtarzając, że w Ewangelii według Frippa Pan mówi kurde, czy nie widzicie ptaków, jak fruwać i parzą się, niczym się nie przejmując? Skoro Bóg troszczy się i chroni wszystkie swoje stworzenia, jak możesz wątpić, że nie obroni ciebie, Quiquína z Barny, swojego umiłowanego ucznia!? Ogarnięty tą wiarą, szukałem, rozpytywałem i w końcu znalazłem właściwe miejsce, odpowiednie, by zrealizować to, co było do zrobienia, pomiędzy ostatnim piętrem a tarasem idealnie nadającego się do tego celu budynku, w części zwanej Ziemią Niczyją. Łał, trzecia czy czwarta wariacja, imitatio czterogłosowe, co za bogactwo myśli. O Boże, czemu Fischer pozostawał do tej pory nieznanym? Dlaczego Święty Apostoł Rybak ukrywał przed nami istotę jego sztuki?

Przez cały dzień siedzę w tym gołębniku pełnym ptasiego gówna i martwych gołębi, w absurdalnym niezdrowym smrodzie, w dodatku cały czas skulony, a jak zapomnę i się wyprostuję, to tak dostaję po karku, że chyba już wszędzie mam siniaki. Ale ten magiczny, dobrze zakamuflowany otwór strzelniczy Świętego Gołębnika usytuowany jest dokładnie vis-à-vis mojego celu. Taka jest wola Pana i dlatego ochrzciłem Święty Gołębnik imieniem Prawdy, choć niektórzy nazywają go Tu i Teraz. Ma on jeszcze jedną wadę – taki tu gorąc, że można się zesrać. Ale skoro woła Pana było, aby znalezienie tej kryjówki zostało okupione unicestwieniem portiera budynku, bo był namolny i niegrzecznie się mnie czepiał, że niby gdzie się pcham z tą pukawką, to fakt, że jej odrycie wymagało pokonania przeszkód, jeszcze podnosi jej wartość

w oczach Boga, w oczach Ludzkości, w oczach Historii. Prawie nie mogę się ruszać i co i raz łapie mnie skurcz w nodze, ale wychwalam Pana za to, że wskazał mi Miejsce, i za to, że mogłem zapomnieć o niewygodach, najpierw słuchając absent lovers, absent lovers, absent lovers, kasety magnetofonowej pełnej Neala, Jacka, Me, a teraz przy siódmej i ostatniej wariacji Świętego Fischera, która będzie mi towarzyszyć, dopóki Bóg nie powie dość... Kurde, teraz, no nareszcie, ja pierdołę! Bóg w końcu powiedział dość; czekałem osiemnaście minut i dwadzieścia dziewięć sekund: tyle zamieszania i w końcu jest, Jane, ta, która nie umie trzymać języka za zębami, wystawiła nos na zewnątrz, na ulicę, spietrana. Nie wytrzymała. Nie zamierzam dawać jej drugiej szansy. Tak, spokojnie, skarbie. Gotowe. Odznaczyłem ją zasłużonym czerwonym medalem prosto w serce. Biedactwo, mam nadzieję, że się nie udławiła gumą do żucia. Honesta mors turpi vita potior<sup>[21]</sup>. Amen.

Będę się starał wymierzać karę po równo, sprawiedliwie, o barneńscy bracia, zwłaszcza wobec tych pieprzonych Bośniaków, skłotersów, Norwegów, wapniaków i komunistów. Będę trwał na posterunku, dopóki ręce mi nie omdleją, a pot całkiem nie zaleje oczu. A ostatnią kulę zachowam dla siebie, żeby usunąć Tu i Teraz z notesu pamięci. Tak jak powiedziałem chwilę temu, rozpoczynając ten Drugi List: horresco referens.

X

BALLADA



Zorka przestała się uśmiechać, kiedy zabrali jej to, co najbardziej kochała na świecie – jej syna, dwudziestoparoletniego próżniaka, któremu ciągle ślina kapiała z ust i który dotąd nie nauczył się czytać, bo jego oczy i głowa to był jeden wielki bałagan. Ale do wojny się nadawał, więc go zabrali.

Zorka często myślała o swoim Vladzie i gorzko płakała, wyobrażając sobie, jak tysiące kul dziurawią jego pustą głowę albo jak naigrawają się z niego żołnierze bez duszy i wiary, bo nigdy nie przestawał się uśmiechać, odsłaniając dziury po zębach. Zorka nabrała zwyczaju przesiadywania całymi godzinami w jadalni przy stole nakrytym ceratą w kwiatki, na której opierała dłonie, ze wzrokiem utkwionym w jakiejś plamie światła, i zatapiała się we wspomnieniu kretyńskiego śmiechu swojego syna. Czasem jej pamięć przyspieszała i sięgała dzieciństwa Vlady, kiedy jeszcze nic nie wskazywało na ograniczoność jego słów i myśli i mogła wierzyć, że jej syn wyjdzie na ludzi. Pamięć nabierała rozpędu i zapuszczała się jeszcze dalej, do momentu, kiedy zaczynała się oswajać z tym, że została sama, kiedy oszalały koń zabił jej Petara, jej ukochanego Petara Stikovicia, najsilniejszego mężczyznę w całej wsi, a ona, w ciąży z Vladą, patrzyła na świat szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, zmuszona samotnie stawiać czoło życiu. Wspominała też panieńskie czasy, kiedy mówiono o niej ładna dziewczyna z Czarnego Domu, kiedy jej mrukliwi bracia jakoś wiązali koniec z końcem na ich gospodarstwie, a ona niczego więcej od życia nie oczekiwała. Zorka z Czarnego Domu wspominała tamte radości, żeby zagłuszyć, choćby na chwilę, smutny obraz niewesołego śmiechu Vlady, który coraz bardziej ją dręczył. Dzięki temu dni nie ciągnęły się bez końca.

Z czasem, pogrążona we wspomnieniach, przestała rozmawiać z ludźmi, jedzenie ograniczyła do suszonego dorsza popijanego winem, żeby nie musieć gotować, nie musieć nic robić, żeby mieć więcej czasu na rozmyślanie o synu, którego jej odebrali żołnierze bez wiary i bez rodziny. Wychodziła z domu codziennie po południu, ale tylko po to, by powłóczyć nogami i wznosząc tumany kurzu, dotrzeć z wyraźnym trudem do krańca wioski i obserwować drogę, którą odeszli ci, którzy go zabrali; stała tam aż do zmierzchu, kiedy cienie stawały się coraz dłuższe i coraz bledsze, aż ludzie zaczynali

komentować zaniepokojeni po co ta Zorka tam jeszcze stoi, przecież najwyższy czas robić kolację, ale sąsiadki nawet nie próbowały jej zagadnąć, widząc jej nasycone octem spojrzenie.

Czarny Dom zawsze był cichy, tak jakby ściany przeczuwały i zapamiętywały śmierć, która go często odwiedzała w ciągu ostatnich lat. Dlatego sąsiadki nie słyszały popłakiwania Zorki przy stole i niejedna z nich zastanawiała się, co też może robić ta nieszczęsna kobieta odgradzająca się od świata, i w głowach im się nie mieściło, że znosi życiowe porażki niewzruszona jak kamień. A Zorka, siedząc nieruchomo przy stole, patrzyła, jak upływa godzina za godziną, aż pewnego dnia, dokładnie trzy miesiące od chwili, kiedy zabrali jej syna, poczuła potrzebę, żeby się wypłakać, głośno, na całe gardło, żeby wylać z potokami łez krew, która jej całkiem zgorzkniała w ciągu dziewięćdziesięciu dni przeżywania bezsilnej wściekłości. I żeby nie usłyszała jej żadna sąsiadka, wsadziła głowę do pieca i wylała przez pół nocy, aż zemdlała.

Kiedy ludzie się zorientowali, że odgłosy wojny dochodzą z bliska, i kiedy zaczęły spływać w dół rzeki Rzav poranione ciała, Zorka, czerpiąc siłę ze swojej rozpacz, punktualnie w południe podchodziła do Lodowego Mostu i przysiadła na kanciastym kamieniu. Płynęły godziny i płynęli zabici rzeką, która w latach jej dzieciństwa dostarczała karpia i radości. Najpierw przyglądała im się uważnie, czy nie wypatrzy wśród nich syna, a później, spoglądając w ich zgaszone oczy, odgadywała tajemnicze okoliczności śmierci tych topielców, machała im ręką i odprowadzała dobrym słowem: żegnajcie, synkowie, czemu kazali wam umrzeć, skoro ledwo wyrosliście z piaskownicy, a oni milczeli i tylko częścią patrzyła na nią wzrokiem, w którym można było wyczytać lęk. Teraz sąsiedzi, stojąc w drzwiach domu, mówili ta nieszczęsna kobieta, Zorka, już idzie nad rzekę, najwyższy czas siadać do obiadu. I dodawali jeszcze niech Bóg Wszechmogący ma ją w swojej opiece, i zamykali za sobą drzwi, bo od kiedy Rzavem spływały trupy, w wiosce od południa obowiązywała godzina policyjna.

Pewnego dnia Zorka trafiła na oddział, żołnierze wyszli z lasu uzbrojeni po zęby, brudni, w łachmanach, nieogoleni i źli na cały świat. Krzyczeli, że tu nie wolno chodzić, ani teraz, ani nigdy, że oni tu rządzą, a ponieważ patrzyła na nich tępym wzrokiem i nie odezwała się ani słowem, kapral postraszył ją, że nie pozwoli z siebie kpić ani Bogu, ani Allahowi i że ma rozkaz strzelania do

wszystkiego, co się rusza, nieważne, pies czy kot. Nie wysłuchała tych gróźb do końca; odwróciła się na pięcie i ruszyła nad rzekę, bo wybiło południe i spieszyła się na spotkanie z zabitymi. Kapral jeszcze raz za nią krzyknął, a jego ryk odbił się od ścian domów i jak bicz uderzył po uszach spanikowanych sąsiadów. Od uszu Zorki odbił się jak groch od ściany, szła przed siebie noga za nogą, wzbijając obłoki kurzu. Kapral zaklął w duchu i wypluł rozkaz: ognia! a żołnierze bez duszy i bez wiary wahali się, patrząc, jak kobieta idzie przed siebie, i niejeden pomyślał sobie to nie dzieje się naprawdę, no nie, przecież to stara wariatka. Kapral powtórzył rozkaz głosem ochrypłym z wściekłości. W tym momencie jeden z żołnierzy przyłożył do policzka karabin, wspaniały FR-50, którym przed wojną jakiś szczęściarz polował na dziki, celownikiem optycznym namierzył kark kobiety i wystrzelił. Zorka z Czarnego Domu upadła jak worek szmat. Żołnierz podszedł bliżej, zadowolony z celnego strzału, spojrzął na nią zachwycony, podniósł głowę i zaczął krzyczeć:

– Patrzcie, trafiłem, a ona jeszcze się rusza!

Zorka, ranna, przewróciła się twarzą do nieba, żeby ułatwić duszy ucieczkę, i ciężko oddychała. Nie czuła bólu, bo wyczerpała wszystkie łyżki już dawno temu. Wtedy spojrziała żołnierzowi w twarz, otworzyła szeroko oczy z przerażenia i wyciągnęła do niego rękę. Słowa, które wtedy wypowiedziała, zrozumiały tylko kamienie, bo towarzyszył im pierwszy łyk gęstej krwi, poczerńiałej od tak wielkiego cierpienia. Pomyślała biedny chłopiec, nie troszczą się o niego, wypadł mu kolejny ząb. Żołnierza bardzo rozbawił ten strumień ciemnej krwi i nie przestając się śmiać, przyłożył lufę karabinu do czoła Zorki, która umierała w konwulsjach, zrozpaczona, ale nie ze strachu, tylko z żalu po bezowocnej próbie wypowiedzenia paru słów, które utonęły w dławiącej ją krwi. Wystrzał rozstrzaskał jej czaszkę i żołnierz ryknął triumfalnie, uszczęśliwiony:

– Teraz już się nie rusza! Już nie!

Rękawem koszuli otarł ślinę płynącą z ust i skierował się, bez rodziny i bez duszy, w stronę oddziału, z kretyńskim uśmiechem na szeroko otwartych ustach.

XI

PAC!

## I (2)

W windzie stało dziesięć osób, niektóre, podobnie jak on, z kwiatami. Na drugim piętrze dołączył do nich ktoś jakby ochroniarz; zanim wszedł, puścił oko do ślicznej pielęgniarce. Trzy osoby z bukietami wysiadły na czwartym piętrze. Tak jakby znał klinikę na pamięć, ruszył korytarzem prosto przed siebie, do sali 439. Z pokoju obok wyszła kobieta w czepku, niosąca tacę pełną jakichś trudnych do zidentyfikowania niewielkich przedmiotów. Zatrzymał się na parę sekund przed drzwiami: otarł kroplę potu znad ust, która zawsze pojawiała się, kiedy się denerwował, wziął głęboki wdech i dyskretnie zapukał trzy razy. Proszę wejść, dotarł do niego przytłumiony głos, wyraźnie zaintrygowany. Przyszło mu do głowy, że w tym proszę wejść była odrobina nadziei. Wkroczył z powagą, z pękiem róż w wyciągniętej ręce, niczym z biletem wizytowym. Od razu zobaczył ją wprost przed sobą; siedziała na sofie w odwiecznej pozie wszystkich położnic: zmęczona i szczęśliwa. Łatwo było się domyślić, że właśnie skończyła karmić piersią dziecko, które teraz leżało w kołysce. Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę kobiety, która nie podniosła się z sofy; spojrzała mu prosto w oczy i natychmiast zwróciła uwagę na błyszczącą kroplę potu na górnej wardze mężczyzny. Jej głos zabrzmiał niepewnie:

– Kim pan jest?

Mężczyzna uśmiechnął się grzecznie i pochylił nad nią, żeby wręczyć bukiet, a ona odruchowo sięgnęła po różę, jakby chciała je powąchać. Pewnie dlatego nie zauważyła czarnego oka tłumika krótkiej broni ukrytego wśród kwiatów. Kula weszła przez otwarte usta; słyszać było tylko ciche, niemal pieszczotliwe „pac!”. Kobieta opadła na sofę, jakby jej zmęczenie, charakterystyczne dla wszystkich położnic, było nie tylko odwieczne, ale i wieczne. Nawet nie jęknęła. Dwójka delikatnie położył bukiet na jej kolanach. Wtedy zwrócił uwagę na kołyskę, pokręcił głową; ręką, w której trzymał pistolet, otarł pot z wargi, i przez chwilę przyglądał się noworodkowi, który próbował ssać kciuk.

Przyłożył mu lufę do karku, delikatnie, niemal pieszczotliwie. „Pac!”, wystrzelił pistolet.

Dopóki nie dotarł na lotnisko Le Bourget i dopóki nie wypalił pół paczki gitanes'ów, serce cały czas waliło mu młotem. A to był dopiero początek.

## II (1)

Jedynka odbył podróż z Paryża, wpatrując się przed siebie, tak jakby bardzo go interesował składany stolik przytwierdzony do fotela przed nim. Ani razu nie wyjrzał przez okno. Nie chciał obiadu ani napojów; odmówił, nie patrząc stewardesie w oczy, jakby obawiał się, że się zdekoncentruje, jakby chciał zrobić wszystko, co w jego mocy, by się znaleźć w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, a na whisky i papierosa pozwoli sobie po robocie. Tylko dwa razy rzucił okiem na pszeniczny kark mężczyzny, którego polecono mu wyeliminować. To znaczy zabić. Nazywał się Zero i ze względu na kolor włosów był łatwym obiektem do śledzenia. Za drugim razem, kiedy spojrzał na mężczyznę po przeciwnej stronie, kilka rzędów przed nim, zwrócił uwagę, że Zero wcale nie ukrywa walizeczki przymocowanej do nadgarstka czymś w rodzaju bardzo solidnej bransolety. Czytał „France Soir” i nie poczuł, że spojrzenie Jedyнки wbija mu się w kark.

Pięć rzędów za nim Dwójka zauważył, że Jedynka wpatruje się w nie wiadomo co przed sobą. Zdziwił się, ale według rozkazów Trójki jego zadanie polegało na śledzeniu Jedyнки i czekaniu; miał okazję go załatwić już w toalecie na lotnisku, kiedy jego serce odzyskało równy rytm. Wzruszył ramionami; był posłuszny, rozkaz nakazywał mu sprzątnąć Jedynkę w Barcelonie. Najłatwiej się podporządkować, nie zadawać pytań i nie spieszyć się z wyciąganiem broni. Natalie będzie zadowolona; kiedy tylko skończy robotę, wróci do Paryża i zaprosi ją na prawdziwą ucztę. Najbardziej wkurzające są te godziny w samolocie, w którym nie ma strefy dla palących. Uważał to za chamstwo, ale nikt go nie pytał o zdanie. Tak naprawdę zdążył już się przystosować do tego trybu pracy, zawsze jako Dwójka, za Jedynką, którego miał dopaść. Raz to była Jedynka płci żeńskiej; nawet poczuł żal z tego powodu. No, podobnie jak teraz, co za głupia sprawa, w tej klinice, fakt. Ale praca to praca. Najprawdopodobniej

chodziło mu o to, że... Co takiego?

- Jeszcze jedną kawę, coś zimnego do picia albo...
- Poproszę whisky.

Wpadł w panikę, kiedy na kilka sekund stewardesa zasłoniła mu Jedynekę. Ale uśmiechnął się, próbując się zrelaksować: dokąd miałby uciec? Ponadto według skomplikowanych reguł gry, ustanowionych przez Trójkę, Jedyńka nie miał bladego pojęcia, kto jest Dwójką. Więcej: nawet nie wiedział, że ktoś taki jak Dwójką istnieje, tak jak my wszyscy zazwyczaj nie mamy pojęcia o śmierci, która gnieździ się jak larwa w naszym ciele.

– Dwójką jest śmiercią Jedyńki – powiedział nieostroźnie na głos.

– Słucham? – Stewardesa podawała mu szklaneczkę whisky.

– Nie, nic takiego... Zamyśliłem się... – I gestem dał do zrozumienia, żeby go zostawiła w spokoju. Stewardesa poszła dalej i Dwójką stwierdził, że Jedyńka nadal patrzy przed siebie, jakby obserwował jakiegoś pasażera.

Zero, który nie wiedział, że tak się nazywa, roztargnionym gestem odprawił stewardesę, gdy ta proponowała mu kawę, coś zimnego do picia albo... Mimo że manela łącząca jego rękę z walizeczką była niewygodna, nie zmienił nic w rutynie ustalonej w czasie poprzednich osiemdziesięciu dwóch podróży. Przedstawiał się jako perfumiarz, który przewoził formuły i próbki z jednej filii do drugiej, i tym, jeśli zachodziła potrzeba, mógł wyjaśnić nietypowy sposób przewożenia walizeczki.

W rzeczywistości zamknął w niej tym razem, oprócz paru nieistotnych papierów, zeszyt, który ukradł Trójce, z pełną dokumentacją wszystkich operacji finansowych w ciągu ostatnich pięciu lat, kiedy sprawował funkcję egzekutora długów firmy, który to zeszyt, o czym jeszcze Zero nie wiedział, był wyrokiem śmierci na niego i całą jego rodzinę. Bo już pięć pierwszych stron wystarczyłoby, żeby pogrążyć Trójkę do końca życia.

Jasne, że Zero się bał. Nawet bardzo się bał. Bo miał godziny odliczone: pobrać pieniądze, przekazać zeszyt barcelońskiej policji (z opóźnionym doręczeniem, żeby zdążyć uciec), zadzwonić do kliniki, gdzie ona ma zrealizować swoją część ustalonego planu, i spotkać się we dwoje po ośmiogodzinnym locie w Rio. We troje. Ponieważ trzecim elementem spisku jest ten, który ich skłonił, jego i żonę, do podjęcia decyzji, że Zero powinien

zmienić życie. Oczywiście żona też nie wiedziała, że Zero nazywa się Zero. Ani że ona nazywa się Zero-Zero, a ich syn – małe Zero. Nigdy nie znamy wyroków boskich. Zero bardzo się bał, ale wszystko musiało przebiec tak, jak to sobie zaplanował co do najmniejszego szczegółu. Nie skorzystał z żadnego z napojów proponowanych przez stewardesę, bo niepewna sytuacja zaległa mu kamieniem w żołądku.

### III (0)

W hotelowej restauracji Dwójka poczuł sympatię do pewnego samotnego stolika przy oknie. Zdziwił się, że Jedyńka, który nie miał się zatrzymać w tym hotelu, jednak jadł tu kolację. To jego problem, pomyślał. On tylko ma się stosować do instrukcji. Choć nie było to przyjemne, nastawił się na spędzenie wieczoru w tej samej restauracji co jego ofiara i zapalił papierosa, żeby się ukryć w obłoku dymu. Może po to, by odsunąć od siebie przykre myśli, popełnił nieostrożność i poprosił maître'a o butelkę rocznika 1864, a do tego filet saignant. Maître zrobił wielkie oczy, bo już od dwóch lat nikt nie zamawiał tego wina. Z pewnością dlatego, że Jedyńka zwrócił uwagę na butelkę, którą dostał tamten gość przy oknie, poprosił o to samo, i maître, cały w skowronkach, powiedział szefowi kelnerów wiesz, w życiu czasem zdarzają się dziwne rzeczy. Jasne, że się zdarzają w życiu dziwne rzeczy. Zwłaszcza gdy Trójka je zaplanował co do milimetra.

Kiedy Jedyńka degustował wino, wspaniałe, świetnie zachowane, z patyną czasu, zobaczył coś, co mu popsło humor: Zero wchodził do restauracji w towarzystwie jakiejś kobiety. Tego nie było w programie. Zero miał zjeść kolację w hotelu i od razu iść spać, ponieważ umówił się z kontaktem na przekazanie pieniędzy wczesnym rankiem. A teraz ten ścichapek go zaskoczył... Och, a sądząc po tym, jak się do siebie odnosili i jak rozmawiali, dało się wywnioskować, że to nie było ich pierwsze spotkanie. A więc Zero miał kochankę w Barcelonie.

A może to jest... Jedyńka uznał, że ta kobieta w Paryżu była żoną Zera. Na pewno widywał się z kochanką za każdym razem, kiedy podróżował w celu nawiązania kontaktów. Zwrócił uwagę, że nawet teraz nie rozstawał się



z walizeczką.

– Co sądzisz o tym stoliku? – Zero wskazał jeden wolną ręką.

– Znakomity. – Kobieta podeszła, pozdrowiła grzecznie mężczyznę, który właśnie podawał imponujących rozmiarów befsztyk do sąsiedniego stolika, a następnie zaczekała, aż Zero podsunie jej krzesło. Jedyńka, który obserwował tę scenę bardzo uważnie, doszedł do wniosku, że ta laska była damą z półświatka. Para usiadła, maître z kartą dań już czekał i dopiero kiedy zagłębili się w jej lekturze, wskazała manelę i walizeczkę, jego wyrok śmierci, i zapytała:

– Co to takiego? Narzeczeńska bransoletka?

– Nie. – Rozejrzał się wokół, prześlizgnął wzrokiem po Jedyńce i Dwójce i dał znak maître'owi, żeby do nich podszedł, zwracając się jednocześnie do kobiety: – Mary, zamówimy wino na początek?

– Katty.

Kiedy przyszedł maître, Zero się uśmiechnął.

– Poprosimy o czerwone wino. Najlepsze, jakie macie.

– Na przykład rocznik 1864?

Maître, w momencie, kiedy Zero nie patrzył w jego stronę, puścił oko do kobiety i oddalił się, kręcąc głową: nie wierzył w swoje szczęście. Kobieta nie odpuściła.

– Czemu ją tak nosisz przy nadgarstku?

– Sekretne formuły.

– Ciekawe. Jesteś szpiegiem?

– Nie, wręcz przeciwnie, nie chcę, żeby mnie śledzono. – I żeby wreszcie zamknąć temat: – Perfumy.

– Mamy z tym iść do łóżka?

Zero roześmiał się. Spodobał mu się dowcip. Po raz pierwszy działał, nie popadając w rutynę. Zazwyczaj wyciągał klucz, dopiero gdy robota była skończona, ale ponieważ tym razem miał uciekać co sił w nogach, postanowił zmienić kolejność. Na kolację zamówili znakomite wino, a do jedzenia cokolwiek.

## IV (2)

W porze, kiedy smutne psy wyprowadzają na spacer swoich właścicieli i gdy już się upewnił, że Zero zamknął się w pokoju, żeby uprawiać niewygodny ménage a trois z kobietą i walizką, Jedyńka wrócił do swojego hotelu, a Dwójka oparł się pokusie śledzenia go i ruszył do własnego pokoju. W korytarzu dziesiątego piętra pokojówka z wózkiem pełnym drobnych gadżetów, dzięki którym pobyt w naszym hotelu to czysta przyjemność, przechodząc obok, posłała mu profesjonalny uśmiech, odsłaniając przy tym anachroniczny złoty ząb, i poszła swoją drogą. Dwójka przez pół godziny stał beczynn timer przy oknie i przyglądał się światłom nocy na Rambla de Catalunya. Zdobył się na refleksję, że życie płatnego mordercy wcale nie jest takie złe – zarobki świetne, a robotę do wykonania miał tylko parę razy w roku. I zawsze był kryty, zwłaszcza kiedy pracował dla tajemniczego Trójki, który wszystko dopinał na ostatni guzik, jeszcze zanim przystąpił do działania. Nie rozpoznał Jedyńki w tym facecie z wąsem, który szedł, powłócząc nogami, i właśnie minął kino. Był za daleko. Ani Jedyńka, który teraz zmierzał do swojego hotelu, nie podniósł głowy, żeby stwierdzić, że jest w zasięgu wzroku Dwójki, bo nie miał pojęcia o jego istnieniu, tak jak nie wiedział, że Trójka to Trójka, bo gdyby się dowiedział, mógłby podejrzewać obecność Dwójki, którego sylwetka rysowała się na tle okna i który patrzył w jego kierunku, patrzył i nie widział. Z kolei Dwójka nie był świadomy, że przebywający w tym samym hotelu Zero, który figlował w łóżku z kobietą i walizką, ignorując fakt, że został wdowcem, również osieroconym przez syna, był tylko ofiarą jego ofiary, a więc tym samym również jego ofiarą, w myśl zasady przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi.

## V (1)

Zainkasował forszę w umówionym miejscu, na tarasie widokowym góry Tibidabo. Jedyńka przyglądał się, jak Zero, ciągle przykuty do swojej walizeczki, otwiera ją sekretną kombinacją, wkłada kopertę, którą mu wręczył nieznajomy, i udaje się do kabiny telefonicznej, dyskretnie osłoniętej zaroślami, nie zwracając uwagi na boski widok na Barcelonę i jej mrówczą aktywność

o wczesnym poranku. Z wykonaniem wyroku Jedyńka musiał poczekać, aż Zero zadzwoni, co nie było przewidziane w jego planach.

– Nie, proszę, żeby mnie pani połączyła z pokojem 439! – krzyczał Zero do słuchawki, wkurzony na nierozgarniętą telefonistkę kliniki.

– A kto mówi?

– Słucham?

– Pytam, kto mówi.

Na moment się zawahał, po czym podał nazwisko i dodał, że jest mężem matki swojego syna. Zdziwiło go, że telefonistka zasłania słuchawkę i mówi do kogoś parę niewyraźnych słów. A następnie, tak jakby stosowała się do instrukcji, zapytała:

– Skąd pan dzwoni?

– A co to panią obchodzi?

Wahanie, jakie nastąpiło w tym momencie, było niepokojące. Telefonistka pokerowym tonem odpowiedziała:

– Proszę o chwilę cierpliwości, łączę pana z dyrektorem.

Czekał ze słuchawką przy uchu, bo to niemożliwe, żeby go namierzyli z Paryża. Ale instynkt mu podpowiadał, że coś poszło nie tak. Jednak instynkt mu nie podpowiedział, że tuż za nim Jedyńka otwiera drzwi kabiny telefonicznej, przystawia mu tłumik do ucha i „pac!” domyka ciepły krąg rodzinny i odbiera mu status osoby, nie brudząc sobie rąk krwią, bo wszak był profesjonalistą. Z wiszącej słuchawki dochodził głos monsieur le directeur, *Allô, allô, monsieur?* który nawet nie podejrzewał, że monsieur był już eksmonsieur. Jedyńka poczekał, aż ciało osunie się na ziemię, użył sekretnej kombinacji otwierającej zamek i w moment udowodnił, że wcale nie była taka sekretna. W teczce znalazł kopertę z dziewięciuset pięćdziesięcioma tysiącami franków i drugą, zapieczętowaną, przygotowaną do wysłania do paryskiej prefektury. Włożył obie do kieszeni i starannie zamknął walizeczkę. Od chwili rozpoczęcia akcji upłynęło zaledwie dwadzieścia osiem sekund i monsieur le directeur ciągle jeszcze powtarzał swoje *allô, allô* do ucha trupa. Począwszy od tej chwili, Zero już był zerem, a Jedyńka odszedł, nie oglądając się za siebie, zgodnie z instrukcją, do nędznego pensjonatu, który mu wyznaczono, by tam czekał, aż ktoś zapuka do drzwi, wejdzie, zabije go i zabierze obie koperty. Faktycznie,

w tym momencie do przegródki z kluczem pokoju Dwójki ktoś włożył kartkę z adresem pensjonatu i numerem pokoju Jedyńki.

## VI (2)

Ktoś dwukrotnie zapukał delikatnie do drzwi, na co Jedyńka odruchowo odpowiedział *entrez!* po francusku. Bardzo był ciekaw, kim będzie jego kontakt, a przede wszystkim nastawiał się na odbiór solidnej pensji we frankach. Wstał z łóżka i wtedy się zorientował, że ktokolwiek stał za drzwiami, nie mógł wejść, bo zamknął je na klucz od środka. Podszedł, żeby otworzyć, i zdążył przyjrzeć się Dwójce, o którym nie wiedział, że jest Dwójką, a który się do niego uśmiechnął i gestem poprosił, żeby go wpuścił do środka.

– Jestem Charles Baudelaire – przedstawił się.

Jedyńka cofnął się i Dwójka wszedł, zamknął drzwi za sobą i czekał. Jedyńka zrozumiał, ruszył do swojej walizki i wyciągnął z niej dwie koperty.

– Masz papierosy? – zapytał.

Dwójka natychmiast zareagował, tak, naturalnie, wyciągnął prawie pustą paczkę i zaproponował swojej ofierze. Nawet podał ognia. Podczas gdy Jedyńka z przyjemnością po raz ostatni w życiu zaciągał się dymem, Dwójka rozerwał obie koperty, co się nie spodobało Jedyńce, i sprawdził ich zawartość. Z jego miny wynikało, że tak, w porządku; włożył rękę do kieszeni, wyciągnął z niej pistolet i zrobił „pac!” z jeszcze większą precyzją niż poprzednio Jedyńka. Przeklął papieros.

## VII (3)

Powoli kończył misję. Kiedy wysyłał z poczty hotelowej nowy pakunek z pieniędzmi i sekretami na nowy adres, też w Paryżu, przyszła mu ochota na zamówienie dyskretnej usługi u najstarszego z recepcjonistów. Wyszeptał mu na ucho, w czym rzecz, a tamten twierdząco kiwnął głową, co znaczyło: załatwione. Przyjdzie do pańskiego pokoju. Dwójka zadowolony pojechał na górę – już nie mógł się doczekać – i wyciągnął się na łóżku, podobnie jak

Jedynka, kiedy czekał, aż go ktoś zabije. Żeby skrócić czas, sięgnął do kieszonki koszuli. Ostatni papieros. Zastanawiał się, czy natychmiast biec po następne, czy... Nie. Zapalił i zaciągnął się z przyjemnością tym większą, że nie wiedział, kiedy będzie mógł pójść po nową paczkę. Usłyszał puk puk i wystawiając los na próbę, powiedział *entrez!* bo drzwi nie były zamknięte na klucz. Och, co za rozczarowanie. Ach, nie. To tylko gospodyni piętra zademonstrowała złoty ząb i wskazała lodówkę.

– Uzupełnienie napojów. Myślałam, że nikogo nie ma...

– *Entrez, entrez* – powtórzył zrezygnowany. Wskazał jej buteleczki po whisky i wyciągnął trzy palce, mimo że był Dwójką.

Pokojówka nie protestowała, dziwna sprawa, tylko zostawiła trzy buteleczki na stole, napełniła lodówkę innymi napojami, zademonstrowała przy tym solidne uda, i szybko opuściła pokój, zostawiając Dwójce na pożegnanie złoty uśmiech. Kilka sekund później znów ktoś zapukał do drzwi.

To była wysoka kobieta, czarnowłosa i... Miał wrażenie, że ją zna, ale skąd? Ach tak.

– Wejdz, wejdz.

Już sobie przypomniał. Widział ją poprzedniego wieczoru w restauracji. Czyli ten hotel był jej podstawowym miejscem pracy. Faktycznie, bardzo ładna.

Wstał z łóżka, zgasił papierosa i pomógł jej zdjąć skąpy zakiecik. Nie pytając, czego się napije, przygotował dla nich obojga whisky z lodem i już ją sobie wyobrażał nagą. Uśmiechnął się zadowolony.

– Jak masz na imię?

– Katty.

– Proszę, to dla ciebie.

Posłusznie wzięła szklanę. Podniosła do ust i uśmiechnęła się. Widać było, że chce od razu przejść do rzeczy. Natomiast jemu tak bardzo się nie spieszyło. Dlatego wskazał na jej torebkę i zapytał:

– Słuchaj, nie masz przypadkiem papierosów?

– Nie palę.

– Dobrze, nieważne, nieważne.

Dwójka był mężczyzną pewnym siebie, kiedy trzymał w ręku pistolet. Ale we

wszystkich innych sytuacjach okazywał się raczej niezręczny. Tak czy siak, dobrze się zabawił – o jej wrażenia wolał nie pytać – i kiedy już skończyli, przez chwilę leżeli w milczeniu obok siebie, nadzy, wspominając i myśląc o niebieskich migdałach. W pewnym momencie Dwójka poczuł, że dłużej nie wytrzyma, i powiedział zaczekaj, zaraz wracam.

– Dokąd się teraz wybierasz?

– Po papierosy. To tylko chwila. Widziałem dystrybutor tu niedaleko, na...

I już był za drzwiami: boso, w spodniach od piżamy, tiszercie i garścią monet. Katty, leżąc na łóżku, skrzywiła się z pogardą na wszystkich nałogowych palaczy. Dwójka nie mógł tego zobaczyć, bo był już na drugim końcu korytarza, walcząc z monetami, których nominałów nie rozpoznawał. Dobrze, dziś będą amerykańskie, bo nic innego tu nie mają... Och, co do grosza. Niewiarygodne, ale bez liczenia udało mu się zabrać dokładnie tyle monet, ile było trzeba. Kiedy wrzucił ostatni pieniążek do dystrybutora, lecz zanim nacisnął klawisz uwalniający paczkę papierosów, coś nim rzuciło z całej siły o ścianę. Po paru sekundach usłyszał ogłuszający huk. Spojrzał za siebie przerażony, ale zobaczył tylko chmurę dymu i już wiedział, co się stało. Biegiem rzucił się przed siebie i nim się zorientował, co robi, był już na ulicy obcego miasta, w spodniach od piżamy, boso i bez papierosów. Wybuch, który zniszczył jego przyszłość, lodówkę, pokój i Katty, nie brzmiał jak „pac”, tylko „bum”.

XII

ŚLAD

*If man is five,  
then the devil is six,  
and if the devil is six,  
then God is seven.  
This monkey is gone to heaven.*

BLACK FRANCIS

Nigdy smutek nie był aż tak dołujący jak w tym jakże ważnym w moim życiu momencie, kiedy pociąg metra z hałasem zniknął w tunelu, a pasażerowie pospieszyli do wyjścia niczym pracowite mrówki. Zostałem sam na stacji Majorstuen, ani żywej duszy po obu stronach peronu, i wtedy usłyszałem, że ktoś gwizdze. Nie od razu rozpoznałem, ale już po chwili nie miałem wątpliwości, że to jeden z tematów *Finlandii* Sibeliusa. Sibelius w metrze? I to gwizdany? Zajrzałem do pierwszego korytarza, tego od mrówek, i nic, pusto. Tylko białe płytki ceramiczne, jak w toalecie, i całkiem teraz zbędne oświetlenie. Skąd dochodzi ta melodia? Zrobiłem kilka kroków w drugą stronę, zapominając, że za dziesięć minut czeka mnie rozmowa, od której zależy ostateczne uporządkowanie mojego życia, o ile to w ogóle jest możliwe. Trzy lata temu uciekłem z domu, ponieważ sobie uświadomiłem, że jeżeli czegoś natychmiast nie zrobię, za tydzień będę ożeniony z kobietą, która ma mnie gdzieś. Wsiadłem do pociągu, wstrzymując oddech, nie oglądając się za siebie, nie myśląc o nikim, nawet o mamie, i kiedy znów zaczerpnąłem powietrza, już byłem w Kopenhadze, nie mogąc się nadziwić maniakalnej organizacji tubylców i przekonując się na własnej skórze, jak pierońsko drogie jest tam życie. Pewnie dlatego wsiadłem szybko na prom do Norwegii. Sam nie wiem. Chodziło o to, bracia, by znaleźć się poza zasięgiem skarg i pretensji mojej rodziny i Soni. Norwegia. Pierwszą konfrontację z nowym krajem przeżyłem w Oslo. Wyszedłem na ląd, znalazłem bardzo drogi i bardzo dziadowski pensjonat w centrum i tam utknąłem na dobre. Ciężko radzić sobie w Oslo, nie znając ani norweskiego, ani duńskiego, ani szwedzkiego, ani angielskiego.



Masz ochotę schować się jak ślimak w skorupie. Czyli musiałem sobie radzić uzbrojony w czarujący uśmiech oraz maniery i wdzięk południowca, co najwyraźniej bardzo tu lubią wszystkie babki. I niektórzy mężczyźni też. Przez dwa miesiące zmywałem naczynia w Pizza Hut, a przez następne trzy byłem pomocnikiem kucharza w takiej niby włoskiej restauracji. Nie robiłem tego dla pieniędzy. Chodziło o skorupę, żeby się w niej nie zamykać. Po tych doświadczeniach już się dogadywałem w koszmarnym norweskim, dzięki czemu jeszcze bardziej zapunktowałem w oczach aborygenów.

Bracia, Norwegowie są totalnie popieprzeni. Nawet sobie nie wyobrażacie ich rozbijającą naiwności. Oni po prostu sądzą innych według siebie. Im się wydaje, że nikt nie będzie się wtrącał do cudzego życia i że nikt nie będzie działał na szkodę sąsiada. Nie przewidzieli mojej osoby. Ja, nie powiem, tak w ogóle to w zasadzie jestem uczciwy, ale jak widzę trzydzieści torebek na ziemi w holu Munch-museet, pełnych portfeli, dokumentów i kluczy, które aż się proszą o zmianę właściciela, najpierw myślę, ręce przy sobie, Quiquín. I trzymam ręce przy sobie. Ale kurde, sami powiedzcie, od tego trzymania przy sobie ręce w końcu zaczynają swędzieć i pewnego dnia wyciągnąłem je po cudze i przekonałem się, że okradanie ludzi w Norwegii jest megałatwe. Nie robiłem tego z potrzeby: powiedzmy, że raczej dla sztuki, żeby lepiej zrozumieć Norwegów i Norweżki, którym mózg zamarza od tego przebywania na północnych rubieżach Europy.

Bracia, a pamiętacie koncert, który ten ulizany Pere Bros, niedługo przedtem, zanim powiedział dość, dał w Universitetets Aula? Zaproponował nam *Wiosenną* (przesłodzoną), *Kreutzerowską* (przyzwoitą) i Césara Francka (doskonałą), z tym nierozgarniętym Gidonem Kremerem na skrzypcach, a ja miałem prawdziwe żniwo. Nie przesadzam, bracia, całkiem dosłownie. Bo Norwegowie są Norwegami do tego stopnia, że szatnia w Universitetets Aula to tylko parę wieszaków na korytarzu. Nie przesłyszeliście się, bracia. To niech mają pretensję do siebie, bo kiedy Kremer i Bros robili, co mogli przy andante opus 24, pomyślałem sobie, Quiquín, idź się odlać, olej to nudziarstwo. Idę i widzę całe bogactwo urodzaju w postaci płaszczy, które się do mnie uśmiechają Quiquín, do dzieła, na co czekasz. Wróciłem do sali w połowie *Kreutzerowskiej* bardzo zadowolony, bo w ułatwianiu roboty kieszonkowcom Norwegowie są prawdziwymi profesjonalistami.

Ani jednej nocy, bracia, nie zatęskniłem za domem. Owszem, zgodziłem się, żeby mama w tajemnicy przed wszystkimi przysyłała mi co miesiąc bardzo sensowne kieszonkowe. Można to usprawiedliwić matczyną miłością. Nawet tato nie wiedział, że jestem w Oslo. Po prostu raz zadzwoniłem do domu, kiedy byłem pewny, że mama będzie sama, i opowiedziałem jej o sobie to, co się nadawało do opowiedzenia, i poprosiłem, żeby mi co miesiąc przysyłała parę groszy, jak wtedy, kiedy byłem w Barnie. Powiedziałem, że muszę chodzić na koncerty i żyć, no wiecie, na poziomie, jak człowiek wykształcony, takie tam trele-morele. Chyba trochę przesadziłem, bo usłyszałem, że mama płacze, kiedy mnie zapytała, dlaczego zostawiłem Sonię, przecież państwo Quadras to tacy porządni ludzie. Co jej miałem powiedzieć? Miałem jej powiedzieć mamo, nie chcę się żenić z laską, która się ze mnie śmieje, bo mam małego? Miałem jej powiedzieć mamo, nie chcę żyć z taką świnią, która mówi, że nie podobają się jej Stonesi ani Jethro Tull, ani Monteverdi, ani w ogóle muzyka? Lepiej było popłakać razem z mamą. Dobrze, Quiquín, dobrze to rozegrałeś, bo od tamtej udanej rozmowy mama wspiera mnie co miesiąc. W efekcie pozwalam sobie od czasu do czasu o niej myśleć. O mamie, tylko o mamie. Bo jeśli osaczają mnie wspomnienia o Soni, o tacie i reszcie rodziny, bez mojej zgody, i zatruwają mi pamięć, kieruję wzrok na północ, tak jakbym groził losowi, że będę spieprzał jeszcze dalej, do Laponii albo na biegun północny, żeby zamrozić rodzinne wspominki raz na zawsze. Aha, w końcu korytarza jest coś jakby zakręt, to może tam... Nie, w końcu korytarza, za zakrętem pod kątem prostym, te same białe sterylne płytki i nikogo; tylko Brad Pitt przygląda mi się niezadowolony z reklamy i nie ma zamiaru zdradzić sekretu tajemniczej muzyki; ale Sibeliusa nadal słyszałem, ciągle w tej samej odległości, w podziemiach metra. Obok Brada Pitta fotografia plaży, która spokojnie mogłaby być plażą w Salou, wmawiała mieszkańcom Oslo, że Izrael to idealne miejsce na spędzenie urlopu, z osobistym bezpieczeństwem zagwarantowanym dzięki niezawodnym izraelskim służbom. Przyjrzałem się fotce dokładnie, bo naprawdę przypominała Salou. Dzięki temu bardzo łatwo o oszustwo. Jak się człowiek dobrze przyjrzy, to nawet da się dostrzec domek Miqui Sagarry! Wyobrażasz sobie, że Salou robi tu za Izrael? Według tamtych oszustów Salou to Dor, uroczy izraelski ośrodek turystyczny, gdzie są łodzie, sieci, szczęśliwi rybacy, rozgwiadzy i kasyno. Przepiękna panorama, plaża i port, gdzie jeszcze zachowały się pejzaż i typowe obyczaje rybaków oraz ich gastronomia. Odkryj

uroki Izraela. Przekonasz się, jaki to cudowny kraj. Zawróciłem zgorszony ewidentnym oszustwem i znalazłem się na tym samym peronie, na którym przed chwilą wysiadłem. *Finlandia* nadal unosiła się nad osamotnionymi płytkami, jakby mnie na złość. Aż do momentu, kiedy przyjazd następnego pociągu unieważnił wszystkie melodie świata, a otwarte drzwi wyrzygały setki spieszących się gdzieś obywateli, których Sibelius najprawdopodobniej w ogóle nie obchodził. Nie żebym akurat był szczególnie zainteresowany Sibeliusem; po prostu moja szczególna wrażliwość na muzykę doprowadza mnie do rozpacz, kurde: słyszę jakąkolwiek melodię i już nie mogę się od niej oderwać. Zapamiętuję ją i zostaje mi na zawsze w pamięci. Za dużo nagromadziło się we mnie tych melodii, więc staram się trzymać je na wysokości żołądka. Ale kiedy uprą się, by uderzyć mi do głowy i tam śpiewać, nie mogę nic na to poradzić, chyba tylko zwariować. Tak więc poczekałem, aż stacja metra znów opustoszeje, ale ku mojej rozpacz melodia już nie wróciła. Wydawało mi się, chociaż głowy bym nie dał, wydawało mi się, że ktoś, w jakimś nieosiągalnym zakątku tego labiryntu, niczym upiór w operze, krótko się zaśmiał. Ta wizja jak z horroru przeniosła mnie w inny wymiar, więc nie wpadłem w panikę, kiedy spojrzałem na zegarek: bracia, ja tu, trzydzieści metrów pod ziemią, przejmuję się Sibeliusem, a tymczasem jestem już skandalicznie spóźniony na spotkanie z doktorem Werenskioldem. Częściowo zmieszany, częściowo zawstydzony, ale tym śmiechem, nie moim spóźnieniem, skierowałem się do wyjścia i dalej, w kierunku budynku rządowego, gdzie czekało na mnie rozwiązanie wszystkich moich problemów materialnych i duchowych. Przysięgam, bracia, że najchętniej bym przetrącił kark temu, który się tak śmiał.

\*\*\*

Na ulicy, chociaż sierpień, było zimno jak w lodowni. Poczułem się mikrusem, oglądając z zewnątrz przytłaczający ogromem budynek ministerstwa. Wywarł na mnie takie wrażenie jak w innych, magicznych epokach katedry musiały wywierać na wiernych. Podobne do paraliżu, który poczułem w Nasjinalgalleriet (cztery wypatroszone torebki, trzysta osiemdziesiąt koron, śliczne tamagotchi, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem, mimo jego bezczelności, i trzy prawa jazdy szybko zamienione na korony), dokąd udałem się oglądać malarstwo. Najbardziej podobał mi się obraz nieobecny w sali

numer trzydzieści cztery i zawsze będę pamiętał, że to była trzydziesta czwarta, bo przez okno wychodzące na ulicę dotarła do moich uszu, jakby mi się nieoczekiwanie odbiło czymś gorzkim, zatruta sarabanda z drugiej partity Bacha, wykonywana na skrzypcach, które miały nienastrojoną strunę re. Już chciałem besztać kobietę pilnującą sal trzydzieści–trzydzieści sześć za to, że pozwala, by tak agresywne dźwięki przenikały do świątyni sztuki. Powstrzymałem się jednak i tylko na nią spojrzałem z wyrzutem, a ona odpowiedziała mi uśmiechem. Tak to jest, bracia, jak się wygląda na sympatycznego południowca. Sala trzydzieści cztery i nieobecny obraz. Spędziłem pół godziny przed płamą na ścianie po niewielkim płótnie Rembrandta van Rijn, gdyż, jak się wydaje, było ono teraz na saksach gdzieś w Europie. Podziwianie nieobecnego obrazu wzbogaca umysł. Różnica tonacji pomiędzy ścianą ad usum i tym fragmentem ściany, który całymi latami zasłaniał rembrandt, uwidacznia upływ czasu, tempus fugit, tempus edax rerum<sup>[22]</sup>, nawarstwiające się niczym łupiny cebuli ślady ciężkich norweskich spojrzeń, razem z dymem dochodzącym z ulicy, o ile jakkolwiek norweski samochód czy norweski system ogrzewania wydziela dym, w co sędzę, że wątpię. Ściana miała kolor zielonkawy, z punktu widzenia sztuki obojętny. Natomiast ściana ukryta, a teraz odsłonięta, miała kolor wyzywający, jaskrawy, dużo jaśniejszy, optymistyczny, w stylu zejście mi z drogi, teraz moja kolej. A granicę, barierę między jedną i drugą zielenią wyznaczała dokładnie sylwetka rembrandta. Brawo. Wspaniale. Nie pamiętam płócien, które wisiały obok nieobecnego obrazu. Po tym rewelacyjnym doświadczeniu odwiedziłem wszystkie muzea w Oslo w poszukiwaniu innych nieobecnych obrazów. Ku mojej wielkiej radości znalazłem jeszcze trzy czy cztery.

W ogromnym holu ministerstwa, skąd startowały liczne ruchome schody, powitał mnie zimny powiew klimatyzacji, bo ci Norwegowie wyobrażają sobie, że jak tylko pokaże się słońce, to od razu jest upał nie do wytrzymania. Zapytałem znudzonego gościa, który tu dyrygował ruchem, a on wskazał mi najdłuższe schody w górę. Obok były schody prowadzące w dół, tak więc wszyscy interesanci, zadowoleni czy nie, którzy kierowali się do wyjścia, musieli tamtędy przejeżdżać. Wtedy ją ujrzałem.

Mnie tam Norwegia zwisa i powiewa. Była tylko środkiem do celu, niczym więcej. Rzecz w tym, bracia, że pasowało mi zdobyć norweskie obywatelstwo,

żeby nie musieć nigdy więcej wracać do Barny. Byleby tylko mama nadal podsylała gotówkę. A doktor Werenskiold miał zdecydować, po rozpatrzeniu licznych skarg, które niesłusznie złożyli na mnie obrażeni obywatele i obywatelki, co zrobić z sympatycznym Quiquínem. Bo chociaż Norwegia mi zwisa, chcę tu zostać. Z takim jednym popieprzonym Bośniakiem właśnie rozkręciłem interes przemytu tytoniu, z czego może być tyle szmalu, że głowa mała, normalnie strach pomyśleć. Kiedy sobie wypcham gacie tysiackoronowymi banknotami, Sonia już mi nie powie, że mam małego.

I tam, w holu ministerstwa, zobaczyłem ją po raz pierwszy. Zbliżała się do mnie, podobnie jak ja do niej, unosząc się na magicznej taśmie ruchomych schodów; patrzyła na mnie oczami w kolorze rzecznej toni i pozwalała, specjalnie dla mnie, aby powietrze rozwiewało jej włosy, jakby poruszała się na latającym dywanie. Miała krótką prostą sukienkę, która podkreślała, ale bez przesady, doskonałość jej kształtów. I ona patrzyła na mnie, bracia, równie intensywnie jak ja na nią. Aż mi szczeka opadła z wrażenia. Pierwsza Norweżka, która mi się podobała bez zastrzeżeń. Co za kobieta. Prawdziwa bogini. Aż zbliżyliśmy się do siebie na wyciągnięcie ręki i oboje, zastygli w bezruchu, minęliśmy się; wtedy odgadłem zapach jej perfum, jej skóry, jej ubrania i subtelną woń jej wspomnień, ulotne wrażenie, parę sekund, ale zostało mi na całe życie. I już nie patrzyłem, czy na tych zjeżdżających w dół schodach było więcej ludzi, czy tylko zstępowała nimi bogini. Odwróciłem się osłupiały, oczarowany, oszołomiony tym nagłym objawieniem, a tymczasem schody unosiły mnie w górę na spotkanie z kimś tak prozaicznym jak doktor Werenskiold, który pewnie już od kwadransa stukał nerwowo palcami w biurko i myślał o mnie wszystko co najgorsze, bo to było trzecie i ostatnie wezwanie. Ona też się odwróciła i patrzyła na mnie, mam wrażenie, z taką samą intensywnością, z jaką ja ją obserwowałem. Widziałem w niej walkirię. Oboje przeżyliśmy to jedyne w swoim rodzaju wrażenie, że na świecie zostaliśmy tylko my, bez złodziei, bez Norwegów, bez złych ludzi, którzy mogą nas skrzywdzić, bez czarownic, bez nudnych lidii, bez okrutnych sonii, a ponieważ oboje poczuliśmy to samo równocześnie, wpadliśmy na ten sam pomysł, i kiedy już dotarłem na szczyt schodów, postanowiłem zjechać na dół, a ona na górę. Taki ze mnie raptus, że nie zdałem sobie sprawy ze śmieszności sytuacji, która właśnie miała się wydarzyć, że znów się miniemy w miejscu niemożliwego

spotkania; ale najwyraźniej ona jako Norweżka okazała się bardziej rozgarnięta, bo zmieniła zdanie i zeszła ze schodów. Czekala na mnie, bracia, z wiernością Penelopy, dni, miesiące i lata, aż pokonam ten odcinek, uwięziony na powolnych schodach wśród ludzi, którzy tylko niepotrzebnie robili tłok. Kiedy już staliśmy przed sobą, zauważyłem, że była wysoka, że dwa palce ode mnie wyższa, i że faktycznie jej spojrzenie przypominało toń rzeki – chwila nieuwagi i już się pogrążasz. Uśmiechnąłem się i powiedziałem jestem Abélard. A ty?

– Wreszcie pana znalazłam.

Stanęliśmy z boku, gdzie było trochę spokojniej, a ona dotknęła opuszkami palców mojej dłoni, powtarzając Abélard, jakby chciała upewnić się co do nowego imienia nowej osoby, i najwyraźniej uznała, że wszystko jest w porządku.

– Jesteś cudna.

– Czy jest pan już po rozmowie z doktorem Werenskioldem?

– Jak najbardziej! Norwegia jest ogromna, ale wiedziałem, że w końcu cię znajdę.

Uśmiechnęła się i tak na mnie spojrzała, jakby chciała powiedzieć, nigdy nie widziałam tak pięknych oczu. Swoim aksamitnym głosem, podchodząc jeszcze bliżej, wyznała:

– Nic więcej nie mogę dla pana zrobić, panie Masdexaxart. Teraz decyzja należy do ministerstwa.

– Ja też nigdy nie widziałem takich oczu jak twoje. – Objąłem ją delikatnie ramionami. – Jesteś najważniejszym, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy?

– Jeśli pan mnie nie puści, będę musiała wezwać policję, mimo że jestem pańskim adwokatem.

– Nie, nie jestem Włochem – powiedziałem, marszcząc brwi, i nieco zdezorientowany uwolniłem ją z uścisku.

– Na ostateczną decyzję trzeba będzie czekać około tygodnia. Będę obecna przy procedurze jej ogłoszenia.

– Nie trzeba.

– Wiem, że pan bardzo dobrze mówi po norwesku, ale gdyby pan chciał...

– Dziękuję – przerwałem jej. I pochwaliłem: – Ty też nieźle sobie radzisz. – Wróciłem do głównego tematu naszej rozmowy: – To nieistotne, skąd pochodzę.

Chyba musiała uznać za kretyńskie moje odżegnywanie się od korzeni, bo tylko spuściła swój promienny wzrok, a ja przestraszyłem się i poczułem, że jeszcze bardziej ją kocham. Oczywiście, że istotne, skoro ona tak uważa! Dlaczego do jasnej cholery nie jestem Włochem? No, dlaczego? Dlaczego musiałem się urodzić w Barnie? Wściekłem się na tatę i mamę (na mamę nie, mamę natychmiast przeprosiłem), że nie dane mi było urodzić się w Montescaglioso. Ale ponieważ czułem się na umór, na wieki zakochany w walkirii, więc natychmiast zapomniałem o tej włoskiej przeszkodzie. Wziąłem ją za rękę, ale natychmiast puściłem, bo była gorąca jak ogień, a wtedy ona dotknęła mojej skóry, jakby na próbę, opuszkami palców. Uśmiechnęła się.

– Będą problemy. – Ściszyła głos. – Pański przypadek jest skomplikowany. Chcą nawet wykorzystać orzeczenia lekarskie.

– U twego boku nie boję się ciemności, o Panie.

– Zapraszam, może pan skorzystać z mojej taksówki, jeśli pan sobie życzy.

Miałem szczęście na wyciągnięcie ręki i chłonałem je wszystkimi porami. Teraz zrozumiałem, czemu los nie zatrzymał mnie w mojej ucieczce przez pustynię, zanim nie dotarłem do Oslo, miasta pokoju i radości. Tu na mnie czekała Izolda.

– Zabierz mnie do swojego łóżka, bogini.

Ponieważ milczała, zaskoczona, nieśmiała, nieufna dziewczica, musiałem ją trochę ośmielić:

– Zgoda, Heloizo. Wiesz, gdzie moglibyśmy pojechać na urlop?

– Postój jest za tymi drzwiami.

– Do Dor. To takie urocze miasteczko izraelskie, blisko Salou, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Tel Awiwu i dwadzieścia kilometrów na południe od Hajfy. Przepiękne widoki, plaża i port, gdzie zachowały się jeszcze pejzaż i tradycyjne obyczaje rybaków oraz ich gastronomia. Odkryj sympatyczną twarz Izraela. Przekonasz się, że jest zachwycająca. Mam zarezerwować dwa bilety El-Al? Moglibyśmy tam spędzić najbliższe tysiąclecie.

Słuchała mnie uważnie, więc postanowiłem być szczery.

– No dobrze – powiedziałem. – Możemy pojechać do Dor, jeżeli w końcu zrobią ze mnie Norwega.

Wtedy jak błyskawica przemknął mi przez głowę obraz doktora Werenskiolda, jak podpisuje papiery i wydaje mi norweski paszport, a wraz z nim prawo do życia przez parę lat w świętym spokoju u boku mojej walkirii. Nagle zbladłem: ten żałosny doktor Werenskiold! Przecież on jeszcze niczego mi nie podpisał! Aż się spociłem z wrażenia.

– Heloizo, musisz chwilę poczekać. Zapomniałem, że mam pilną sprawę do załatwienia.

– Przecież pan mnie zapewniał, że...

– To tylko chwila – przerwałem. – Zaczekasz tu na mnie, najdroższa?

I popełniłem nietakt – spojrzałem na zegarek. Ona pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć no cóż i patrzyła, jak odchodzę. Dopiero później skojarzyłem, że kolor rzecznej toni jej oczu w tym momencie stracił przejrzystość. Ja, dzielny niczym średniowieczny rycerz, rzuciłem się w górę schodów, roztrącając po drodze tych nieszczęśników, którzy nie mieli szczęścia poznać Heloizy; spieszyłem się, by jak najszybciej stanąć przed doktorem, przyjąć warunki nowej narodowości bez taryfy ulgowej, nie protestując, bez wygłupów, kiedy przyjdzie do podpisywania dokumentów, żeby jak najszybciej mieć to już za sobą i wrócić do mego szczęścia.

\*\*\*

Nigdy sprawy nie układają się tak, jak by człowiek chciał. Nawet w Norwegii. Czyżby ten cały doktor Werenskiold nie zdawał sobie sprawy, że walkiria Heloiza czeka na mnie u stóp tej jego ministerialnej góry, wypatrując oczy w kolorze rzecznej toni? I co pan na to, doktorze Werenskiold? A on na to kazał mi czekać w napięciu siedem przeklętych minut. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem aroganckich minut, które być może oddalały mnie od mojej dozgonnej miłości. A później, kiedy już siedziałem przed nim z przyklejonym do ust lizusowskim uśmiechem południowca, doktor ze dwie godziny czyścił okulary i przyglądał mi się w milczeniu, z taką samą miną, jaką robi tato, kiedy chce powiedzieć no i co mamy zrobić z tym chłopcem, co z nim zrobimy, no co, mamuśka? nie dostaniesz ani samochodu, ani konia, ani strzelby; bo na nic nie



zasługujesz. Tato zawsze traktował mnie, jakbym nie był człowiekiem... Zostawmy ten temat, bo wywołuje mdłości, a nie chciałbym tu zwymiotować.

– Nie możemy jeszcze uznać, że ma pan stałą pracę, panie Masdexaxart.

Zgoda. Może mi pan wytatuować numer seryjny na ramieniu. Niech żyje Norwegia. Spiesz mi się. Muszę już iść.

– Ale mam stałe, regularne dochody.

– Ja mówię o pracy, panie Masdexaxart.

Gdyby nie było tam tylu ludzi, chwyciłbym nóż do papieru i wbiłbym go w to twoje księżowskie podgardle. Chcę być Norwegiem, ponieważ kocham Heloizę. Koniec, kropka.

– Jutro mam rozmowę o pracę: serwisant pralek, usługi na miejscu.

– W porządku... – Zastanawia się dobre pół godziny. – Może to dobre zajęcie dla pana.

Uwielbiam kłamać, panie doktorze. Zwłaszcza gdy ktoś jest tak łatwowierny jak pan.

– Ubi bene, ibi patria<sup>[23]</sup>.

– Co takiego? – Ksiądz kanonik zaniepokoił się, czy przypadkiem nie chodzi o jakieś sekretne przesłanie.

– To, że kocham Norwęgę z całego serca, doktorze Werenskiold.

– Nie mnie podawać to w wątpliwość, ale wydaje się, że wielu obywateli nie kocha pana. Nie opłacił pan czynszu za trzy miesiące pobytu w pensjonacie i nazbierało się szesnaście skarg na pana aspołeczne zachowanie.

Pieprzone skurwysyny, norweskie obiboki, czepiacie się mnie, bo nie mam włosów blond, jestem niski i mam małego.

– To na pewno jakieś nieporozumienie, doktorze Werenskiold.

– Szesnaście nieporozumień.

Lakoniczność doktora była obraźliwa. Ale on grał na swoim boisku, a ja nie mogłem dać się sprowokować kibicom miejscowej drużyny. Tak więc uśmiechnąłem się, bracia, a ponieważ byłem zakładnikiem miłości w rękach przeznaczenia i pragnąłem tylko jednego – zatopić się jak najszybciej w mojej rzecznej toni, więc uznałem dalszą rozmowę za bezprzedmiotową.

\*\*\*

Kiedy skierowałem się w stronę holu, miałem ochotę krzyknąć, że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ale na ruchomych schodach był taki ścisk, że w żaden sposób nie dało się przecisnąć do przodu. Mogłem tylko wyciągać szyję w kierunku tej szczęsnej ściany, przy której ona na mnie czekała, i uśmiechać się od ucha do ucha, by wyrazić bezgraniczne szczęście. Niestety, po paru sekundach uśmiech zgasł. Heloizy tam nie było. Dobrze, powinna być na... Może kawałek dalej... Może szukała kosza na śmieci, żeby... Albo wyszła, żeby sprawdzić, czy... Zanim dojechałem na dół, wymyśliłem dwa tysiące hipotez, które wyjaśniałyby w miarę sensownie zniknięcie Heloizy. Rozglądałem się: mnóstwo obojętnych twarzy, ale ani śladu walkirii. Wtedy wpadłem w popłoch i moja dusza przemówiła słowami Heloizo, bezdenna rzeko, ubi es<sup>[24]</sup>?

Nie wiem, czy zajęło mi to dwie czy trzy godziny, ale przeszukałem dokładnie wszystko. Wszystko. Rozpytywałem setki ludzi, wychodziłem na ulicę z pięćdziesiąt razy, powtarzając w duchu kurwa, kurwa, kurwa, żeby tylko nie wpadła pod samochód, żeby mi jej nie porwali albo wręcz nie zamordowali. Przemierzyłem wzdłuż i wszerz całą dzielnicę, zajrzałem w każdą dziurę, nie wyłączając koszy na śmieci, wszędzie szukałem jakiegokolwiek śladu obecności dziewczyny o oczach w kolorze rzecznej toni. Ale świat się skończył, a ja musiałem się pogodzić z oczywistością, że nigdy więcej nie zobaczę Heloizy. Po południu zmęczony, głodny, spocony i spragniony wyszedłem z ministerstwa, marząc tylko o tym, by się zamknąć w świecie dźwięków King Crimson i niech was wszyscy diabli. Nie was, bracia: tamtych. I tak się napaliłem na Crimów, że nie było rady – musiałem natychmiast ruszyć do sklepu muzycznego przy Osterhausgate i udawać, że chcę kupić na przykład *In the Wake of Poseidon*. A po godzinie przybrać uśmiech południowca i oświadczyć dyżurnej Sigrid nie, ty mnie nie interesujesz. Wszedłem do metra, zastanawiając się, czy sklep przy Osterhausgate to najlepsze miejsce, gdzie mógłbym słuchać Crimów i ochłonąć po tym całym zamieszaniu. Białe płytki w korytarzu metra mimo przygnębienia przypomniały mi o melodii, która ukryła się na parę godzin, a teraz wyparła z pamięci Crimsona, i obudziły apetyt na szybką dawkę Sibeliusa, najlepiej natychmiast. Bracia, byłem smutny. Bardzo smutny. Quae solitudo esset in Metropolitano, quae vastitas!<sup>[25]</sup>, zawołał

Święty Szczepan, pierwszy męczennik, w sytuacji podobnej do mojej. Przepuściłem trzy pociągi z nadzieją, że znów usłyszę, jak ktoś gwizdże tę melodię w tym nieprawdopodobnym miejscu, ale nie miałem szczęścia. Wręcz przeciwnie, jakaś atletycznie zbudowana kobieta, niebieskooka, czarnowłosa, ustawiła obok mnie głośnik i równie diabelski wzmacniacz, posłała mi groźny uśmiech i zaczęła śpiewać przy akompaniamencie magnetofonu jakąś karygodną składankę najbardziej znanych i przebrzmiałych arii z operowego repertuaru. Podczas gdy fałszywa sopranistka psuła powietrze operowymi bzdzinami, ja się zastanawiałem, co lepiej: rozwalić jej głowę czy podciąć struny głosowe. Ale przypomniałem sobie, że ciągle gram w drużynie przeciwnika, i stwierdziłem, że rozsądniej odpuścić. Kiedy już miałem dość, zdecydowałem się rejterować pierwszym lepszym pociągiem. Gdy wjechał na stację, kobieta zaniemówiła na cześć mojego odjazdu. Wagon był prawie pusty. W momencie, kiedy drzwi z westchnieniem zamykały się za moimi plecami, usłyszałem jasno, głośno i wyraźnie, jak na złość, ten sam temat z *Finlandii*. Dochodził z peronu. Zrozpaczony chciałem otworzyć drzwi, wpychając między oba skrzydła rękę. Ale drzwi z całkowitą obojętnością zgilotynowały moją prośbę, dokładnie w chwili, gdy pociąg ruszał, odbierając mi, wbrew mojej woli, jakąkolwiek szansę na spełnienie marzenia.

Zanim dotarłem do pensjonatu, ja, Quiquín z Barny, zdążyłem spaść z konia na Osterhausgate. Dyżurna Sigrid już miała mi zapakować *Posejdona*, kiedy zobaczyłem na ladzie stos płyt *The Last Recital of Pere Bros*, co mnie zaintrygowało, bo skoro to był ostatni recital, więc chyba kopnął w kalendarz, a przecież jeszcze niedawno on i Kremer tak pięknie mnie wzbogacili w Oslo. Z ciekawości kazałem sobie puścić płytę. Najpierw Schubert, jak zwykle, smęcił w B-dur. A potem ten nikomu nieznany Fischer, ten to dopiero dawał czadu... Kurde, co za dziwny kawałek, zupełnie w stylu Roberta Frippa. Tak więc wysłuchałem nagrania pięć razy i postanowiłem wziąć sobie jeden egzemplarz, bo było godne i sprawiedliwe, abym ja miał tę muzykę, prawdziwy odlot. Wracając z mojego Damaszku z płytą w kieszeni kurtki, przed pensjonatem zastałem uśmiechniętego doktora Werenskiolda w towarzystwie dwóch korpulentnych mundurowych, który pytał, gdzie do cholery tak długo się podziewałem, i oświadczał mi, że niniejszym oddaje mnie w ręce jednego z tych goryli, który był ni mniej, ni więcej, tylko jakimś ważnym komisarzem, którego

nazwiska nie udało mi się zapamiętać. Okazuje się, że adwokatka oskarżyła mnie o molestowanie walkirii, a mój całkiem popieprzony bośniacki przyjaciel doniósł na mnie, że niby zorganizowałem nielegalną szajkę zajmującą się rozprowadzaniem za pół ceny papierosów z przemytu. Oburzyły mnie te dwie kalumnie, ale sympatyczni funkcjonariusze pokazali mi gest, który oznacza, że wszelki opór jest bezcelowy.

Gdybym mógł to wszystko opisać, bracia, powstałby Pierwszy List Quiquína z Barny do Barneńczyków. Ale nie mogę, bo policyjna suka podskakuje na wybojach, jakby to nie była Norwegia, tylko nie wiadomo co. Porzuć wszelkie nadzieje, Quiquín, i podejdź do sytuacji z tak typowym dla ciebie praktycznym nastawieniem. Zaraz zakomunikuję tym wikingom utuczonym na mleku i serze, że jakiegokolwiek zeznania będę składał tylko w obecności mamy.

XIII

NEGOCJACJE

Monsinior Gaus zorientował się, że sam się starzeje, kiedy zauważył na twarzy Yves'a Saulniera pierwsze delikatne rysy, dowód upływu czasu, nadające aurę jakiegoś nieokreślonego zmęczenia. Zasiedli przy stole w milczeniu. Adwokaci, w odcieniach nieskazitelnej szarości, usytuowani po drugiej stronie, byli równie zaintrygowani co monsinior Walzer i patrzyli z niedowierzaniem to na Gausa, to na pana Saulniera. Tylko adwokat Lambertini, reprezentujący Watykan, nie w nieskazitelnej szarości, lecz dla odmiany w czerni, jeszcze bardziej bezdyskusyjnej, który zajął miejsce jako pierwszy, nie rzucał na prawo i lewo spłoszonych spojrzeń, lecz zamknął oczy jak ktoś, kto chce zatopić się w modlitwie. Albo może raczej w drzemce.

– Czuję się w obowiązku – odezwał się surowym tonem Yves Saulnier – zdecydowanie zaprotestować przeciwko temu, co jest zwykłym oszczerstwem ze strony Kościoła.

Monsinior Gaus spojrział uważnie na Saulniera i długo zwlekał z odpowiedzią, jakby on też przysnął, podobnie jak jego adwokat.

– Może panowie nie zdają sobie sprawy – odezwał się, kiedy już się obudził – ale to nie jest oszczerstwo. To oskarżenie oparte na mocnych dowodach.

– Jesteśmy zdecydowani pójść z tym do sądu – wtrącił się adwokat watykański, budząc się z drzemki. – I walczyć do upadłego. – Po czym ponownie wrócił do poprzedniego stanu bliskiego nirwanie.

– Gdzie są dowody?

– Poznacie je panowie przed sądem, jeżeli pan Pierre Grossmann nie zgodzi się negocjować.

Oburzony pan Saulnier zerwał się na równe nogi.

– To zwykły blef!

Monsinior Gaus wstał, idąc w jego ślady.

– Bardzo dobrze: będziemy się tłumaczyć przed sądem. – Lodowatym tonem:  
– Panowie...

– Ja nie jestem upoważniony do... – Stojąc, pan Saulnier poprosił o zwłokę. – Chcę mieć jakiś dowód, że to nie kłamstwo.

Monsinior Gaus przez chwilę się zastanawiał. Wziął kartkę, wyciągnął pióro

i zapisał na niej parę słów. Podmuchał delikatnie na papier, złożył go i podał sąsiadowi. Kartka przechodziła z rąk do rąk, starannie złożona, aż dotarła do Saulniera. Ten usiadł, rozłożył, przeczytał i skonfundowany spojrzał na drugi koniec stołu. Monsiniora Gausa ubawiła ta mina. Odpowiedział na pytanie, którego tamten jeszcze nie zadał.

– Pan Pierre Grossmann będzie wiedział, o co chodzi.

– Musiałbym... – Saulnier głośno myślał, rozglądając się wokół siebie.

Monsinior Gaus wznosił namaszczone ręce niemal liturgicznym gestem, dając mu do zrozumienia, na co czekasz, działaj, czuj się jak u siebie w domu. Wcisnął guzik i zaraz pojawił się odźwierny, który wyprowadził pana Saulniera i dwójkę jego adwokatów przez boczne drzwi, za którymi znajdowała się poufna kancelaria. Obaj monsiniorzy i lakoniczny adwokat nie odezwali się ani słowem, siedzieli nieruchomo, zdecydowani czekać, ile będzie trzeba. Nagle monsinior Gaus wskazał telefon.

– Chcę słyszeć, jak przebiegają konsultacje z Grossmannem.

– Nie są tacy głupi – zareagował monsinior Walzer. – Na pewno posługują się komórkami.

– Może jednak nie. – Tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Proszę to sprawdzić.

Monsinior Walzer wstał niezadowolony i podszedł do telefonu. Wcisnął guzik. Przyciszonym głosem dyskretnie zapytał:

– Sprawdź, czy mógłbyś mnie połączyć z salą półkolistą. Tylko podsłuch.

Po kilku sekundach odłożył słuchawkę i zwrócił się do swojego pryncypała, nie kryjąc drobnej satysfakcji:

– Nie korzystają z telefonów watykańskich.

– Grossmann nie powie niczego kompromitującego przez telefon – wtrącił się adwokat Lambertini, otwierając oczy i patrząc na jedno z pustych krzeseł. – Powie tylko tak lub nie.

– Powie tak – przesądził monsinior Gaus.

– Co tam było napisane? – Walzer nie potrafił opanować ciekawości.

Monsinior uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że puszcza w niepamięć impertynencję podwładnego.

Żeby zachować twarz, Walzer zaatakował:

– Rozumiem, że monsinior woli negocjować ze zbrodniarzami zamiast ich zadenuncjować.

– Rozumiem, że lepiej nie mieć wrogów.

Żaden z nich nie zauważył, że adwokat, mimo iż wydawał się pogrążony we własnych myślach, niemal niezauważalnie skinął głową.

– Negocjowanie ze złodziejami to udział w kradzieży – upierał się tamten.

– Monsiniorze Walzer... – Teraz Gaus obrzucił go najbardziej lodowatym spojrzeniem, na jakie było go stać. – Nie tym tonem, proszę, nie jesteśmy dziećmi.

Apatyczny adwokat niedostrzegalnym gestem pochwalił strategię Gausa. Natomiast Walzer znieruchomiał i aż otworzył usta ze zdumienia. Kontynuował tym samym tonem:

– Jeżeli udało się monsiniorowi odkryć ich słabą stronę, cokolwiek by to było, to jest dobry moment, żeby ich załatwić. Tak jak monsinior postąpił z Umbertem de Luçą.

– Umberto nie był wrogiem.

– A jednak monsinior go pogrążył.

– Żeby uniknąć większych skandali.

Adwokat Lambertini znów zapadł w sen. Monsinior Walzer wzniosł palec w imię zasad.

– Zgoda, w porządku. Ale tamci to prawdziwi wrogowie.

– Przeciwnika nie należy trzymać za gardło, jeśli chcesz, żeby uciekł i nie zranił cię, kiedy będzie się wyrывał.

– Nie rozumiem, czemu monsinior pozwala na ucieczkę przestępcom... – Z braku lepszych argumentów dodał: – Cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co...

– Monsiniorze – przerwał mu sucho, zdecydowanie monsinior Gaus, który miał już go dość. – Jeśli monsinior chce się nauczyć, jak się negocjuje, kiedy w grę wchodzi miliony, niech monsinior wsadzi język do kieszeni, a moralność do tyłka.

Czerwony jak papryka monsinior Walzer otworzył swoją teczkę i zaczął w niej grzebać, jakby szukał tam utraconych zasad.

Po sześciu minutach niezręcznego milczenia trzej negocjatorzy wrócili do



sali. Pan Saulnier, starając się z całych sił, żeby jego głos zabrzmiał naturalnie, oświadczył, zajmując miejsce przy stole:

– Zgoda, pan Grossmann gotów jest negocjować.

\*\*\*

– A więc teraz nazywasz się Yves Saulnier.

– A ty zostałeś monsiniolem.

– Nie zapominaj, że jestem biskupem.

– Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Przysięgam na twoje święte jaja, że sytuacja wymknęła mi się spod kontroli.

– Przykro mi, ale ja muszę robić, co do mnie należy.

– Najchętniej bym cię zabił.

– W jakie gówno się wpakowałeś, monsieur Saulnier?

Zamilkli, bo właśnie kelner usuwał sprzed nich talerze, obrzuciwszy wzrokiem najpierw jednego, potem drugiego.

– Co znaczy zero, jeden, dwa, trzy?

– Upadłeś na głowę, jeśli myślisz, że ode mnie się tego dowiesz.

– Jak możesz chcieć, żebym... Stoję na słabej pozycji w negocjacjach, jeśli nie wiem, z jakiego powodu Grossmann...

– Ty masz tylko negocjować ze mną, w jaki sposób zwrócić Kościołowi skradzione obrazy.

Pan Saulnier uśmiechnął się do kelnera, który stawiał przed nimi apetycznie wyglądającego morszczuka z ziemniakami. Kiedy już sobie poszedł, pochylił się w stronę rozmówcy ponad talerzem i szepnął:

– Jeżeli przegram w tych negocjacjach z własnej winy, mogą mnie zabić.

Cisza. Morszczuk stygnie. Morszczuk z przysmażonymi płetwami, z małymi foremnymi ziemniaczkami, o rozkosznym zapachu. Nie patrzyli sobie w oczy, za dużo czasu upłynęło, za duży powstał między nimi dystans, a teraz ze względów zawodowych musisz położyć głowę pod nóż.

Yves Saulnier gestem wskazał monsiniorowi jego talerz. On sam dał dobry przykład i z apetytem zabrał się do jedzenia, tak jakby przed chwilą nie padły słowa o śmiertelnym zagrożeniu. Natomiast monsinior stracił apetyt. Odłożył

sztuńce i spojrział na swego rozmówcę.

– Przegrasz. Ale ty się z tego wykręcisz, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Co znaczy zero, jeden, dwa, trzy?

– Nie mogę powiedzieć.

– Gówno prawda. Ty możesz powiedzieć wszystko.

– Gramy w przeciwnych drużynach. Jak to się stało, że z dwudziestu sześciu obrazów z wystawy objazdowej złodzieje w Barcelonie zabrali tylko te trzy, które były kościelnym depozytem w Oslo?

– To oczywiste. Miały największą wartość, lata świetlne od reszty kolekcji.

Monsinior uszczknął kawałek ryby i przeżuwał bez apetytu.

– Naprawdę mogliby cię zabić?

– Możemy sobie nawzajem pomóc. Co znaczy zero, jeden, dwa, trzy?

– Chcesz mieć Grossmanna w garści, prawda?

Saulnier uśmiechnął się z uniesionym widelcem. Skupił się na jedzeniu. Monsinior Gaus sprawdził, czy żaden wścibski kelner nie kręci się w pobliżu, po czym wyciągnął z kieszeni marynarki kopertę. Położył ją przed Saulnierem. Ten osuszył wargi serwetką, zostawił ją obok talerza, a jego palce same sięgnęły po kopertę. Otworzył ją i wyjął zdjęcia. Cztery zdjęcia. Kiedy zdał sobie sprawę, co przedstawiają, szybko je schował, żeby jakieś przypadkowe plotkarskie oko nie dostrzegło, czego nie powinno. Monsinior Gaus miał wrażenie, że jego rozmówca zbladł. Saulnier schował kopertę do kieszeni. Potrzebował kilku sekund, żeby zebrać myśli. Najwyraźniej był pod wrażeniem tego, co zobaczył. Wieki minęły, zanim dotykając ręką kieszeni, zapytał:

– Skąd wiesz? Skąd wiesz, że to on?

\*\*\*

Świętowano w Sali Świętej Klary, w części biurowej Musei e Gallerie, pomyślne zakończenie negocjacji, które nieoczekiwanie okazały się o wiele szybsze, niż zakładano. Kardynałowi Grimaldiemu z Pia Istituzione oczy błyszczały z radości, kiedy dla zabicia czasu rozprawiał o sprawach przyziemnych z dwoma notariuszami – tym reprezentującym Nasjonalgalleriet

w Oslo, zatwierdzonym przez Watykan, oraz głównym notariuszem watykańskim. Kiedy kardynał zobaczył wchodzącego do sali monsiniora Gausa w towarzystwie naburmuszonego Walzera i milczącego adwokata Lambertiniego, poszedł go przywitać. Ostatni raz byłem taki szczęśliwy osiemnaście lat temu. Gaus szybko obliczył, że musiał mieć na myśli dzień, kiedy ojciec święty zakomunikował, że czyni go księciem Kościoła. Kardynał Grimaldi pogratulował, nieco mniej wylewnie, również pozostałym członkom ekipy i zapadła cisza. Ceremonia miała być krótka, ponieważ pianista, którego wynajęli, żeby zagrał im coś z Chopina i może jeszcze jakieś kawałki w tym stylu, jednostronnie zerwał kontrakt w pożałowania godny, tragiczny sposób, mimo że już zainkasował pięć procent przewidzianej sumy. Sam akt trwał tylko tyle, ile potrzebowali notariusz szwedzki i główny notariusz watykański na formalne potwierdzenie zwrotu prawowitym właścicielom trzech dzieł: *Koronacji Matki Bożej* Pinturicchia, *Zdjęcia z krzyża* Caravaggia i najważniejszego obrazu, ze względu na niebotyczną cenę, jaką mógłby osiągnąć, gdyby się znalazł na czarnym rynku, *Filozofa* Rembrandta. Tydzień wcześniej watykańscy eksperci potwierdzili zarówno jego autentyczność, jak i świetny stan zachowania.

– Gdyby nie fakt, monsiniorze – zwierzył się Jego Eminencja – że nie po to pracujemy, aby się wzbogacić, i nie dążymy do powiększania dóbr materialnych, miałbym ochotę wystąpić o wysoką nagrodę dla monsiniora za korzyści, jakie watykański skarbiec odniósł dzięki jego interwencji.

Monsinior Gaus spuścił głowę z pokorą. To nie był odpowiedni czas i miejsce na rozmowę o nagrodach. Ale jednak, dyskretnie, zasugerował kardynałowi, żeby jego świeckiego współpracownika, adwokata Lambertiniego, miał na uwadze przy awansach, premiach czy uznaniowej podwyżce honorarium.

\*\*\*

Nigdy wcześniej nie miał okazji widzieć Pierre’a Grossmanna. Nigdy, nawet na zdjęciu. Pierre Grossmann był uosobieniem dyskrecji. Właściciel jednej z największych w Europie fortun żył w czymś w rodzaju dobrowolnego odosobnienia; zajmował się doglądaniem swego bogactwa, pilnowaniem rozlicznych interesów, służących jego pomnażaniu, i pokrywaniem strat, do

których doprowadzała jego żona niefortunnym administrowaniem agencją artystyczną, jej oczkiem w głowie.

Nie tak go sobie wyobrażał. Grossmann nosił marynarkę w dziwnym odcieniu czerwieni, w której wyglądał całkiem przystojnie. Miał krótko przystrzyżone siwe włosy, a skóra jego twarzy nie była opalona ani w słońcu, ani na śniegu, lecz zachowywała blady nierówny odcień. Trudno było odgadnąć, w jakim jest wieku.

Znajdowali się w apartamencie hotelu w Genewie, naprędce dostosowanym do potrzeb negocjacji. Obaj mężczyźni, bez asysty, zasiedli równocześnie po przeciwległych krańcach stołu. Monsinior chciał ograniczyć do minimum kontakt z tym indywiduum, któremu nie dało się patrzeć w oczy, bo jego wzrok przebijał wszystko, co napotkał po drodze, z determinacją diamentu. Dlatego od razu przystąpił do rzeczy. Wyciągnął kopertę. Grossmann wziął ją do ręki i wyjął zdjęcia, nie przejmując się, że ktoś mógłby to zauważyć. Obejrzał je wszystkie po kolei, nie zdradzając żadnych emocji.

– A negatywy?

– Są w kopercie. Ale w dzisiejszych czasach to żadna gwarancja.

– Więc co mi pan proponuje?

– Oświadczam, że kwestię zdjęć obejmuję tajemnicą spowiedzi.

– Mam gdzieś tę waszą tajemnicę spowiedzi, proszę księdza.

– Jestem biskupem. Wyobrażam sobie, że słyszał pan o doniosłości tej kwestii.

– Tajemnica spowiedzi – teraz patrzył mu prosto w oczy i cierpliwie tłumaczył – to dla mnie gówno. Jasno się wyrażam?

– To może mnie pan natychmiast zabić.

– Ile osób o tym wie?

– Współpracujący ze mną detektyw i ja.

– Co to za jeden, ten detektyw?

– Już nie żyje.

– Skąd mam wiedzieć, że naprawdę nie żyje?

– Można to sprawdzić. Wybuch gazu w hotelu, w którym się zatrzymał. – Wręczył mu kartkę. – Tu ma pan jego dane.

Pierre Grossmann wziął kartkę, rzucił na nią okiem, złożył i wsadził do kieszeni.

– Nikt więcej?

– Nikt więcej.

Nie uścisnęli sobie rąk ani nie wymienili pożegnalnych formułek. Po prostu rozstali się na zawsze. Genewę ściął mróz, a monsinior nie był w nastroju do uprawiania turystyki i natychmiast wrócił do Watykanu. Poza tym miał poważny powód, by nie pozostawać zbyt długo poza domem.

\*\*\*

Całe pomieszczenie tonęło w ciemnych odcieniach ochry, ale z prawej strony, tam, gdzie było okno, docierało fantastyczne światło słoneczne. Jak bym się cieszył, gdybym mógł tak jak ten spokojny mężczyzna na obrazie spędzać dni, czytając, studiując, medytując i rozmyślając czy to o Bogu, czy o wielkich sprawach, o Wielkim Kwestionariuszu – kim jestem, skąd pochodzę, dokąd zmierzam – a po skromnym posiłku ponownie otworzyć księgi i uczyć się ukrytej w nich mądrości, i być małą latarnią, małą, ale latarnią, oświetlającą właściwą drogę Kościołowi. Jak by to było cudownie. Tymczasem przypadła mi w udziale troska o materialne dobra Kościoła, rzadko mogę poprzestać na skromnym posiłku, prawie nigdy nie mogę tracić czasu z dobrą grubą księgą na kolanach i nie jestem szczęśliwy. Mój Boże, jakże chciałbym być tym filozofem.

Ale ponieważ monsinior Gaus nie mógł nim być, musiał się zadowolić obrazem wiszącym na ścianie jego prywatnej pinakoteki. Przez pierwszy miesiąc monsinior spędzał co najmniej godzinę dziennie przed rembrandtem, analizując wszystkie szczegóły, na darmo próbując poczuć zapach pociągnięcia pędzlem na płótnie, który rozwiał się w miarę upływu czasu. Obok *Filozofa* wisiał niedokończony *Święty Hieronim* Leonarda i w tej samej sali, ale po przeciwnej stronie, znajdował się *Cmentarz* Modesta Urgella, dzieło imponujące, melancholijne, doskonałe, którego podziwianie nie znudziło mu się od piętnastu lat, kiedy to obraz na parę miesięcy zniknął z Muzeum Dalego. W sąsiedniej sali królowała pośród innych obrazów *Koronacja Matki Bożej* Fra Filippo Lippiego, zachwycające dzieło w jakby przygaszonych, ale nadzwyczaj ciepłych barwach. Oddychał pełną piersią, spełniony, usatysfakcjonowany,

niemal szczęśliwy, ponieważ na jego ścianach królowały niektóre z jego dozgonnych miłości. Nie mógł się rozkoszować tym stanem zbyt długo, bo właśnie trzykrotnie zadzwonił dzwonek, wywołując w jego pamięci odległe znajome skojarzenia.

Yves Saulnier wszedł do biblioteki pełnej książek i czekał cierpliwie, aż monsinior wróci z rozkosznie pachnącą kawą na tacy. Po pierwszym łyku wyciągnął z kieszeni kopertę i położył na stole.

– To dla ciebie – powiedział.

Monsinior Gaus otworzył i przejrzał zawartość. Pierwsze zdjęcie, najbardziej wstrząsające, przedstawiało niemowlę w kołysce, z twarzą zmasakrowaną strzałem z bliska. Smoczek w kolorze jasnego nieba był jedynym, bezużytecznym świadkiem tej potwornej zbrodni. Monsinior zmusił się do obejrzenia wszystkich drastycznych fotografii. Jeszcze dwa zdjęcia noworodka, a następnie jedno przedstawiające, jak się domyślał, jego matkę siedzącą na sofie, z głową przechyloną do tyłu, z ustami zamaskowanymi pociskiem. Matka w domowym szlafroku. Na kolanach sympatyczny, radosny bukiet zaciskany przez napięte, martwe ręce. I jeszcze jakieś dwa–trzy zdjęcia dokumentujące to podwójne morderstwo, które dokonało się w pokoju kliniki położniczej.

– Masz wszystko jak na dłoni.

– Uważaj na Grossmanna. Nie wie, że ty o tym wiesz. Nie wie, że to widziałeś.

– I dobrze. Może mi się przydać.

Saulnier napił się kawy, wyjął papierosy wymownym gestem, a po uzyskaniu zgody na palenie rozsiadł się wygodnie na sofie.

– Jak to możliwe – powiedział – że ja, mimo że pracuję dla Pierre’a Grossmanna, nie miałem pojęcia o tym aspekcie jego... jego działalności, podczas gdy ty...

– Zawsze byłem od ciebie sprytniejszy.

Monsinior włożył zdjęcia do koperty, a kopertę oddał Saulnierowi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że mogę je sobie zatrzymać?

– Mogą cię uratować albo zgubić. To zależy, jak je wykorzystasz. – Pochylił się w jego stronę, jakby zamierzał mu się zwierzyć. – Ten, kto wie wcześniej

niż inni, gdzie jest rzeka, może się stać panem jej wód. – Uśmiechnął się. – Tak głosi hebrajskie przysłowie.

Yves Saulnier szybko dopił kawę. Wspaniała. Ostrożnie odstawił filiżankę na stolik, myśląc o rzekach wody i rzekach krwi. Spojrzał mu w oczy.

– Co znaczy zero, jeden, dwa, trzy?...

Monsinior Gaus, prałat Kurii Watykańskiej, wyjaśnił cierpliwie panu Saulnierowi, że płatne zabójstwo to niezwykle dochodowy interes, że Zero, Jedyńka i Dwójka były pseudonimami, pod którymi ukrywali się poszczególni agenci, mający zrealizować konkretne zadanie bez pozostawiania śladów, i że wszystko to było bardzo ponure i najchętniej unikałby miejsc, gdzie omawia się tego typu sprawy. To uzalenie się nad sobą nie zrobiło wrażenia na Saulnierze.

– Musisz mi pokazać pinakotekę.

To był jeden z warunków umowy. Monsinior Gaus wprowadził go przez ukryte drzwi i poświęcił dobrą godzinę na oprowadzanie po kolekcji, którą mogły oglądać wyłącznie osoby cieszące się jego bezwzględny zaufaniem. Panu Saulnierowi aż dech zaparło.

– Nigdy nie zostaną ujawnione?

– Nigdy. Dopóki ja tu jestem, mam wszystko pod kontrolą. A jak już mnie tu nie będzie, to szukaj wiatru w polu.

Saulnier stanął obok *Filozofa* i spojrzał na monsiniora.

– Nigdy się nie zastanawiałeś, który z nas jest oryginałem, a który kopią?

– Matka mówiła, że ty jesteś starszy, bo ja urodziłem się pięć minut wcześniej... – Wspomnienie wywołało uśmiech na twarzy monsiniora. – Ale jestem przekonany – ciągnął, patrząc mu w oczy – że ty zawsze byłeś moim nieudany falsyfikatem.

Obaj negocjatorzy uścisnęli się wśród całego tego piękna na ścianach. Yves Saulnier odszedł ze zdjęciami stanowiącymi jego gwarancję bezpieczeństwa, nie odwracając się ani na moment, ponieważ wiedział, że on i monsinior nie zobaczą się najprawdopodobniej przez najbliższe dwadzieścia lat. Tymczasem monsinior Gaus pozwolił sobie na słabość odprowadzenia go wzrokiem, aż zniknął za progiem. W milczeniu dokończył kawę.

\*\*\*

– Jeśli się nie mylę, monsiniorze, czternaście obrazów w tej wspaniałej kolekcji to czternaście oryginałów.

Pobladył monsinior, stojąc w drzwiach pinakoteki, patrzył na adwokata Lambertiniego w surowej czerni. Siedział w wygodnym fotelu, który parę dni temu służył monsiniorowi do kontemplowania *Filozofa*. Towarzyszył mu detektyw z papierosem w ustach, który mu pomagał dwa lata temu i który najwyraźniej nie wyleciał w powietrze w żadnym wybuchu w żadnym hotelu. Jakim cudem udało im się tu wejść? Jakim cudem dowiedzieli się o istnieniu jego pinakoteki?

Lambertini siedział ze spuszczonego wzrokiem i przysypiał jak zwykle. Z głębokości snu odezwał się: gdyby nie nieoceniona pomoc... – wskazał ręką detektywa – ...uszłoby mojej uwadze, że monsinior negocjuje szczegóły nie wiadomo kiedy, bez świadków, a efektem negocjacji jest oryginał dla monsiniora i znakomity falsyfikat w miejscu, gdzie powinien się znaleźć odzyskany obraz.

– Wszystko to... – monsinior objął całą kolekcję drżącą ręką – kopie.

– Gówny prawda, monsiniorze – usadził go Lambertini, nie podnosząc głosu, kulturalnym tonem, jak zwykle. Machnął ręką w stronę obrazów. – Czyż one istnieją tylko po to, by monsinior sam mógł je podziwiać? – Najwyraźniej trudno mu było opanować irytację. – Straciłem parę miesięcy, nim udało mi się udowodnić, że obrazy w Gallerie to falsyfikaty.

– Będzie pan łaskaw zostawić nas samych? – monsinior zwrócił się do judaszowego detektywa. I dodał z ironią: – Rozumiem, że na tym etapie znajomości doskonale pan wie, gdzie w tym domu szukać kawy.

Niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy Lambertini odprawił detektywa i tamten wyszedł.

Kiedy zostali sami, monsinior zajął miejsce w drugim fotelu.

– Porozmawiajmy o nagrodzie – zaryzykował, badając teren.

– Nie. Zadenuncjuję monsiniora, chyba że monsinior wcześniej mnie zamorduje.

– Nie jestem mordercą. Jaka jest pańska cena? Caravaggio? – W napięciu, ze ściśniętym sercem kontynuował: – Chce pan leonarda?

– Falsyfikaty są znakomite. Jak to możliwe, że żaden watykański ekspert



nie... – Zamilkł. Szeroko otworzył oczy z podziwem. – No jasne, to oni zrobili falsyfikaty...

– Puste gadanie. Niczego pan nie udowodni.

– Chcę rembrandta.

– Co?

Cisza. Cena już padła. Teraz jego ruch. Zagrał Królem.

– Nie.

Lambertini ustawił Czarną Damę w pozycji szach.

– Świetnie. Udamy się do włoskiego i watykańskiego wymiaru sprawiedliwości, żeby zadenuncjować wszystkie kradzieże i falsyfikaty. – Koń i wieża na swoim miejscu. – Prasa zrobi z tego aferę, monsiniorze.

Monsinior Gaus wziął drżącą ręką gońca z czarnego pola i ustawił go przed Królem, chroniąc w ten sposób przed atakiem perfidnej Czarnej Damy.

– Nie może mi pan tego zrobić, Lambertini.

Nie zwrócił uwagi na pozycję czarnej wieży i konia.

– Jak monsinior sobie życzy. – Adwokat wstał i łakomie przyglądał się wszystkim obrazom. – Idę do sądu. – Ruch głowy w kierunku mieszkania. – Mój współpracownik tu zostanie, żeby monsinior nie wpadł na jakiś głupi pomysł.

– Czemu mi pan to robi?

– Animam pro anima, oculum pro oculo, dentem pro dente<sup>[26]</sup> – wyrecytował Lambertini ponurym głosem.

– Nie rozumiem.

Lambertini włożył palec do ust i naciągnął policzek, by odsłonić szczękę. Pokazał dziurę między zębami. Jedyne, co przyszło do głowy monsiniorowi, to stwierdzenie, że Lambertini, uosobienie dobrego wychowania, demonstrował właśnie jakieś dziwne, wulgarne gesty, a to musiało oznaczać coś bardzo poważnego.

– Nadal nic z tego nie rozumiem.

– W Montescaglioso mówimy, że pokazać przeciwnikowi dziurę w zębie to okazać mu absolutną pogardę.

– Za co? Co ja panu zrobiłem? – Monsinior nie wiedział, którym pionkiem

zagrać.

– Monsinior wyrzucił adwokata Umberta de Lucę.

– Tak. Za niemoralność. A pan co ma z tym wspólnego...

– Skandal w prasie – kontynuował ponuro Lambertini. – Okrutne hipotezy na temat jego amantów... Umberto de Luca załamał się i myśli o samobójstwie. – Adwokat znów pokazał dziurę w uzębieniu. – Nie wyobraża sobie Monsinior, jak bardzo pana nienawidzę.

Monsinior Gaus wstał. Zaproponował rozsadę.

– Możemy negocjować.

Lambertini dokonał wysiłku, żeby się opanować, i dalszą rozmowę prowadził już swoim zwykłym, beznamiętnym tonem.

– Moim warunkiem w negocjacji jest Rembrandt – przedstawił swoje stanowisko.

– Pan nie potrafiłby docenić tego dzieła.

– Proszę nie wydawać pośpiesznych sądów. – Z kulturalnym uśmiechem dokończył: – Wiele się nauczyłem u boku Monsiniora.

– Pan...

– Proszę posłuchać... Zakładając, że nie chodzi o docenianie tego dzieła... sam fakt, że znamy jego wartość na czarnym rynku, czyni je bardzo atrakcyjnym dla Umberta i dla mnie.

Monsinior podszedł bliżej do obrazu, gotów własnym ciałem odeprzeć atak Damy, skoczka, jednej, a teraz jeszcze drugiej wieży z czarnej ekipy.

– Szach-mat – powiedział miłym głosem adwokat Lambertini. Dał znak Monsiniorowi, żeby się usunął. – Chcę Rembrandta, nic innego. – Z lekkim ukłonem dodał: – Przeciwnika nie należy trzymać za gardło, jeśli chcesz, żeby uciekł i nie zranił cię, kiedy będzie się wrywał.

– Nie zamierzam uciekać.

– Tak się mówi. Mam nadzieję, że od jutra nadal będziemy współpracować owocnie i bez wzajemnych uraz.

\*\*\*

Fotel stał tam, gdzie go zostawił Lambertini. Monsinior usiadł sposepniały. Po

chwili podniósł głowę: to puste miejsce, na które patrzył, było gorsze niż cios w zęby. *Filozof* nie zdążył jeszcze zaznaczyć śladu swojej obecności na ścianie. Ale monsinior już zrozumiał głęboki smutek, jaki wywołuje podziwianie nieobecnego obrazu. Nie miał zamiaru zaakceptować tej nieobecności w swoim życiu. Dotknął osieroconej ściany, pogrążony w rozpacz. Poszedł do kuchni, zrobił sobie kawę i z już szóstą w tym dniu aromatyczną filiżanką w dłoni wyciągnął mały notes z zastrzeżonymi numerami i sięgnął po telefon. Czekał cierpliwie, aż ktoś odbierze. Po dłuższej chwili odezwał się w słuchawce szorstki głos.

– Chcę rozmawiać z panem Grossmannem – powiedział monsinior.

XIV

WINTERREISE [\[27\]](#)

*Idę po śniegu, boso, z gołą głową.*

AUSIÀS MARCH

Zoltán Wesselényi otworzył parasol, żeby się uchronić przed deszczem. W pustej alei wyraźnie odbijały się jego kroki. Wsłuchiwał się w delikatny szum, jakby to nie deszcz, a łzy spływały na parasol. Od razu przypomniało o sobie lumbago, jak prawie zawsze, kiedy było bardzo wilgotno. Wiedział, że nikogo tam nie zastanie, a mimo to szedł przed siebie, nie tracąc czasu, bo nie lubił się spóźniać. Ale skoro wiedział, że nikogo tam nie będzie, czemu bijące coraz szybciej serce nie przyjmowało tego do wiadomości?

Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat odczuwał pokusę złożenia tej wizyty ze dwanaście razy, ale nigdy nie starczało mu odwagi. Wiedział, że w pobliżu grobu Schuberta znajdzie tylko Japończyków, którzy się fotografują po dziesięciu na raz przy pomniku Mozarta, filmują kamerą otoczenie i biegną dalej, ponaglani przez przewodnika, bo na siódmą mają zamówiony bigos. Nie wiedzą, że tuż za Beethovenem leży Wolf i trochę dalej, w sąsiedztwie Straussa, został pochowany Schönberg.

Kiedy już dotarł na wysokość grobu Alojzego Liechtensteina, serce biło mu jak szalone, i to bynajmniej nie z powodu szybkiego marszu, ale dlatego, że istniało pewne niewielkie prawdopodobieństwo, że właśnie dociera do kresu dalekiej podróży przez pustynię beznadziei. Zanim zdecydował się skierować wzrok w to konkretne miejsce, przez parę sekund wstrzymywał oddech, żeby wyrównać puls. Deszcz przybierał na sile, jakby pogoda chciała zaznaczyć swoją obecność w tym szczególnym wydarzeniu. Dopiero wtedy Zoltán Wesselényi skierował wzrok na grób Schuberta i zdziwił się, że nie ma koloru sepii, z którym go kojarzył na podstawie zdjęć.

\*\*\*

Po raz pierwszy w życiu płakał wzruszony przeżyciem artystycznym; owszem,

był wrażliwy, ale nie wierzył, że tak silna reakcja emocjonalna jest możliwa. Jednak słuchanie Margherity śpiewającej *Gute Nacht* czystym, krystalicznym głosem, poruszyło go do głębi. Nie wiedział, że ona już w pierwszych wersach zapowiada to, co miało się wydarzyć:

Jako obcy tu przybyłem  
i odchodzę jak ktoś obcy.<sup>[28]</sup>

Ale mimo że słowa artykułowała bardzo wyraźnie, w jego mózgu nie włączył się alarm. Może dlatego, że zawsze słyszał tę pieśń w wykonaniu barytona, a Margherita śpiewała krystalicznym sopranem. A może też dlatego, że był szczęśliwy, oboje byli szczęśliwi, siedząc w pełnym słońcu – on na kamiennej ławce, ona na ziemi, z głową na kolanach Zoltána, i śpiewała tak dobitnie, jakby chciała mu coś przekazać:

Twego snu ranić nie będę,  
spoczynku ci nie zakłóczę,  
cichutko do drzwi podejdem,  
delikatnie klucz obrócę,  
„Dobranoc” u drzwi napiszę.  
Niech świadczy to słowo skromne,  
że odchodząc w zimną ciszę,  
pamiętam i nie zapomnę.

Jeszcze długo milczeli. On nadal płakał, w ciszy, bez hysterii. Za ich plecami przemknął stróż cmentarza, dyskretnie, z szacunkiem; spojrzął na nich, chyba z zazdrością, i poszedł dalej swoją drogą. Nie nadeszły jeszcze czasy głośnych turystów w dresach, żujących gumę i depczących chryzantemy.

– Masz głos najpiękniejszy na świecie, w życiu czegoś tak pięknego nie słyszałem.

Milczała i patrzyła w dal szarym spojrzeniem, jakby chciała przeniknąć to, co niemożliwe. Nalegał:

– Czy ty mnie słuchasz?

– Tak.

– Wszyscy będą chcieli cię podziwiać, a ja im każę czekać w kolejce długiej aż do końca ulicy.

Odwróciła się i popatrzyła na niego, chyba ze smutkiem. Wtedy do Zoltána dotarło, że dzieje się coś złego.

– Co ci jest, Margit?

Jeszcze miał w uszach echo *Gute Nacht*, kiedy Margherita powiedziała, że musi wyjechać z Wiednia, że o trzeciej odchodzi jej pociąg, że nie chce pożegnania na dworcu, bo to ponad jej siły. I jeszcze wyrzuciła z siebie przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam, właśnie tak, jakby usłyszał serię z karabinu maszynowego. I dodała pożegnajmy się tutaj, Zoltanie. On szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego. Od dwudziestu ośmiu dni żył pod kloszem, jak we śnie, i był tak głupi, że nie przyszło mu do głowy, że klosz marzeń zawsze w końcu eksploduje tysiącem rozczarowań. Dwadzieścia osiem dni, liczonych każdy z osobna, od kiedy się poznali na niedzielnym koncercie, wieczorem, koło ratusza. Ona właśnie przyjechała do Wiednia, sama, spojrzeniem szarych oczu przenikając to, co niemożliwe, ze słodkim śmiechem. On spędził tu już trzy miesiące, tęsknił za Pesztem i od razu zakochał się w tym głosie, kiedy usłyszał pytanie, czy krzesło obok jest wolne. Nie pamięta, jaki był program, ale zdążył się dowiedzieć, że Margherita jest wenecką, że nie, jeszcze nie zardzewiała, mimo wilgoci panującej w Wenecji, że chce się zapisać na kurs śpiewu w Hochschule, ale trudno tam się dostać, i jeżeli się nie uda, to po prostu wróci do domu, że ma dwadzieścia dwa lata, że nie lubi dorsza, ani surowego, ani gotowanego, ani suszonego, w ogóle żadnego, że oczywiście zna *Sotto il Ponte di Rialto*, ale bardzo jej przykro, nienawidzi tego mostu, bo nie cierpi turystów, że w Wiedniu czuje się samotna, to może... moooże tak, on też jej się podoba. Aż go zatkało; nieśmiało odpowiadał na pytania dziewczyny, która wyglądała, jakby dopiero co wyszła z pociągu, i powiedział, że tak, że on również, że dwadzieścia sześć lat, fortepian, dyrygentura i język niemiecki, tak, odpowiednik dziesiątej klasy fortepianu, że odległość z Budapesztu do Wiednia mierzy się ilością dokumentów, paszportów i wiz, a to tylko cztery godziny z biegiem Dunaju, ale te cztery godziny wystarczały, żeby czuł się bardzo samotny, że Mintha

szivemből folyt volna tova, / zavaros, bölcs és nagy volt a Duna<sup>[29]</sup>, że tak, wszyscy cudzoziemcy twierdzą, że węgierski jest trudny, ale w Peszcie, Fonyódzie czy w Egerze władają nim nawet dzieci i analfabeci. Tak, Duna to Dunaj po węgiersku. Że Dunaj to rzeka, która spośród wszystkich na świecie najczęściej zmienia nazwę, jak życie kocham, że tak, miał zwyczaj powoływać się na życie, kiedy sprawa była poważna, och, nie, skądże, mój niemiecki jest bardzo niedoskonały, dopiero się uczę. Nie, nie znam włoskiego, bardzo mi przykro. Kiedy skończył się koncert, powiedziała no dobrze, było mi bardzo miło, na co on, że w żadnym razie, że czuje niedosyt, a ona się broniła, lepiej nie, każdy w swoją stronę. Ale Zoltán nie dał się zbyć i powiedział wykluczone, a ona spojrzała w nieskończoność szarymi oczami i powiedziała, nie patrząc na niego, ty mnie w ogóle nie znasz, na co on odpowiedział znam cię od zawsze. Od tego momentu byli nierozłączni. W ciągu dwudziestu ośmiu dni rozstawali się tylko wtedy, kiedy on odprowadzał ją pod drzwi Hochschule i biegł co tchu do Konservatorium, gdzie słyszał, że musi poświęcić na naukę trzydzieści godzin dziennie, na sam fortepian, żeby dorównać najlepszym, a tylko tacy liczyli się w Konservatorium. I Zoltán przestał się czuć smutny i samotny, bo spacerował po Schubertring albo po Stadtpark ze szczęściem pod rękę; spacerowali to tu, to tam, a on zastanawiał się, jak to możliwe, że życie może być tak radosne, natomiast Margherita w milczeniu patrzyła w drugą stronę, przenikała to, co niemożliwe, spojrzeniem szarych oczu, i jeśli czuła, że jest obserwowana, uśmiechała się łagodnie. On zaniedbał lekcje niemieckiego, ponieważ potrzebował całej energii, którą zaoszczędził na skutecznych negocjacjach z wymaganiami fortepianu, żeby oddychać i nie zachłysnąć się nadmiarem radości. A tego właśnie dwudziestego ósmego dnia mieli pójść zwiedzić Zentralfriedhof, gdzie podobno są pochowani Beethoven, Brahms i cała reszta. W tramwaju, którym jechali na cmentarz, ona milczała, jakby nieobecna duchem, patrzyła przez okno i trzymała go za rękę. Pierwszy raz się zdarzyło, że nie miała ochoty rozmawiać, jakby nagle wydorosła. Jej spojrzenie już sięgało nieskończoności.

A teraz on, szeroko otwierając oczy ze zdumienia, siedział na kamiennej ławce, po wysłuchaniu, jak najpiękniejszy na świecie głos śpiewa o nieszczęśliwej miłości, i patrzył na klosz marzeń rozbity w pył, dlaczego, Margit, dlaczego? A ona mu wyjaśniła, spokojnie, niemal z rezygnacją, że nie



przyjechała do Wiednia studiować, tylko żeby sobie coś przemyśleć, bo nie byłam pewna, czy chcę wyjść za mąż.

– Ty masz wyjść za mąż? Ty?

– Za dwa tygodnie.

– Za kogo?

– Za tego, kto zostanie moim mężem.

– To ty masz...? – Zoltán ciągle nie mógł ochłonąć. – Ale przecież mnie kochasz!

– Tak. Jego też. Muszę za niego wyjść. – Zawahała się i powiedziała: – Wreszcie to zrozumiałam. – I po pełnej napięcia przerwie dodała: – Przepraszam.

Tym razem to czarne spojrzenie Zoltána sięgnęło głębi nieskończoności. Nie wypominał jej, czemu dała mu fałszywą nadzieję, bo za nic w świecie nie chciał stracić tych dwudziestu ośmiu dni czarownego snu.

– Mylisz się, Margit.

– Nie. Wiem, co robię. – Spojrzała mu w oczy i położyła dłoń na jego kolanie. – Wiem, sprawiłam ci przykrość. Ale ja...

Zoltán przerwał jej, kładąc palec na ustach. Siedzieli w ciszy tak długo, aż pomnik Mozarta przestał rzucać na nich cień. Nagle fortepian i dyrygentura przestały mieć znaczenie, a Peszt już nie był miejscem, za którym się tęskni. Nagle to Wiedeń stał się miastem tęsknoty, bo od trzeciej po południu nie będzie w nim Margit i posmutnieje nieśmiałe grudniowe światło, a ulice stracą sens, kiedy zatrze się na nich ślad kroków jego ukochanej. Kiedy przesunął się cień pomnika, Zoltán powiedział ochrypłym głosem:

– Nigdy więcej się nie zobaczymy.

– Nie.

– Gdzie będziesz mieszkać?

– Nie wiem. W Wenecji. A ty?

– W Wiedniu nie wytrzymam.

– Wróć do Budapesztu. – Natychmiast się poprawiła: – No... Zrób to, co twoim zdaniem powinieneś zrobić...

Zoltán ukrył twarz w dłoniach i płakał jak dziecko. Ona nie reagowała przez

kilka minut, jakby mieli do dyspozycji mnóstwo czasu, mimo że spieszyła się na pociąg, i patrzyła na obłoczek pary wydychanej przez Zoltána. Podniósł głowę i jeszcze raz spróbował:

– Zgoda. Ale przecież nie możesz wiedzieć, czy nie popełniasz błędu, wychodząc za mąż za kogoś tam.

– Nie: tego nie wiemy, dopóki nie jest za późno.

– W takim razie obiecaj mi coś.

– Co takiego? – Margherita była nieufna.

– Jeżeli nie wszystko będzie po twojej myśli... ja zostawię ci adres, żebyś...

– Nie. – Nie pozwoliła mu dokończyć. – Nie chcę oszukiwać swojego mężczyzny.

– Ja jestem twoim mężczyzną!

– Nie chcę nikogo oszukiwać.

– Ale mnie oszukałaś! – Nie patrząc w jej stronę: – Co robiłaś przez te wszystkie dni w Hochschule?

– Wchodziłam jednymi drzwiami i wychodziłam drugimi. – Odpowiedziała, nie zastanawiając się nad odpowiedzią, ale po głosie dało się wyczuć, że nie jest z siebie dumna.

– A później?

– Spacerowałam. Rozmyślałam. Czekałam na ciebie.

Zoltán wzniosł oczy do nieba, nie wierząc własnym uszom, i powiedział nie powinnaś była mnie okłamywać, na co ona nie zareagowała, tym samym przyznając mu rację. Słońce, zasmucone złymi wieściami, wycofało się dyskretnie za gęstą kurtynę białych chmur, a cień pomnika rozpląnął się. Nie zwrócili na to uwagi.

– W takim razie obiecaj mi coś innego.

Popatrzyła na niego zaintrygowana i czekała, co powie.

– Obiecaj mi, że... za dwadzieścia pięć lat – spojrzął na zegarek – tego samego dnia, trzynastego grudnia, o dwunastej w południe... spotkamy się przed grobem Schuberta.

– Po co?

– Po dwudziestu pięciu latach już będzie po wszystkim. Ale jeśli będziemy

jeszcze żyli, będziemy mogli sobie powiedzieć, czy się pomyliliśmy, czy nie.

Zastanawiała się przez chwilę i wreszcie westchnęła.

– Spotkać się, żeby sobie powiedzieć, czy się pomyliliśmy, czy nie... –  
Uśmiechnęła się, myślami krążąc gdzieś daleko. – Dobrze – zgodziła się.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Przysięgnij.

– Przysięgam.

Zdawali sobie sprawę, że nie zostało już nic do dodania. Wszystko się skończyło, życie się skończyło. Wracali do Wiednia siedemdziesiątką w coraz głębszym milczeniu. Chmury, które w tym momencie pojawiły się na niebie, zapowiadały pierwszą śnieżycę, na którą wiedeńczycy już czekali, i przechodnie poruszali się powoli, kątem oka zerkając w górę. Margherita wysiadła w ciszy, nie oglądając się za siebie, a chociaż już dojechali do pętli, Zoltán nadal siedział w tramwaju i patrzył przez okno, jak się oddala, bosy, po śniegu, taszcząc katarynkę, z pustym talerzykiem na jałmużnę, samotna i smutna jak on<sup>[30]</sup>.

\*\*\*

Deszcz rozpadał się na dobre nad wiedeńskim Zentralfriedhof i stukał w parasol Zoltána. Zoltán stał nieruchomo i patrzył przed siebie. Przy grobie Schuberta nie było nikogo. A ty czego się spodziewałeś, że znajdzie się na świecie jakiś dureń gotów spełnić przysięgę złożoną dwadzieścia pięć lat temu? A jeśli już nie żyje? A jeśli wyprowadziła się do Kanady? Zoltán nie chciał przyznać się przed sobą, że największą panikę wywoływała w nim myśl, że nie przyszła dlatego, że po prostu zapomniała. Wiedział, że najbardziej boli śmierć przez zapomnienie.

Podszedł do grobu. Bukiet czerwonych róż, zniszczonych przez śnieg i wiatr, wprowadzał delikatny akcent kolorystyczny na tle pociemniałego kamienia. Plamki starego śniegu roztapiały się w deszczu, który łagodził przenikliwy chłód. Prawdziwa zima dopiero miała nadejść. Spóźniała się jak nigdy dotąd. Jak twierdzili meteorolodzy, ostatnia tak ciepła zima zdarzyła się ćwierć wieku temu.

Anna nie żyła od pięciu lat, a on w tym czasie ani razu nie odwiedził jej grobu. Biedna Anna, skąd mogła wiedzieć, że mimo jej czulej miłości obsesyjne spojrzenie Zoltána przechodziło ponad jej głową i kierowało się ku najdroższemu wspomnieniu Margit, kobiety, której nie potrafił wyrwać z serca, bo wystarczyło dwadzieścia osiem dni, aby miłość do utraty tchu zapuściła w nim korzenie.

Zoltán Wesselényi nie zdołał wyjechać z Wiednia, kiedy Margit zniknęła. Wynajął mieszkanie w Donaustadt, blisko Dunaju, żeby płakać, patrząc, jak Donau toczy wody, by za chwilę przemienić się w Dunę, i odbył kilka całkiem przyzwoitych recitali w Konservatorium; zawarł obiecujące przyjaźnie z kilkoma kolegami, zwłaszcza z najmłodszym z jego kursu, urodzonym wirtuozem, niez mordowanym pianistą, który nigdy nie popełnił żadnego błędu, zawsze był czujny, z błyskiem w oku, trochę rozchwiany emocjonalnie, i mówił do niego Peter, uważaj, muzyka ma nas uszczęśliwiać. Jeżeli odbiera ci szczęście, daj sobie z nią spokój. A Peter wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, i nie wziął sobie do serca rady, lecz uznał go za tchórza, tak jak pozostali koledzy, gdy Zoltán postanowił porzucić klasę fortepianu, dokładnie w tym samym dniu, kiedy Herr Reubke zdecydował, że jeżeli będzie robił postępy w takim tempie, gotów jest przyjąć go do swojej klasy w przyszłym roku. Ale cierpienie usztywniało jego palce i wyjałowiało duszę, a wysiłek wkładany w ćwiczenie wyczerpywał go ponad miarę. Żeby całkiem się nie pogrążyć w rozpacz, nie zrezygnował z klasy dyrygentury, chociaż zdawał sobie sprawę, że już utracił ten błysk w oku, z którego biorą się najpiękniejsze, najbardziej precyzyjne gesty i umiejętność ogarnięcia jednym spojrzeniem całej partytury. Chodził na zajęcia, ale bez przekonania, ożywiał się tylko na przedmiotach z muzykologii, które pozwalały mu zakopać się w starych papierach, powstałych wieki temu, nim pojawiła się Margit, co było rodzajem ucieczki, bez konieczności powrotu do Pesztu, z pustymi rękami i utraconą nadzieją. Utrzymywał się z pracy akompaniatora, zatrudniony w podrzędnym teatrze operowym w Stockerau, gdzie Anna wówczas pracowała w administracji; ożenił się z nią i nie przestał myśleć o Margit ani przez chwilę.

- Zawsze jesteś smutny.
- To przez Dunaj. Kiedy patrzę, jak płynie, ogarnia mnie melancholia.
- Jedźmy do Budapesztu. Twoja matka się ucieszy.

– Nie. Już tam spędziliśmy Boże Narodzenie. Nie chcę jej robić fałszywych nadziei.

– No to przeprowadźmy się.

– Nie. Chcę oglądać Dunaj z balkonu.

– O czym myślisz?

Biedna Anna. Za każdym razem, kiedy go o to pytała, brakło mu odwagi, żeby się przyznać, że myślał o kobiecie, wyimaginowanej, a zarazem prawdziwej. Wolał milczeć i dusić smutek w sobie, jak długo się da. Tymczasem Anna niepokoiła się przygnębieniem męża, nie miało ono przecież żadnych widocznych przyczyn. Po latach do zajęcia akompaniatora doszła jeszcze praca asystenta dokumentalisty profesora Bauera z wiedeńskiego Institut für Musikwissenschaft i Zoltán w sumie zarabiał niezły grosz, którego nie miał na co wydawać.

On był zniechęcony życiem, ale to Anna nagle zmarła. Ta, która zawsze była pełna energii, która nigdy nie chorowała, gotowa pracować do upadłego, żeby wszystko grało. Pewnego dnia rozboleła ją głowa, bardzo mnie boli, Zoltán, świat rozmazuje mi się przed oczami, a w szpitalu uspokajali ich, za bardzo uspokajali, że to nic takiego, nie patrząc im w oczy i nie wyjaśniając, z jakiego powodu nie wypuszczają jej do domu. Już stamtąd nie wyszła, biedna Anna, zapłakałem po niej tylko raz. To była szybka agonia, jakby nie chciała przeszkadzać tym, którzy zostawali, aby żyć w smutku; dyskretne zejście ze sceny kobiety, która go kochała i szanowała jego tajemnicze cierpienie, nie domagając się wyjaśnień, które byłyby zbyt skomplikowane czy wręcz niemożliwe.

Po śmierci żony Zoltán nigdy nie odwiedził jej grobu. Nadal patrzył na Dunaj z balkonu, z fajką w ręce i wspomnieniem Margit przyćmionym głębokim poczuciem winy, ponieważ w ciągu piętnastu lat małżeństwa nigdy się nie uśmiechnął ani nie przemógł się, by się roześmiać, i może brak wesołości w domu przyczynił się do zakorkowania mózgu Anny, która przez tyle lat próbowała udawać, że życie jest piękne, że nic złego się nie dzieje, że pewnego dnia Zoltán wyleczy się z nie wiadomo czego i wszystko się zmieni na lepsze, będziemy spacerować po Praterze, pojedziemy do Heiligenstadt zobaczyć ładne domy, będziemy udawać, że mieszkamy w jednym z nich i pójdziemy na lody czekoladowe do Graben, tak jak wszyscy.

Po śmierci Anny, która zbiegła się z odejściem na emeryturę profesora Bauera, Zoltán Wesselényi kompletnie poświęcił się badaniom naukowym, żeby już całkiem zapomnieć o Margit i o tym nonsensownym spotkaniu po tylu latach, które nie pozwalało ranom się zabiżnić. Poza tym miał już szczerze dość akompaniowania śpiewakom drugiej kategorii, którzy przejmowali się wyłącznie zapaleniem gardła, którzy go nie dostrzegali ani nie mówili dziękuję, bo pianista akompaniator jest tylko dodatkiem do instrumentu w trakcie prób, zawsze powinien być zwarty i gotowy i nie powinien mieć prywatnych problemów, skrytych marzeń ani naturalnych potrzeb. Miał już powyżej uszu powtarzania tysiące razy tego samego fragmentu. Dostawał mdłości na widok ścian pomalowanych na zgniłozielony kolor w sali prób, gdzie siedział zgarbiony sześć godzin dziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel, kiedy były występy. Miał powyżej uszu traktowania muzyki jako aktywności równie smutnej jak on sam i rzucił teatrzyk, nie oglądając się za siebie, podobnie jak Margit postąpiła z nim. Już po paru latach pełnego zaangażowania w pracę naukową udało mu się otoczyć wspomnienia delikatną zasłoną znieczulającą i dwukrotnie uśmiechnęło się do niego szczęście w badaniach, co zapewniło mu uznanie, jakim obecnie cieszy się wśród muzykologów. Zawdzięczał je dwóm odkryciom, których dokonał, nie ruszając się z Musikwissenschaftszentrum w mieście Wiedniu. Pewnego popołudnia, kiedy lało jak z cebra, przeglądał stos dokumentów z początku wieku i znalazł wyblakłe, ale czytelne nuty nieznanej pieśni Schuberta, zapisanej własnoręcznie przez kompozytora. Pieśń nosiła tytuł *Der Mauersegler*<sup>[31]</sup>, datowana na 1820 rok. Nutom towarzyszyła adnotacja niejakiego Mattiasa Holbeina, karczmarza z Grinzingu, zaświadczał w niej, iż otrzymał ten rękopis jako zapłatę za szaloną noc, którą anielski Schubert spędził w jego lokalu w towarzystwie pewnej egzaltowanej anonimowej pani. I że kompozycja powstała w jego obecności, w ciągu zaledwie godziny, następnego ranka po zabawie, kiedy muzyk zorientował się, że ma pustki w kieszeni. Dwadzieścia lat później Herr Mattias przekazał rękopis miastu Wiedeń w zamian za pewną bliżej niesprecyzowaną rekompensatę, za pośrednictwem nieodpowiedzialnych urzędników ratusza. Dokument zawieruszył się wśród innych papierzyk, bez wątpienia po to, by przyczynić się do ugruntowania prestiżu pewnego smutnego węgierskiego muzykologa półtora wieku później, któregoś popołudnia, kiedy lało jak z cebra. Drugie odkrycie, całkiem świeże, stało się jeszcze bardziej doniosłe dla świata, ponieważ zmusiło do rewizji

poglądów w zakresie muzycznej historiografii. Wśród papierów, które organista Kaspar Fischer zostawił w spadku miastu Wiedeń, a zmarł w bardzo podeszłym wieku, w 1828 roku, znalazł się osobiście przez niego wykaligrafowany zapis nutowy własnej kompozycji, diabolicznego *Contrapunctum*, na niewiarygodny temat si bemol, la, re bemol, si, do. Kompozycja składająca się z siedmiu wariacji, których punkt wyjścia stanowił ten temat, była kanoniczna, kompletna, inteligentna, pomysłowa, z dużą siłą liryczną i pewnością siebie właściwą wielkim mistrzom i oswajała słuchacza z językiem dodekafonicznym, na osiemdziesiąt lat przed tym, nim Schönbergowi zaświtał ten pomysł. To genialne dzieło Kaspara Fischera, skromnego organisty z Lipska, który przez czterdzieści lat grał w Franziskanerkirche w Wiedniu i który, o ile wiadomo, niczego innego nie skomponował, zapewniało swemu twórcy miejsce wśród natchnionych, proroków i geniuszy, którzy w każdej sztuce muszą się pojawić od czasu do czasu, i już na zawsze ocaliło go od jakże niesprawiedliwego zapomnienia. I opromieniał Zoltána Wesselényiego prestiżem profesjonalisty, na czym mu tak naprawdę nie zależało. Szkoda, że Anna tego nie doczekała. Po raz kolejny los się do niego uśmiechnął, przerywając mu jego codzienną modlitwę, polegającą na ustawianiu tematu Fischera si.b, la, re.b, si, do w porządku BADESHC, który sam w sobie nic nie znaczył: układał różne anagramy z nut, aż osiągnął porządek b, a, des, h, c. Nie zdążył podporządkować liter tej kombinacji dźwięków, ponieważ telefon odciągnął go od owego frapującego zajęcia. Telefon zawiadamiał głosem Herr Kreutza o szczęśliwym zbiegu okoliczności: antykwariusz zdobył dla niego egzemplarz pierwszego, nieosiągalnego wydania *Podróży zimowej* Laforgue'a. Oczywiście nabył go bez targowania się i kiedy kartkował książkę zaintrygowany, czy znajdzie jakąkolwiek wzmiankę, choćby na marginesie, o nieopublikowanej pieśni o języku, natknął się na coś w rodzaju zakładki z wytartej skóry, może nawet tak starej jak książka, w trudnym do zidentyfikowania burym kolorze, na której była wytłoczona jakaś zoomorficzna postać. Zakładkę umieszczono dokładnie tam, gdzie znajdowało się zdjęcie w kolorze sepia przedstawiające grób Schuberta. Natychmiast zasłona znieczulająca opadła i mimo woli osaczyły go wszystkie wspomnienia. Na fotografii uwiecznionych zostało kilka osób: w centrum Gaston Laforgue, sztywny, jakby kij połknął, prawie zasłaniający pomnik, wpatrywał się w obiektyw z takim zaangażowaniem, jak gdyby to była sprawa życia i śmierci. Obok niego wydawca, pan Schaaff,

trzymający go pod rękę; dwóch innych mężczyzn, o których nie wiadomo nic konkretnego, skupionych na wskazówkach udzielanych przez fotografa, i jeszcze jakaś dama, odwrócona bokiem, krążąca myślami gdzieś daleko, pewnie zakochana. Spojrzał na pomnik i oczyma wyobraźni zobaczył twarz Margit. Zostało jeszcze sześć lat, Margit, gdziekolwiek jesteś. Przez chwilę pomyślał, że kobieta zatopiona w marzeniach nie należała do grupy przyjaciół Laforgue'a, że to musiała być Margit, która jego szukała, właśnie jego, w umówionym miejscu, sześćdziesiąt lat przedtem, zanim się poznali.

Miesiące płynęły wolno, jeden za drugim, bezbarwne, bezsensowne, i uznany muzykolog obojętnie przyjmował pochwały, nagrody, wyróżnienia, podziw kolegów oraz wśród podróży, uroczystości na jego cześć i konferencji, których unikał, kiedy tylko mógł. On, który nie potrafił zapomnieć, spędzał czas, ocalając innych od zapomnienia. Najbardziej lubił siedzieć przy oknie, czy padał deszcz czy śnieg, czy opadały liście, czy świeciło słońce, i denerwował się, zniecierpliwiony, że czas tak wolno płynie. Parę razy odwiedził go Peter. Wśród archiwaliów i partytur rozmawiali o muzyce, o jego odkryciach i wtedy Zoltán pytał go, jak mu się żyje ze świadomością, że zawsze musi być perfekcyjny na scenie, a Pere Bros, nie chcąc wchodzić w szczegóły, odpowiadał wymijająco no wiesz, dobrze, i tu kończyły się bezpieczne tematy, bo wstydzili się przyznać, jeden, czemu żyje w takim napięciu; drugi, czemu jest taki smutny. Ale ponieważ Zoltán był starszy, pewnego dnia przełamał się i zapytał Peter, jesteś szczęśliwy? na co tamten odpowiedział ależ tak, oczywiście, i dla Zoltána było jasne jak słońce, że to kłamstwo. Dlatego pozwolił sobie na komentarz, że jeżeli któregoś dnia muzyka przestanie cię uszczęśliwiać... możemy o tym porozmawiać. Jeśli chcesz. A kiedy to mówił, myślał o pięknym głosie Margit.

\*\*\*

Zoltán ściągnął rękawiczkę, przysiadł na ławce i położył dłoń na miejscu obok, na mokrym kamieniu. Tak jakby spodziewał się wyczuć na nim ciepło pozostawione przez Margit dwadzieścia pięć lat temu. Na grobie Beethovena nie było kwiatów. Przed grobem Brahmsa, w samotnej doniczce, pysznił się dumnie cyklamen. Kto przynosił kwiaty na cudze groby? A gdyby tak ktoś, przez wszystkie te lata, nosił kwiaty na grób Anny? Podszedł bliżej nagrobka



Schuberta, żeby przeczytać napis na cokole. Wtedy zorientował się, że to niemożliwe, bo ma oczy pełne łez. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że płakał, od kiedy tylko stwierdził, że ona nie przyszła. Pomyślał: „Próżno na śniegu zmrożonym chcę odnaleźć ślady twoje, gdzieśmy po łąkach zielonych kiedyś bładzili we dwoje”<sup>[32]</sup>. Gdyby o tym wiedział, zaśpiewałby z głębi serca:

Czy braknie pamiątki skromnej,  
którą mógłbym zabrać stąd?  
Co mi ją zatem przypomni,  
gdy mój ból postrada głos?

...on, w odróżnieniu od Margit, dysponował barytonem, ale nie umiał natchnąć pieśni życiem, tak jak ona.

Pieśń się skończyła i wtedy uświadomił sobie, że nie słyszy już kropeł deszczu na parasolu. Krople jeszcze spadały z mokrych drzew, z chmur nie. Rozejrzał się – deszcz siąpił już tylko z jego oczu. Złożył niepotrzebny parasol. Przez mgłę łez trudno mu było odcyfrować inskrypcję na nagrobku. Przetarł oczy chusteczką i kiedy się pochylił, poczuł ukłucie lumbago. W tym samym momencie dotarł do jego uszu ten dźwięk. Ale był skupiony na czym innym – zakładał okulary, żeby przeczytać napis na dole pomnika. Dźwięk stawał się coraz bardziej natarczywy. Zoltán, z okularami na nosie, odwrócił się niezadowolony, że ktoś mu zakłóca tak intymną chwilę. Jakaś siwowłosa kobieta w okropnym żółtym płaszczu nieprzemakalnym manewrowała wózkiem inwalidzkim wyposażonym w bezszelestnie działający silnik, aż ustawiła się dokładnie za nim, jak ktoś, kto zajmuje miejsce w kolejce. Na kolanach miała bukiet białych goździków. Zoltán wrócił do inskrypcji, z pochyloną głową i podbródkiem wysuniętym do przodu, przeczytał SEINEM ANDENKEN DER WIENER MÄNNERGESANGVEREIN<sup>[33]</sup> i otworzył usta ze zdziwienia. Wyprostował się i odwrócił, ciągle z otwartymi ustami.

– Zoltán – przywitała go kobieta w żółtym płaszczu.

Siwe włosy, szare przenikliwe spojrzenie, jasna skóra, Margit, kochana, najdroższa, już myślałem, że nie przyjdiesz, jak szybko minęło dwadzieścia pięć lat, skoro znów jesteśmy razem, jakby nic się nie wydarzyło.

Zoltán, nadal z otwartymi ustami, zdjął z nosa okulary.

– Margit. – Podeszedł bliżej i pochylił się w jej stronę. – Margit – powtórzył, jakby jeszcze nie mógł uwierzyć w cud.

Nie złożyli żadnych goździków na żadnym grobie. Ona przemieściła się z wózkiem w stronę kamiennej ławki, a on poszedł za nią, nie mogąc złapać tchu. Przysiadł na mokrym kamieniu i długo milczeli, tak jakby oboje musieli naładować baterie wspomnień.

– Ja faktycznie się pomyliłam – odezwała się po upływie całych wieków milczenia.

– Tak właśnie myślałem.

Nie patrzyli sobie w oczy, bo bali się subtelnego, lecz zarazem dojmującego bólu, jaki potrafi zadać spojrzenie.

– A ty? Co robiłeś przez cały ten czas?

– Chodziłem wcześniej spać. – Zoltán schował okulary do etui, a etui do płaszcza, niespiesznymi gestami.

– Byłeś szczęśliwy?

– Nie. Zostawiłaś mnie, co miałem robić. Ożeniłem się. Moja żona już nie żyje, a mnie jest żal, że nie potrafiłem dać jej choć trochę radości.

Margherita podała mu biały goździk, jakby w ten sposób chciała go pocieszyć w smutku.

– Biedna kobieta – westchnęła.

Oboje zamilkli. Pomnik Mozarta nie mógł im zaoferować choćby odrobiny cienia, który by ułatwił mierzenie upływającego czasu.

– A ty?

– Rozstaliśmy się po dwóch latach.

Teraz on przyglądał się jej ukradkiem, niespokojny, zaskoczony.

– Dlaczego mnie nie szukałaś? – zareagował spontanicznie.

– Szukałam. Ale nie wiedziałam gdzie. Nawet pojechałam do Budapesztu, w dół rzeki, jak mówiłeś. – Margherita patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami, nie zwracając uwagi na groby, skupiona na własnej historii. – Niby jak miałam cię odnaleźć, skoro nie znam nawet twojego nazwiska? A w akademii Liszta w Peszcie wszyscy mają na imię Zoltán.

– Niewiarygodne. – Zoltán cichym głosem wyraził swoją rozpacz.

– Ani śladu. Nic. Więc zamieszkałam tutaj, żeby być blisko... wspomnienia o tobie. Gdzie mieszkasz?

– Ty cały czas tu mieszkałaś? – zawołał, dotknięty do żywego.

Dopiero teraz Zoltán spojrzał jej prosto w twarz. Szare oczy zraniły go i przekonał się, że to spojrzenie może zadać przeszywający ból.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat. Zrezygnowałam ze śpiewu, z muzyki i wszystkiego, co się z tym wiąże, ponieważ...

– Mieszkałaś w Wiedniu przez ostatnie dwadzieścia lat? – przerwał jej.

– W Heiligenstadt. Myśląc o tobie.

Zoltán zerwał się, wzburzony, nie wierząc własnym uszom. Usiadł na ławce.

– W Heiligenstadt – powtórzył, jakby chciał się upewnić.

– Tak.

– W jednym z tych ładnych domków. – Kręcił głową, zaskoczony. – A Anna namawiała mnie... – Znów pokręcił głową, jakby chciał się wycofać, nie, już nic, będę milczał, poddaję się, mów dalej.

– Tak, w jednym z tych ładnych domków. Obok domu Beethovena. Ale po wypadku przeprowadziłam się do centrum, do mieszkania z windą.

Teraz Zoltán po raz pierwszy zwrócił uwagę na wózek inwalidzki. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ciągle prześladowała go tamta myśl:

– Dwadzieścia lat na tych samych ulicach, w Praterze...

– Nie byłam tam ani razu. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

– Dwadzieścia lat. Wyszłaś ponownie za mąż?

– Nie. Ale znalazłam... – Zamilkła i zmieniła temat. – Szukałam cię, dopóki...

– Dlaczego mnie rzuciłaś – przerwał jej Zoltán, dogłębnie urażony – skoro miałaś później za mną tęsknić?

– Zawsze taka byłam. Ale wcześniej nie wiedziałam dlaczego.

– A teraz?

– Teraz już wiem.

– Dlaczego?

Podniosła bukiet goździków, przyglądała mu się przez chwilę i znów opuściła

go na kolana, próbując ukryć zmieszanie.

– A jak tam twoja kariera pianistyczna?

– Zrezygnowałem. Zostałem akompaniatorem.

– Byłeś bardzo dobry.

– Zgadza się. Ale brakowało mi... – Raptownie zmienił temat. – Mogłabyś mi wytłumaczyć, czemu mnie rzuciłaś, skoro miałaś później za mną tęsknić?

Milczała. Tak jakby trudno jej było zdobyć się na szczerłość wobec Zoltána. Po dłuższym zastanowieniu:

– Rzecz w tym... że boję się uchwycić szczęście w dłonie. Parzy mnie; panicznie się boję, że wybuchnie.

Włożył swoją dłoń w jej rękę, jakby to było szczęście.

– Trzymaj mocno, na pewno nie wybuchnie.

Ale ona odruchowo rozłożyła dłonie i uwolniła jego rękę.

– Przychodziłam tu wiele razy. – Zmieniła temat, żeby pokryć zmieszanie. – Ale teraz już od dawna nie... Teraz znalazłam...

– Ja nie byłem tu ani razu. Nigdy, aż do dzisiaj. – Rozejrzał się, jakby brał na świadka skąpany w deszczu krajobraz. – To było ponad moje siły.

Margit milczała i po chwili zdecydowała się zmienić temat.

– Masz dzieci?

– Nie. Mam wspomnienia. Dasz się zaprosić na obiad?

– No wiesz... To trochę... Mam... problemy... – wskazała wózek inwalidzki, jakby to on był winien – ...z nietrzymaniem moczu: nie lubię być zbyt długo poza domem.

– Ja się dostosuję.

Zastanawiała się przez chwilę. Zoltánowi wydawało się, że szare oczy kobiety odzyskały tę siłę przenikania do sedna sprawy, jaką miały wtedy, kiedy stawiała wyzwanie tajemnicom.

– Poczekaj, muszę najpierw pójść do toalety. Później... – Uśmiechnęła się. – Później będzie później.

Zoltán wstał, a ona ustawiła swój wózek obok niego. Znów spadały krople deszczu. Skierowali się w stronę wyjścia, do budynku sanitarnego, w milczeniu. Przed samymi drzwiami skierowała wózek w jego stronę i spojrzała mu w oczy.

– Czekaj tu na mnie.

– Zawsze robiłem to, co mi kazałaś. – Spojrzał na nią z poważną miną. – Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Puściła do niego szare oczko i zniknęła za drzwiami toalety dla niepełnosprawnych. Zoltán odwrócił się z westchnieniem. Nie czuł satysfakcji; był poruszony. Powąchał biały goździk, który mu podarowała Margherita. Miał intensywny, optymistyczny zapach. O ile w miarę upływu lat prawie udało mu się osiągnąć coś w rodzaju spokoju ducha, teraz cała ta misterna konstrukcja legła w gruzach. Deszcz był coraz intensywniejszy. W odruchu kokieterii umieścił goździk w pole płaszcza. Mając obie ręce wolne, otworzył parasol i znów usłyszał bębnienie kropel o materiał, ale teraz ten dźwięk brzmiał w jego uszach słodko, ponieważ nadzieja była na wyciągnięcie ręki.

Po paru minutach deszcz ustał tak raptownie, jak wcześniej się rozpadał, i znów mógł zamknąć parasol. W tym momencie wibracja telefonu uprzytomniła mu, że świat nadal się kręci. Odległy głos Petera wyrwał go ze snu.

– O, to ty, Peter – odpowiedział bez entuzjazmu. – Czego chcesz?

– Nie, nic takiego, tylko... Chciałem podziękować za książkę o Fischerze. Na razie ją dopiero przekartkowałem, ale od razu widać, że to coś nadzwyczajnego.

– No dobrze – nie potrafił ukryć zniecierpliwienia – o co ci chodzi?

– Nie mogę grać. I nie mogę nie grać. Dużo o tobie myślę. Zoltán, jestem smutny.

– Słuchaj, ja teraz...

– Od sześciu miesięcy nerwy nie pozwalają mi usnąć. Chciałbym odpocząć. A ty mi kiedyś powiedziałaś...

– Słuchaj, możemy odłożyć tę rozmowę na później?

– Jeżeli muzyka cię nie uszczęśliwia, to z niej zrezygnuj, tak mi powiedziałaś.

– Słuchaj, porozmawiamy o tym innym razem, dobrze?

– Schubert mi się ukazał. – Peter desperacko szukał pretekstu, by kontynuować rozmowę.

– Schubert? – Zoltán odruchowo odwrócił głowę w stronę grobu. Ale

natychmiast wrócił do obserwowania wejścia dla niepełnosprawnych. – Peter, słuchaj. Ja...

– W porządku, już kończę.

– Zadzwoń do mnie kiedy indziej, dobrze?

– Kocham cię. Całym sercem. Pamiętaj.

Peter się rozłączył, może zbyt gwałtownie, i Zoltán musiał zrobić to samo, zamyślony. O co mu właściwie chodziło? Co chciał mu powiedzieć? Już prawie doszedł do wniosku, że Peter Bros ma poważne problemy, kiedy przyciągnął jego uwagę jakiś łysy jegomość, który wyszedł z męskiej toalety, choć wcześniej nie zauważył, żeby ktoś taki do niej wchodził. Skoncentrował się na obserwowaniu drzwi i natychmiast zapomniał o dochodzącej z daleka skardze przyjaciela, bo pulsowanie rozbudzonej nadziei zagłuszało tamto wołanie o pomoc. Był tak poruszony, że nie nadawał się na mądrego doradcę. Chodził wte i wewte przed budynkiem sanitarnym, cierpliwy i niecierpliwy, i myślał w kółko o sprawach naprawdę istotnych, jak na przykład, że było niewybaczalne, że podczas ich spotkania nie zapytał, co się stało, dlaczego jest na wózku, o co chodzi z tym wypadkiem, co ci jest, Margit.

Na chwilę przyciągnęła jego uwagę jakaś para w jego wieku, w towarzystwie młodej ładnej dziewczyny, pewnie ich córki. Przeszli przez bramkę, a z ich gestykulacji przy konsultowaniu mapy wywnioskował, że szukają grobów w jego części cmentarza. Pozazdrościł im. Popatrzył za nimi, kiedy ruszyli alejką we właściwym kierunku. Patrzył zdesperowany na drzwi toalet. Oczywiście, mając ograniczone możliwości ruchu, biedna Margit... Znów zaczęło padać. Rzucił okiem na niebo, na zegarek i westchnął zniecierpliwiony. Zamiast po raz kolejny otworzyć parasol, otworzył toaletę i zobaczył na końcu korytarza dwoje zamkniętych drzwi.

– Margit?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Margherita?

Popchnął z całych sił jedne drzwi. Kabina była pusta.

– Margit? – coraz bardziej zaniepokojonym tonem.

Popchnął drugie drzwi. Druga kabina też była pusta. Teraz już krzyknął na cały głos:

– Margit!

Wyszedł na korytarz. Wtedy dopiero zauważył, że w głębi znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Pobiegnął tam. Prowadziły do holu. Zapytał portiera, czy widział kobietę na wózku inwalidzkim, ubraną w coś żółtego, a portier, ukazując pokiereszowany przez życie ząb, odpowiedział tak, siwowłosa, bardzo elegancka, bardzo ładna. Zoltán złapał go za nadgarstek: To ona! Portier: Odjechała przed chwilą taksówką, która tu na nią czekała. Dokąd? Do Wiednia. Jest tu postój taksówek? Tutaj nie. Wyżej, tam, gdzie przystanek autobusowy. Ale najszybciej do Wiednia dostanie się pan tramwajem.

Zoltán nie usłyszał tej ostatniej rady, ponieważ rzucił się biegiem w kierunku miasta, z desperacką nadzieją, że dogoni uciekinierkę w taksówce.

Usłyszał dzwonek siedemdziesiątkidwójki, kiedy znalazł się na wysokości przystanku. Wskoczył do tramwaju i zniecierpliwiony ruszył na przód pojazdu, żeby było szybciej.

Pokonał całą trasę, wyteżając wzrok i ciężko dysząc. Nie minęli po drodze żadnej taksówki, szyby w tramwaju pokryły się mgłą, a jego duch z rezygnacją zaczynał się nastawiać na kolejną stratę. Przecięły im drogę dwie taksówki, ale w żadnej z nich nie było Margit. Kiedy dojechali do pętli, na wysokości Ringu, Zoltán nie wysiadł z tramwaju, tak jak wtedy, kiedy ona opuściła go na zawsze po raz pierwszy. Ze spuszczoną głową zaczął płakać i wtedy dotarł do niego, niczym okrutny cios, ożywczy zapach białego goździka przypiętego do poły płaszcza. Margit znów rozplynęła się w powietrzu. Margit, o której wiedział tylko, że ma na imię Margherita, że zawsze ucieka przed szczęściem i że teraz mieszka w centrum, w domu z windą.

Motorniczy spojrział na niego w lusterku wstecznym, ale uznał, że jeszcze poczeka z interwencją, zanim wpakuje się w tarapaty. Zoltán wyprostował się i z głębokim westchnieniem opadł na oparcie. Pochylił głowę w stronę brudnej zamglonej szyby, niczym nocny marek, który wraca po nazbyt szalonej nocy, z poluzowanym krawatem, wesołym goździkiem w klapie, z nieprzytomnym, zmaconym pijackim spojrzeniem. Ponieważ głowę wypełniała mu pieśń *Gute Nacht* i słowa ...cichutko do drzwi podejść, delikatnie klucz obrócić, „Dobranoc” u drzwi napiszę. Niech świadczy to słowo skromne, że odchodząc w zimną ciszę, pamiętam i nie zapomnę, drżącym palcem napisał na zaparowanej szybie *dobranoc*, Margit, pamiętam i nie zapomnę. Wpatrując się

w chwiejne litery, Zoltán dostrzegł bosego starca na zamarznętej ziemi, z katarynką, wyglądającego dawnych szczęśliwych chwil, i zaczął śpiewać, wywołując oburzenie motorniczego, który teraz, wkurzony, zdecydował się ruszyć z miejsca z postanowieniem wyrzucenia pijaka ze swojego tramwaju. Zoltán wyśpiewywał swój głęboki smutek niepewnym barytonem, pytając starca z piosenki, czy ma pójść jego drogą? Czy będzie mu akompaniował na katarynce do jego własnej pieśni? Nie ocierał łez płynących po twarzy i spoglądał, nie widząc, przez labirynt liter wypisanych na szybie na fragment tego miasta, którego, jak doskonale zdawał sobie sprawę, nigdy nie opuści, ale od tej chwili będzie ono dla niego nie do zniesienia. Z głębokiej, dawno nieprzywoływanej pamięci, w czasie gdy motorniczy nakłaniał go, żeby się uspokoił i opuścił pojazd, wyłonił się motyw, który zanucił w myślach – b, a, des, h, c – bo trwał tam uspiiony od lat, temat Kaspara Fischera, który kazał mu spoglądać przed siebie, być odważnym, wierzyć, że da się zmienić przyszłość, tak jakby to był główny motyw jego Hymnu na Cześć Możliwości Życia bez Rozmyślenia o Ukochanej Margit. Odrzucił ten pomysł. Jednocześnie, ustępując motorniczemu, wstał z siedzenia: gdzie mu tam porównywać się z takim prorokiem jak Kaspar Fischer; on był tylko człowiekiem.

Wtedy zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku, że nigdy nie opuści Wiednia, że życie nie jest drogą ani nawet celem, tylko podróżą, i kiedy znikamy, zawsze dzieje się to w jej trakcie, nieważne gdzie. Jego nieszczęście polegało na tym, że przypadła mu w udziale mozolna podróż zimowa, która doszczętnie wyjałowiła mu duszę.



XV

EPILOG

Opowiadania w tym zbiorze powstawały w dość długim okresie. Wszystkie zostały ukończone w 2000 roku, ale pierwsza wersja najstarszego pochodzi z 1982. Co ciekawe, nigdy nie udało mi się osiągnąć właściwego efektu od razu – poza jednym przypadkiem, kiedy pierwszą wersję uznałem za definitywną. Często temat, nastrój i konflikt już były dobre, trafne, ale jeszcze wyczuwałem jakiś dysonans. Nie miałem pełnej jasności, w ciągu tych lat, jaki ostatecznie kształt przybiorą te strony, ponieważ dysponowałem opowieściami czy pomysłami, natomiast ich związek nie wydawał mi się oczywisty. Był nawet taki czas, kiedy po ukończeniu *Cienia eunucha*, który mi zajął wiele lat, z entuzjazmem przystąpiłem do pracy nad opowiadaniem, przekonany, że to odpowiedni moment, by przewyciężyć otaczającą je aurę tajemniczości i oswoić je. Musiałem uznać, po wielu nieudanych próbach, że jedno z dwojga: albo te opowiadania nie mają racji bytu, albo ja nie jestem im pisany. Kiedy wreszcie zrozumiałem, że opowiadania mają nogi, zmieniłem strategię i zgodnie z zaleceniem Lao-cy, na którego powołuje się Quiquín, usiadłem nieruchomo przed swoją chatką, żeby pewnego dnia, gdy opowiadania będą tamtędy przechodzić, złapać je za kark i dokładnie przepytac. I tak pojedynczo, z niesłychaną cierpliwością, drążyłem tajniki każdej opowieści; powód, dla którego przyszła mi do głowy pierwsza linijka albo pierwsze słowo danego opowiadania, czy też pomysł już konkretnego albo jeszcze mglistego zakończenia, które by było literacko uzasadnione, ale którego racją bytu był jeszcze mi nieznany początek. Ostateczna redakcja i nowe wersje większości z czternastu opowiadań przysporzyły mi wielu niespodzianek. Chyba najbardziej zaskakująca jest ta, że wszystko w życiu ma ze sobą związek. Ja myślałem, że pracuję nad zbiorem opowiadań całkiem od siebie niezależnych, jako że atmosfera każdej opowieści domagała się niezależności, ale sam fakt równoległej pracy nad nimi w tych ostatnich miesiącach uświadomił mi, jakie łączą je ze sobą więzi, czasem niewidoczne, a czasem oczywiste. Również bliżej poznawałem, a nawet w pewnym sensie polubiłem postaci, które istnieją na swój sposób, choć nie z takim rozmachem jak bohaterowie powieści, bo żyć w granicach opowiadania to jakby spędzić całe życie w jednym z tych japońskich hoteli, które przypominają komorę dekompresyjną nurków głębinowych. Ale to tylko pierwsze wrażenie. Bohaterowie opowiadań i ich

perypetie bazują w dużym stopniu na tym, co nie zostało wprost sformułowane, ale jednak tam jest.

Nie obyło się mimo wszystko bez strat. Czasem w opowiadaniach znajdowało się coś, co mi nie pasowało, do czego nie byłem całkiem przekonany, więc z nich rezygnowałem, co nie znaczy, że wyrzuciłem je do lamusa. Wyobrażam sobie, że przebywają gdzieś w zaświatach i czekają na lepsze czasy.

Wydaje mi się, że czytelnik opowiadań musi być bardziej aktywny niż czytelnik powieści. Ograniczona rozpiętość, o której wspomniałem przed chwilą, zmusza pisarza do skrótów, do uznania za domyślne tego, co się wydarzyło wcześniej, do zarysowania jednym pociągnięciem pióra charakterystyki psychologicznej czy opisu fizycznego... Pisarz musi wysilić inteligencję, ale czytelnik też. Pisarz sugeruje nastrój, perypetie, pejzaż, klimat, a czytelnik uzupełnia te elementy w trakcie czytania. A ponieważ jest fizyczną niemożliwością umieszczenie wszystkiego w granicach opowiadania, wspomnienie lektury jak echo (podobnie jak bezpośrednie wspomnienie wysłuchanego utworu muzycznego) pozwala czytelnikowi uzupełnić wymiar moralny każdego opowiadania, jeśli faktycznie go posiada.

O tym, że tak to działa, przekonywałem się w miarę pracy nad tą książką; zauważyłem, że nawet oddycha się inaczej, kiedy pisze się opowiadanie, rytm jest bardziej synkopowy niż ten potrzebny do pisania powieści, bo masz takie wrażenie, jakbyś musiał wygrać wyścig, z dużą przewagą i za pierwszym podejściem, a nie, że uczestniczysz w długiej walce wymagającej spekulacji i taktyki, pracochłonnej, którą wygrasz na punkty. Tu muszę jeszcze raz powołać się na Quiquína, kiedy cytuje barona Coubertina, który inspirując się Świętym Pawłem (drugi list do Tymoteusza<sup>[34]</sup> z Listry, jego wiernego ucznia), oświadczył, że w sztuce najważniejsze jest odnieść zwycięstwo nad samym sobą, a cała reszta to bajki.

Dziękuję z całego serca za wspaniały prezent, jakim był niepublikowany przekład poematu Wilhelma Müllera *Die Winterreise*, dokonany przez Miquela Desclota, poematu, który w formie wyraźnej lub ukrytej pojawia się w opowiadaniu *Winterreise*.

Autorami przekładu dwu wersów wielkiego poety węgierskiego, Attili Józsefa, które pojawiają się w tym samym opowiadaniu, są Eduard J. Verger i Kálmán Faluba. Pochodzi on ze zbioru *Poemes* (Ed. Gregal, València 1987), o czym mnie zapewnia pan Adrian, osobiście wręczając mi odnośną fiszkę.

*Winterreise* (*Podróż zimowa*) to cykl pieśni skomponowanych przez Franza Schuberta do poematu Wilhelma Müllera pod tym samym tytułem. Włoski poeta Attilio Bertolucci jest autorem poematu *Viaggio d'inverno*, Antoni Marí kilka lat temu napisał poemat składający się z dwunastu pieśni, pod analogicznym tytułem, *Un viatge d'hivern*. Wysoce kontrowersyjna biografia Franza Schuberta, którą stworzył Gaston Laforgue, raczej po to, żeby samemu się popisać, niż by oddać sprawiedliwość kompozytorowi, też nosi ten sam tytuł – *Voyage d'hiver*. Od chwili, kiedy zaczął się zarysowywać jeszcze niewyraźny charakter tego zbioru, wiedziałem, że musi nosić tytuł *Podróż zimowa*. Czasem skojarzenia z wymienionymi dziełami są zamierzone, a czasem nie, i wtedy mogłyby wywołać zgrzyt, choćby nawet były nieuniknione. Mam nadzieję, że udało mi się nie wpaść w tę pułapkę i że wprost przeciwnie, Müller, Schubert, Bertolucci, Laforgue i Marí zechcą tę książkę potraktować jako złożony im przeze mnie hołd.

Ponadto chciałem w tym miejscu wyrazić szereg dedykacji i podziękowań, które, mam nadzieję, zostaną przyjęte życzliwie albo przynajmniej z rezygnacją:

*Sen Gottfrieda Heinricha* dedykuję Martínowi Cabré Barbie, który kiedyś miał okazję poznać jego pierwszą wersję. *Szczęście na wyciągnięcie ręki* powstało z myślą o Clarze Cabré Barbie. Opowiadanie *Pamiętam* zawdzięcza swoje powstanie burzliwej dyskusji z Samem Abramsem i jemu jest dedykowane. *Opus postumum* poświęcone jest Cristòfolowi A. Trepatowi, który tremę towarzyszącą występom zna z własnego doświadczenia, oraz Montserrat Guixer i niezmordowanemu Jordiemu Mirowi. *Dwie minuty*, opowiadanie, które gryzie własny ogon, dedykuję Janowi Schejbalowi z Pragi i Ramonowi Pla i Arxé z Barcelony. Adresatami opowiadania *Oczy jak diamenty* są Joaquim M. Puyal, zdeklarowany miłośnik języków, Til Stegmann z Fankfurtu i Joan F. Mira z Castelló, kompani wspólnej wyprawy do Münsteru. O przyjęcie *Negocjacji*, opowiadania, które w ostatniej chwili zostało pozbawione muzyki

z powodu jednostronnej rezygnacji pianisty, proszę towarzyszy muzycznych potyczek, kolegów z muzycznej paczki – Josepa Lluísa Badala, Oriola Costę i Jaumego Salę. *Ballada* to opowieść z długą tradycją ludową, której sens starałem się wiernie zachować i która powstała z myślą o Josepie M. Ferrerze i o Magdzie Calpe; mam nadzieję, że zechce ją przyjąć również Jaume Aulet. *Kurz*, nie ze względu na kurz, ale ze względu na książki, dedykuję Toniemu Albesowi i Lluísie Carbonell. Mojemu rodzeństwu dedykuję *Ślad*. Adresatami opowiadania *Finis coronat opus* są Xavier Fabré i Marta Nadal. *Testament* dedykuję Kálmánowi Falubie z Budapesztu i Adolfowi Pla z Sabadell. Adresatami opowiadania *Pac!* są Oriol Izquierdo, Dolors Borau i Sergi Boadella. *Winterreise* dedykuję Margaridzie Barbie.

*jesień 2000*

## DRAMATIS PERSONAE<sup>[35]</sup>

- „0”: Jasnowłosa mężczyzna, ofiara Jedyńki. Podróżuje z czymś w rodzaju dogodnej walizeczki przymocowanej do nadgarstka bardzo solidną bransoletą. Może uchodzić za perfumiarza. Wybiera się do Rio. W Paryżu zostawił żonę (Zero-Zero) i syna (małe Zero), ale nie jest wzorem wiernego męża. W barcelońskim hotelu korzysta z usług Katty, prostytutki. IV, XI.
- „1”: Płatny morderca. Zabija Zero w trakcie rozmowy telefonicznej i z łatwością łamie szyfr tajemniczej walizeczki z pieniędzmi i dokumentami. Z pewnością nie nazywa się Charles Baudelaire. Za dużo pali. Okoliczności jego śmierci wskazują, że palenie jest niezdrowe. XI.
- „2”: Z zawodu detektyw. Zabija Zero-Zero i małe Zero. Jak wróci z Barcelony do Paryża, zaprosi Natalie na wystawny obiad, a na razie pociesza się w towarzystwie Katty. Nałogowy palacz. Zawirowania jego losu wskazują, że w pewnych okolicznościach palenie może się okazać zbawienne. IV, XI, XIII.
- „3”: O jego tożsamości nie wiemy nic, ale raczej nie jest gospodynią hotelowego piętra, ze złotym zębem. Domyślamy się, że dzięki sprawnemu działaniu wymyślonego przez siebie systemu odzyskał skradziony zeszyt z pełną dokumentacją wszystkich operacji finansowych, jakie przeszły przez jego ręce w ciągu ostatnich pięciu lat. Brzydzi się brudną robotą, wszak jest profesjonalistą. XI, XIII.

ADRIAN: bibliofil, czasem przypomina Eneasa, a czasem bliżej mu do Pyrrusa.  
V, XV.

ADWOKATKA → WALKIRIA

ANNA: zaniechana żona Zoltána Wesselényiego, niedoskonały substytut  
Margherity. XIV.

ARDÈVOL Agustí: wdowiec hipochondryk, pechowy ojciec trójki dzieci  
(Amadeu, Carli, Sergiego), który zamyślił się nad obrazem Rembrandta,  
zanim usłyszał wyrok we własnej sprawie. II.

BACH Jan Sebastian (1685–1750): skomponował drugą partitę, tę z sarabandą,  
oraz *Wariacje Goldbergowskie*, ukryte pod mottem pierwszego  
opowiadania. Raczej nie ma nic wspólnego z muzyką dodekafoniczną. I,  
VII, XII.

BADESHC (si bemol, la, re bemol, si, do): niekojarząca się z niczym forma  
muzyczna, chyba że w jakimś dziwnym, zapomnianym języku jest to  
tajemne imię Szatana. I, VII, XIV.

BARBER Samuel: amerykański kompozytor, autor *Adagia na smyczki*,  
najbardziej przesłodzonego wytworu, do jakiego wykreowania był zdolny  
ludzki umysł. IX.

BARNA: Barcelona; barneńczycy: barcelończycy. IX, XII.

BARUCH Anslo: niefortunny Tezeusz, szlifierz diamentów z Amsterdamu, znany  
też jako Józef Kohen, Baruch Benedictus, Gerrit van Loo de Weesp i Peter  
Nielsen. Na pewno nie urodził się w Aalborgu. VI.

BOŚNIAK: przemyca papierosy; oszukał w Oslo Quiquína i wystawił go policji.

W sumie trudno się dziwić, że od tej pory Quiquín nie lubi Bośniaków. IX, XII.

BROS Pere / Peter: pianista, przyjaciel Zoltána Wesselényiego, przeżywa kryzys twórczy, który najprawdopodobniej doprowadzi go do samobójstwa; zdążył nagrać płytę *The Last Recital of Pere Bros*, na której znalazł się utwór *Contrapunctum* Kaspara Fischera. IX, XII, XIV, XV.

BUZI i EZECHIEL: imiona starotestamentowe; tu: nazwy wyjątkowo cennych diamentów, powstałych w wyniku podziału Diamentu Cesarskiego; jeden z nich trafił do Barcelony, gdzie stał się ozdobą właścicielki limuzyny. IV, VI.

*Child in Time* → DEEP PURPLE

CRIMSON → KING CRIMSON

COUBERTIN Pierre de (1863–1937): francuski baron, historyk i pedagog, uważany za ojca nowożytnego ruchu olimpijskiego. Inspirował się naukami Świętego Pawła. XV.

DEEP PURPLE: 1968–1976 i od 1984, brytyjska grupa rockowa; *Child in Time*, piosenka zespołu Deep Purple, m.in. w filmie *Twister* (1996); Ian Gillan, wokalista zespołu. IX.

DEMESTRE Toni: sanitariusz, lekkoduch, który próbuje uchodzić za pielęgniarza, niewierny narzeczony Wiktorii. V.

DOR: uroczy, nieco podupadły izraelski ośrodek turystyczny nad morzem, w którym Izaak Łódzer, kryptograf, szuka spokoju; z bardzo daleka przypomina kataloński kurort Salou. VIII, XII.

EULALIA: nieodżałowana małżonka Agustína Ardèvola i szczęśliwa matka trójki



dzieci. II.

FACTORY → VELVET UNDERGROUND

*Filozof* → REMBRANDT

FISCHER Kaspar: skromny organista, który pochodził z Lipska, ale przez trzydzieści trzy lata grał w Franziskanerkirche w Wiedniu; uzdolniony uczeń Jana Sebastiana Bacha, niekwestionowany autor jedyne, ale za to genialnego dzieła *Contrapunctum*, którym wprzeżył swoją epokę. Zdaniem Zoltána Wesselényiego jest on prekursorem dodekafonii. Po bardzo długim życiu zmarł w 1828 roku. Wyróżniał się tym, że zapamiętywał każdą usłyszaną nutę. I, VII, IX, XII, XIV.

FR 50: karabin przeznaczony w zasadzie do polowania na dziki, tu akurat wykorzystany do polowania na ludzi. IX, X.

FRIPP Robert → KING CRIMSON

GAUS: biskup, prałat Kurii Watykańskiej, uderzająco podobny do adwokata Yves'a Saulniera. XIII.

GILLAN Ian → DEEP PURPLE

GÖTZ Johann Christoph: biskup, obrońca Krzyża i biskup Münsteru. VI.

GROSSMANN Anna: znana też jako madame Grossmann, żona Pierre'a Grossmanna, mecenaska, właścicielka deficytowej agencji artystycznej, nie dostała zaszczytu rozmowy z Perem Brosem. I, XIII.

GROSSMANN Pierre: niewyobrażalnie bogaty biznesmen; poza pilnowaniem własnych interesów zajmuje się pokrywaniem strat, do jakich doprowadza agencja jego żony. XIII.

GUALTER Cèlia: ukochana córka organmistrza Oleguera Gualtera. III.

GUALTER Oleguer: kataloński organmistrz z doliny Sau, surowo ukarany za zbrodnię, przy której nawet nie był obecny, ofiara epistolografii; o jego istnieniu przypomina potomnym metryczka na organach wykonanych w jego pracowni w mieście Markkleeberg nad rzeką Pleisse: *Olegarius Gualterius sauensis me fecit*. III, VII.

HAMMURABI, Kodeks Hammurabiego → PRAWO TALIONU

*Heroin* → VELVET UNDERGROUND

JETHRO TULL (1967–2012): brytyjski zespół rockowy. Sonia Quadras ich nie lubi, Quiquín uważa, że nieco zalatuje naftaliną, ale w sumie spoko. IX, XII.

JÓZSEF Attila (1905–1937): węgierski poeta, jeden z czołowych przedstawicieli poezji europejskiej w dwudziestoleciu międzywojennym. XIV, XV.

KATTY: panienska lekkich obyczajów w pewnym hotelu w Barcelonie. Ta sama, która się przyjaźni z pewnym serwisantem pralek na telefon. II, XI.

KEROUAC Jack (1922–1969): amerykański pisarz, opisał podróż z Nealem Cassadym po USA i Meksyku w książce *W drodze* (1957). IX.

KING CRIMSON: brytyjska grupa muzyczna z kręgu awangardowego i progresywnego rocka, założona w roku 1969; Robert Fripp (1946), jeden z założycieli zespołu; *In the Wake of Poseidon* (1970), drugi album zespołu; *Absent Lovers*, album koncertowy grupy King Crimson nagrany w Montrealu w roku 1984 i wydany w 1998. IX, XII.

LAFORGUE Gaston: autor biografii Franza Schuberta zatytułowanej *Voyage d'hiver* (Lyon 1902). V, XIV, XV.

LAMBERTINI: adwokat reprezentujący Watykan, jego bardzo bliskim znajomym jest Umberto de Luca. Pochodzi z Montescaglioso. XIII.

LAMBERTUS: imię konia Barucha Anslo oraz imię świętego, patrona kościoła w Münsterze. VI.

LAO-CY / Lao Tzu / Laozi: legendarny chiński filozof, twórca taoizmu. Naucza, że trzeba czekać cierpliwie. IX, XV.

LUCA Umberto de: adwokat, który dawniej reprezentował Watykan, jego bardzo bliskim znajomym jest Lambertini. XIII.

LYNCH Charles (1736–1796): amerykański sędzia ze stanu Wirginia. Od jego nazwiska pochodzi słowo „lincz” – samosąd. IX.

ŁÓDZER Izaak: potomek żydowskiej rodziny jubilerów i lekarzy z Polski, w dzieciństwie przeżył Treblinkę i wyemigrował do Izraela. Pracuje jako kryptograf. VIII.

ŁÓDZER Józef: lekarz, ojciec Izaaka. Zginął w Treblince. V, VIII.

ŁÓDZER Miriam: z domu Levi, żona Józefa, którego poślubiła w 1929 roku, matka Izaaka i Edyty, zginęła tragicznie w wieku trzydziestu trzech lat. V, VIII.

ŁÓDZER Mojżesz: ojciec Józefa, jubiler, potomek w jedenastym pokoleniu wielkiego rabina Chaima Mattesa z Łodzi. Zginął w Treblince. V, VIII.

MARGHERITA Margit: pochodzi z Wenecji, śpiewa *Gute Nacht* Schuberta

czystym, krystalicznym głosem i boi się uchwycić szczęście w dłonie; nieszczęśliwa miłość Zoltána Wesselényiego. XIV.

MASDEXAXART Quiquín: barneńczyk aspirujący do narodowości Norwega, fan zespołu King Crimson i nieuważny czytelnik *Listów apostołskich*. Nie gra na żadnym instrumencie, ale ma nadwrażliwy słuch muzyczny. Wprawdzie do kina nie chodzi, ale na pewno obejrzałyby z uwagą *Mechaniczną pomarańczę*. IX, XII, XV.

MATTES Chaim: syn Izaaka, przyszły wielki rabin z Łodzi, protoplasta rodziny Łódzerów. VI, VIII.

MATTES Izaak: gościnny i trochę naiwny jubiler z Łodzi. VI.

MATTES Sara: córka Izaaka, piętnastolatka, która ma oczy jak diamenty; jej przeznaczeniem jest zostać Ariadną Barucha Anslo. VI.

MIKI → SAGARRA Miqui

MONTESCAGLIOSO: sycylijskie miasteczko, kolebka mafii. XII, XIII.

OSTERHAUSGATE: sklep muzyczny w Oslo. IX, XII.

PIXIES: amerykański alternatywny zespół rockowy założony w 1985 roku; Black Francis (ur. 1965), lider zespołu; *Monkey Gone to Heaven* – przebój z 1989 roku. IX, XII.

PLEISSE: rzeka przepływająca przez Markkleeberg i Lipsk. III, VII.

PRAWO TALIONU (z łac. *talio* – odwet): zasada, według której sankcja jest identyczna ze skutkiem przestępstwa (oko za oko, ząb za ząb). Ten system kar opisano w Kodeksie Hammurabiego, babilońskim zbiorze praw, który powstał w XVIII wieku p.n.e. za panowania króla Hammurabiego. IX,

### XIII.

QUADRAS Sonia: porzucona arogancka narzeczona Quiquína. XII.

REED Lou (1942–2013): amerykański wokalista i gitarzysta rockowy. IX.

REMBRANDT Harmenszoon van Rijn (1606–1669): holenderski malarz. Nie wiadomo dokładnie, kto mu pozował do obrazu *Filozof* – prawdziwy mędrzec, kardynał czy wyrachowany jubiler, i czy to aby na pewno o ten właśnie obraz chodzi, czy może raczej o płótno *Uczony w pokoju z klatką schodową* (1632) z Luwru albo nawet o *Uzonego przy pulpicie* (1641) z Zamku Królewskiego w Warszawie. Kłopot w tym, że rzeczony płótno ciągle gdzieś podróżuje, a ponadto doczekało się wielu reprodukcji i falsyfikatów oraz zainspirowało kolejne wersje tego samego portretu z księgą lub bez księgi (np. *A Man Seated Reading at a Table in a Lofty Room* naśladowcy Rembrandta); charakterystyczne półcienie zainspirowane ochrą tego obrazu stanowią tło kilku opowiadań. II, VI, VIII, XII, XIII.

RICARD: niewierny mąż niewiernej żony. IV.

RÒDENES: naczelnik więzienia, który zakazał korespondencji więźniom najbardziej ponurego więzienia, jakie istniało w całym kraju za czasów Jego Wysokości Szalonego Króla Ferdynanda, który legitymował się numerem szóstym i nazwiskiem Burbon. Następca Ròdenesa miał odmienne zdanie w kwestii korespondencji, co jednak nie wyszło na dobre niektórym więźniom. III.

ROLLING STONES (od 1962): brytyjski zespół rockowy. Sonia Quadras go nie lubi. XII.

RZEKA: „Ten, kto wie wcześniej niż inni, gdzie jest rzeka, może się stać panem jej wód”, żydowskie, a może gojowskie przysłowie. Kto to wie? Odpowiedź ginie w pomroce dziejów. VI, XIII.

SAGARRA Miqui: przyjaciel Quiquína, nie całkiem wiarygodny, mieszka w Salou. IX, XII.

SALOU: uroczy kataloński ośrodek turystyczny nad morzem, z daleka bardzo przypomina izraelski kurort Dor. IX, XII.

SALTOR Nicolau: wybitny organmistrz, który w 1718 roku skonstruował organy w parafialnym kościele protestanckim w Markkleebergu, nad rzeką Pleisse, mistrz Oleguera Gualtera. III.

SAU: dolina w komarce Osona u podnóża Pirenejów, słynna m.in. z zabytków romańskich i wspaniałych krajobrazów. III, VII.

SAULNIER Yves: adwokat, uderzająco podobny do monsiniora Gausa, prałata Kurii Watykańskiej. XIII.

SCHUBERT Franz: skomponował cykl pieśni zatytułowany *Podróż zimowa* (*Voyage d'hiver / Winterreise*) do słów Wilhelma Müllera; jego grób znajduje się na Zentralfriedhof w Wiedniu. I, V, XIV.

SERWISANT PRALEK, usługi na miejscu: zawód z pewnych względów odpowiedni dla Quiquína, wykonywany przez partnera Katty, która z kolei świadczy usługi w pewnym barcelońskim hotelu. IV, XI, XII.

SIBELIUS Jean: fiński kompozytor, autor poematu symfonicznego *Finlandia*. IX, XII.

SORGH Maartten Claeszoon: przebiegły jubiler z Amsterdamu, sprytniejszy nawet od Barucha Anslo. VI.

STIKOVIĆ Vlada: żołnierz, niedorozwinięty syn Zorki. X.

STIKOVIĆ Zorka: Bośniaczka, ładna dziewczyna z Czarnego Domu, później wdowa po Petarze Stikoviciu i tragiczna matka Vlady, niedorozwiniętego chłopca, którego odebrali jej żołnierze bez duszy, bez wiary, bez religii i bez rodziny. X.

TRAKTAT O DŹWIĘKACH W PRZYRODZIE: czyli *Die Natur von der Klag* Klementa Schwartza, opublikowany w Lipsku w 1714 roku; dzieło sytuujące się pomiędzy naukową ścisłością i poetycką wizją świata; dla muzyków lektura usypiająca, dla bibliofila Adriana, który dzięki zakładce wznawia lekturę tam, gdzie nad nią usnął poprzedni czytelnik, okazja do sporządzenia kilku cennych fiszek. V, VII.

WALKIRIA o oczach głębokich jak toń rzeki, bogini, Penelopa, Izolda, Heloiza: norweska adwokatka z urzędu imigracyjnego przydzielona Quiquínowi. XII.

WALZER, monsinior: impertynencki podwładny Gausa, prałata Kurii Watykańskiej, zaprosił Pere Brosa na recital do Watykanu. I, XIII.

WERENSKIOLD: urzędnik biura imigracyjnego w Oslo, który ma zdecydować, co zrobić z sympatycznym Quiquínem. XII.

WESSELÉNYI Zoltán: utalentowany muzycznie nadwrażliwy wiedeńczyk, z pochodzenia Węgier. Mógł zostać światowej sławy pianistą bądź dyrygentem, tymczasem z powodu nieszczęśliwej miłości został wybitnym muzykologiem, zarabiającym na życie akompaniowaniem. I, XIV.

WIKTORIA: ambitna asystentka pana Adriana, czasem przypomina Andromachę, czasem Dydonę, a czasem Ariadnę. V.

*Winterreise* → SCHUBERT Franz

VELVET UNDERGROUND: amerykańska grupa rockowa, grająca rock

eksperymentalny: Lou Reed, John Cale, Nico; w repertuarze m.in. kontrowersyjna piosenka *Heroin* (1964). Producentem grupy Velvet był amerykański artysta Andy Warhol, kojarzony z atelier The Factory. IX.

*Voyage d'hiver* → LAFORGUE Gaston, SCHUBERT Franz

ZAKŁADKA: kawałek skóry, na której był wytłoczony lew, a może inna, fantastyczna bądź zoomorficzna postać, służący za zakładkę różnym czytelnikom, począwszy od XVIII wieku, aż do chwili, gdy została skatalogowana wśród znalezisk Adriana. V, VII, XIV.

ZĄB: postacie z wyróżniającym się, często z powodu braku, zębem to Schubert, szofer limuzyny, Gottfried, gospodyni hotelowego piętra, Lambertini i portier w pawilonie sanitarnym Zentralfriedhof w Wiedniu. I, IV, VII, XI, XIII, XIV.

ZDJĘCIE w kolorze sepii, przedstawiające Gastona Laforgue'a w towarzystwie trzech mężczyzn i jednej damy przy grobie Franza Schuberta: dwaj panowie pod rękę (biograf Schuberta, Gaston Laforgue, i jego wydawca, pan Schaaff), dwaj inni, o których nie wiadomo nic konkretnego, i odwrócona bokiem kobieta, Margit, sfotografowana na sześćdziesiąt lat przedtem, zanim pojawiła się na świecie, na tle grobu Schuberta. V, XIV.



## PRZYPISY

- [1] Dzieło pośmiertne (łac.). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.
- [2] E.T.A. Hoffmann, *Muzyczne pasje dyrygenta Johanna Kreislera*.
- [3] *Podróż zimowa* (franc.).
- [4] Saltorius barcelończyk mnie wykonał (łac.).
- [5] „Muszę pójść drogą, z której jeszcze nikt nie powrócił” (niem.), pieśń XX Wilhelma Müllera, *Der Wegweiser*, z cyklu *Winterreise*.
- [6] Wszystkie cytaty z Pisma Świętego na podstawie *Biblii Tysiąclecia*, Poznań–Warszawa 1980.
- [7] Oleguer Gualter z Sau mnie wykonał w Markkleebergu (łac.).
- [8] Sporządził Jan Sebastian Bach (łac.).
- [9] Koniec wieńczy dzieło (łac.), *Heroidy* Owidiusza w przekładzie Wandy Markowskiej.
- [10] Drzę, gdy to mówię (łac.), *Eneida* Wergiliusza w przekładzie Ignacego Wieniewskiego.
- [11] Módl się za nami (łac.).
- [12] Wieżo z kości słoniowej (łac.).
- [13] „Kiedy wreszcie przestaniesz [Katylinio] nadużywać naszej cierpliwości?” (łac.), początek pierwszej mowy Cyncerona przeciwko Katylinie w przekładzie Stanisława Kołodziejczyka.
- [14] Mt 13,22: „Posiane między ciernie oznacza tego, kto słucha słowa, lecz troski doczesne i ułuda bogactwa zagłuszają słowo, tak że zostaje bezowocne”.
- [15] Łk 2,27: „Za natchnieniem więc Ducha przyszedł do świątyni. A gdy Rodzice wnosili Dzieciątka Jezus, aby postąpić z Nim według zwyczaju Prawa [...]”. Mt 10,16: „Oto ja was posyłam między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie!”.
- [16] 1 Kor 5,2: „A wy unieśliście się pychą, zamiast z ubolewaniem żądać, by usunięto

spośród was tego, który się dopuścił wspomnianego czynu”. 5,5: „[...] wydajcie takiego szatanowi na zatracenie ciała, lecz ku ratunkowi jego ducha w dzień Pana Jezusa”.

[17] 2 Tm 2,12: „I wszystkich, którzy chcą żyć zbożnie w Chrystusie Jezusie, spotkają prześladowania”.

[18] Sztuka długa, życie krótkie – łacińska wersja greckiej sentencji Hipokratesa.

[19] Poznaj samego siebie – łacińska wersja greckiej sentencji.

[20] Prawo talionu: życie za życie, oko za oko, ząb za ząb.

[21] Zaszczytne śmierć lepsza od haniebnego życia (łac.), sentencja Tacyta.

[22] Czas ucieka – parafraza z *Georgików* Wergiliusza; czas, pożeracz rzeczy – parafraza z *Metamorfoz* Owidiusza.

[23] Tam ojczyzna, gdzie dobrze (łac.) – parafraza Cycerona.

[24] Gdzie jesteś (łac.).

[25] Jaka była pustka [...], jakie opuszczenie (łac.), *Werryunki* Cycerona w przekładzie Marii Maślanki-Soro.

[26] Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb (łac.).

[27] *Podróż zimowa* (niem.).

[28] Tu i dalej w przekładzie Magdaleny Pabisiak.

[29] Jakby wprost z serca płynąc w dal przez wieki / Dunaj był mądry, nieprzejrzysty, wielki (węg.) – fragment *Nad brzegiem Dunaju* Attili Józsefa w przekładzie Aleksandra Nawrockiego.

[30] Swobodna parafraza fragmentu pieśni XXIV Wilhelma Müllera, *Der Leiermann*, z cyklu *Winterreise*.

[31] Jeżyk (niem.).

[32] Tu i dalej: pieśń IV Wilhelma Müllera, *Erstarrung*, z cyklu *Winterreise* w przekładzie Magdaleny Pabisiak.

[33] Z wyrazami pamięci Wiedeński Chór Męski (niem.).

[34] 2 Tm 4,7–8: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem. Na ostatek odłożono dla mnie wieniec sprawiedliwości...”.

[35] Indeks postaci, rekwizytów i innych tropów sporządzony na wyłączną odpowiedzialność Anny Sawickiej.